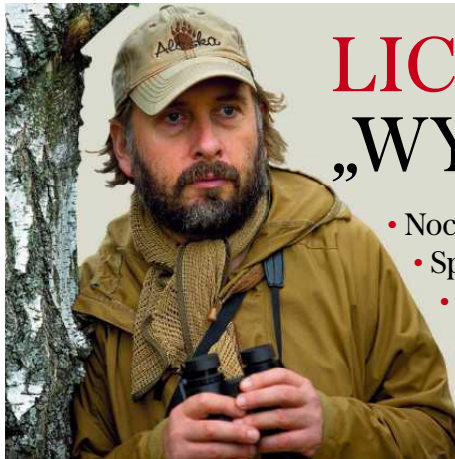


WOLNA
SOBOTA



LICYTUJ AUKCJE „WYBORCZEJ”

2024
32
FINAL
AUKCJE

- Nocleg w górskiej chacie i wycieczka po **Tatrach**
- Spacer po **Puszczy Białowieskiej** z Wajrakiem
- Dożywotni karnet na **Olsztyn Green Festival**
- Obiad z **Frasyniukiem** i Maciejewską
- Dzień w redakcji „Gazety Wyborczej”

Szczegóły ► 3



#MeToo
w podróży
Spotkałam
złych mężczyzn



Ukradli czy
uratowali?
Anglicy
i Partenon

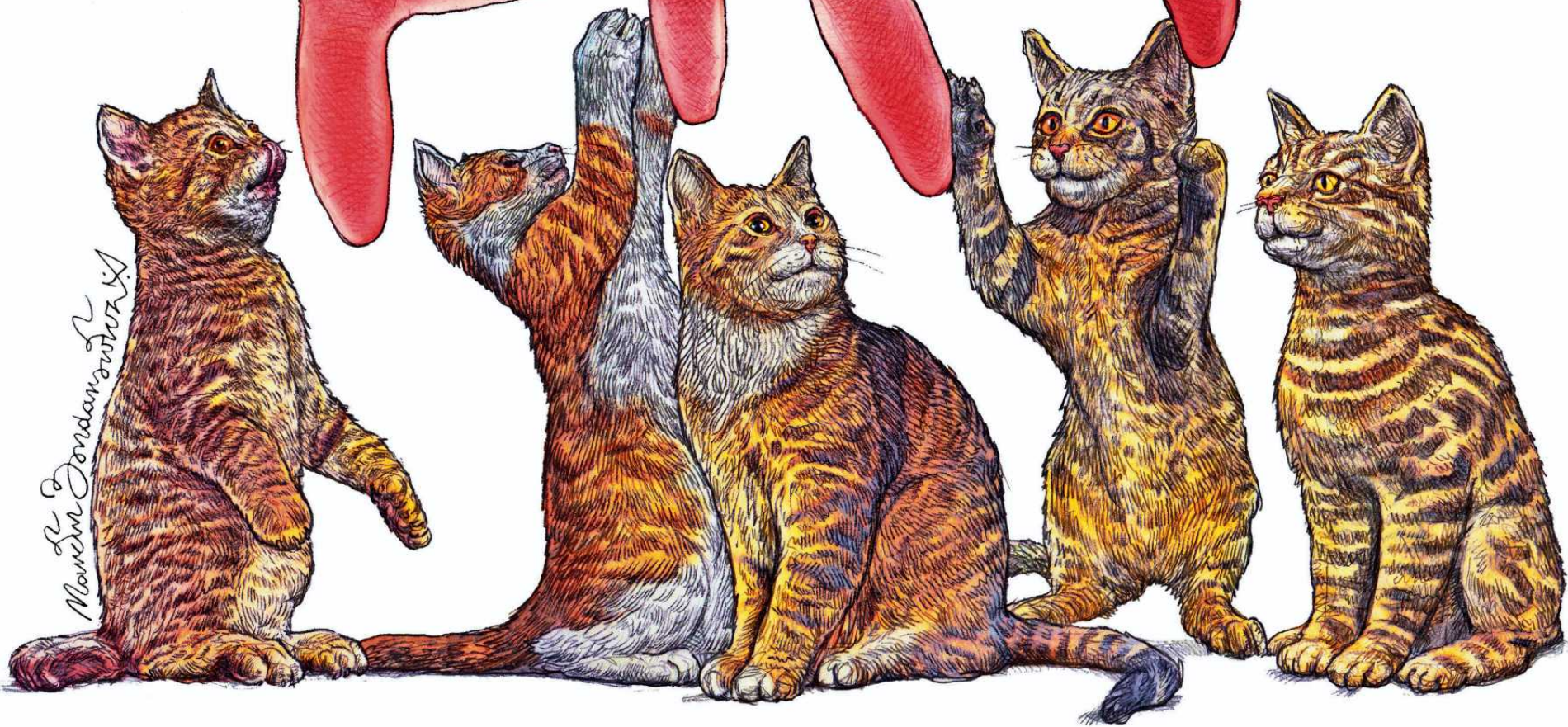


GAZETA

wyborcza

wyborcza.pl

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOSCI



Tłuste koty PiS na diecie

- Ile odzyskamy z Funduszu Sprawiedliwości
- Kaczyński dał Tuskowi rząd, który może wszystko

RYS. MARCIN BONDAROWICZ

wydaje Agora SA
nr indeksu 348198



Agnieszka
Kublik4 powody nienawiści
do Owsiaaka

Zawsze, gdy zbliża się koncert WOŚP, zaczynają się ataki. Teraz TV Republika opublikowała wpis porównujący Orkiestrę do Niemieckiej Pomocy Zimowej, czyli zbiórki organizowanej w III Rzeszy.

Wpis już zniknął, ale wiadomo, takie wpisy są nieśmiertelne. Niezależna.pl publikuje memy z Owsiaakiem sugerujące, że zbiera kasę dla siebie i na kampanie wyborcze dla PO.

A na portalu wPolityce.pl Karnowski opublikował tekst, w którym czytam, że „Owsiaak odprawia swoje szamańskie obrzędy”, że z roku na rok narastają wątpliwości wokół „tych wszystkich spółek, fundacji, osób, powiązań rodzinnych, układów towarzyskich, bogato żyjących z obsługi pieniędzy zbieranych przez WOŚP” i że Owsiaak to „wspinały przykład nacjonalizacji kosztów i prywatyzacji zysków”.

W 2017 r. Owsiaak sprawdzał, kto gra z jego Orkiestrą. I wyszło, że w elektoracie PiS ponad 80 proc. wspiera zbiórkę. – Co jest dowodem, że te pojedyncze osoby z obozu władzy, które hałasują, że nie będą grały z nami, to tylko polityka – tłumaczył.

Mylił się.

To nie polityka. To psychologia.

W 2012 r. prof. Krystyna Skarżyńska, od lat zajmująca się psy-

chologią polityki, podała 4 powody, dla których na prawicy Owsiaak co roku jest czarnym bohaterem.

1. To odwetowa wrogość, pojawia się, gdy zagrożony jest egotyzm. To objaw wysokiej, ale niestabilnej samooceny.
2. Wrogość wobec

Owsiaaka jest tym większa,

im bardziej ktoś wierzy, że dobra, o które walczy, są ograniczone, a rywalizacja jest grą o sumie zerowej: im więcej wygra mój rywal, tym więcej ją przegram.

3. Pomaganie musi się wiązać z wyrzeczeniem, cierpieniem, zgodnie ze schematem prawdziwego Polaka, który „cierpi za miliony”.

4. A u Owsiaaka „róbta, co chceta” to radość z pomagania. Prawicowa mentalność nie akceptuje tego hasła, nie wierzy w dobroć człowieka, wierzy w normy i surowe sankcje za ich przekraczanie.

– Wrogość wobec Owsiaaka i WOŚP nie jest incydentalnym wybrykiem. Jest wyrazem głęboko zakorzenionych charakterystyk psychologicznych prawicowości w ogóle, a polskiej prawicy w szczególności. Warto je rozumieć, by wiedzieć, co robią, gdy wreszcie prawicowcy zdobędą upragniony sukces. Można bowiem wątpić, czy jakiegokolwiek obiektywny sukces wystarczy dla ukojenia ich wielkiego ego i modyfikacji wizji świata społecznego. Chyba do końca świata i o jeden dzień dłużej będą czuli się niesprawiedliwie niedowartościowani.

Profesor miała rację. Gdy PiS doszedł do władzy w 2015 r., zakazał wszystkim instytucjom państwa jakiegokolwiek współpracy z WOŚP.

Więc jak ich musi boleć teraz, gdy Owsiaak wraca do „przejętej” i „ukradzionej” TVP! ●

Anglia

Świątynia ducha i ciała



FOT. SUSANA VERA/REUTERS

Zajęcia szkoły jogi w Wieży Normanów – najstarszej, ponad 1000-letniej części średniowiecznej katedry w St Albans Cathedral. Czy pub albo dyskoteka w dawnym kościele powinny urażać wierzącego? Kiedy w Polsce do kościołów zaczną się wprowadzać świeckie przedsięwzięcia? **Odpowiedzi w rozmowie z prof. Tomaszem Polakiem „Czy polskie kościoły zmieniają się w restauracje?” ► Wyborcza.pl/magazyn**

Kod dostępu
do Wyborcza.pl

Wiadomości z kraju
i ze świata
czytaj teraz na

wyborcza.pl

**UŻYJ
BEZPŁATNEGO KODU
i bądź na bieżąco
przez cały weekend ***

M14S7WA

- 1 Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywuj dostęp w ten weekend

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl. Dostęp do serwisu w dniach 27-28.01.2024 r.

Ewa Puszczyńska
Polskie kino jest kobietą

W wtorek ogłoszono nominacje do Oscarów. Osnuta wokół losów Rudolfa Hössa, komendanta Auschwitz, „Strefa interesów” Jonathana Glazera znalazła się wśród 10 obrazów walczących o statuetkę dla najlepszego filmu. I co z tego? To, że współproducentką jest Ewa Puszczyńska.

Urodziła się w 1955 r. w Łodzi, jest anglistką, z produkcją filmową związała się w latach 90. Słynna, nagrodzona Oscarem „Ida” (Odważyłam się zgłosić uwagi do pierwszej wersji scenariusza, jaką dostałam. To był zupełnie inny film od tego, który powstał. Wcześniej polskie filmy były postrzegane jako „smęty”, po sukcesie „Idy” to się zmieniło – wspominała), nagrodzona w Cannes „Zimna wojna”, podbijająca zachodnich krytyków animacja „Zabij to i wyjedź z tego miasta” – stoi za wieloma filmami, którym udało się przebić na świecie. Nie tylko polskim – współproduktowała nominowaną do Osca-



FOT. MARCIN STĘPIEN

ra „Aidé” o wojnie w byłej Jugosławii. A być może Ewę Puszczyńską czeka kolejna nominacja – właśnie z Pawłem Pawlikowskim kręcą dramat „The Island” z Joaquinem Phoenixem – czyli Jokerem i Napoleonem.

Dlaczego producent jest tak ważny, czasami niemal jak reżyser? Bo musi nie tylko mieć nosa pozwalającego rozpoznać hit, wyczuwać trendy, ogarniać cały proces powstawania filmu, ale też swobodnie poruszać się w korytarzach funduszy inwestycyjnych. I wiedzieć, czym skusić dystrybutora w USA, a czym we Francji.

A tak na marginesie, za kamerą nominowanego dramatu (polska premiera 8 marca) stał Polak – Łukasz Żal. Czy „Strefa interesów” dostanie Oscara – dowiemy się w nocy z 10 na 11 marca. ●

Dawid Dróżdż

Andrzej rysuje



Cytat dnia

*Jak wiele ludzkich
istnień udałołoby się
ocalić, gdybyśmy
w 1939 roku
mieli media
społecznościowe
takie jak X?*



ELON MUSK

w Krakowie na konferencji
European Jewish Association

WWW.NEKOLOGI.WYBORCZA.PL/34299042

Z głębokim smutkiem przyjęliśmy
wiadomość o śmierci

Stephena R. Volka

członka Rady Nadzorczej banku Citi Handlowy
w latach 2009-2021.



Wyrazy głębokiego współczucia

Rodzinie i Bliskim

składają

Rada Nadzorcza i Zarząd Citi Handlowy.

Już w niedzielę 32. Finał WOŚP

Zapraszamy do aukcji „Wyborczej”



1 Jesienny spacer po Puszczy Białowieskiej z Adamem Wajrakiem, który jak nikt inny opowiada o zwierzętach i tajemnicach puszczy. Dziennikarz zabierze cię w miejsca, w które przeciętny spacerowicz nigdy nie trafia.



2 Nocleg w drewnianej chacie w górach i wycieczka w Tatry Zachodnie z Bartłomiejem Kurasem – dziennikarzem i autorem książek o tematyce górskiej.



3 Dzień w redakcji „Gazety Wyborczej” i „Wysokich Obcasów”. Zajrzyj do gabinetu Adama Michnika, podyskutuj z dziurnymi o tym, co znajduje się w kolejnym wydaniu „Wyborczej”. Opoprowadzą cię wicenaczelnym „Wyborczej” Roman Imielski i szefowa „Wysokich Obcasów” Monika Tutak-Goll.



4 Spacer i obiad z Władysławem Frasyniukiem i Beata Maciejewską, dziennikarką „Wyborczej”, która współpracowała z Frasyniukiem przy kampanii do wyborów w 1989 r. Dobre jedzenie, wyborne towarzystwo i porywająca dyskusja gwarantowane.



5 Dożywotni karnet na Olsztyn Green Festival dla dwóch osób. Co roku występują tam największe gwiazdy, byli już: Podsiadło, Kult, Bajm, Nosowska – w przyszłości nie będzie inaczej. Latem tego roku w Olsztynie zagrają m.in. Edyta Bartosiewicz i Kwiat Jabłoni.



6 WOŚP możesz również wesprzeć, wrzucając datkę do skarbonki: **eskarbonka.wyborcza.pl**

Nie przegap naszych aukcji w najlepszej orkiestrze świata! Szczegóły wszystkich naszych aukcji: **Wyborcza.pl/wosp**

Obuwie dobre nie tylko dlatego, że solidne

Szewc bez butów chodzi

Bo oddał czerwone glany Owsiakowi. I to niejedne

Urazińska



Zakład jest mały, niepozorny. Piotr Świątek ma swój warsztat tuż przy oknie. Przez dużą szybę ma widok na okolice remontowanej od miesięcy ulicy na łódzkich Bałutach. Klientów widzi, zanim jeszcze otworzą drzwi. A otwierają często, bo – jak zauważa Świątek – ludzie przyzwyczajają się do swoich butów. Wielu, zamiast biec po nowe, woli oddawać do naprawy te solidne i wygodne, proszą o wymianę fleków, startych spodów, wymianę zamków i odświeżenie. Przez tę szybę Świątek widział też Jerzego Owsiaka, który szedł do niego na kawę.

Buty za 15 tysięcy z wartością dodaną

– Bardzo fajny człowiek. W Łodzi był w zeszłym roku przy okazji odsłaniania serca, pomnika WOŚP, i choć jest bardzo zabiegany, wpadł do mnie, taki kawał od centrum, żeby chociaż chwilę porozmawiać – wspomina.

Skąd u Owsiaka pomysł, żeby wpaść na kawę u szewca z Bałut? Bo Piotr Świątek już od lat robi glany na WOŚP.

Ale najsłynniejszym szewcem w Polsce stał się dopiero na początku tego roku, kiedy ktoś zachwycił się w internecie – choć przecież wcześniej kto chciał, ten wiedział, poprzednimi razy pisywały o jego butach lokalne media – szewcem, który „robi buty dla Owsiaka”, podchwyciły to duże redakcje i się zaczęło. Ale nie narzeka, że dziennikarze tacy jak ja zawracają mu głowę, a robota czeka. Dzięki temu może glany wylicytują się wyżej.



• Jerzy Owsiak i Piotr Świątek przed jego zakładem szewskim (a na pierwszym planie autograf Owsiaka) FOT. TOMASZ STANCAK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Już tradycyjnie, każdego roku, Jerzy Owsiak przymierza podarowane mu przez Świątkę buty i potem przesyła szewcowi zdjęcie. Tradycyjnie też par jest więcej. – Jedne dla Jurka, drugie na licytację – mówi Piotr Świątek. – Bardzo się cieszę, że możemy pomóc, bo twórca WOŚP jest wspaniałym człowiekiem, a akcja jest pełna dobra. Pierwsze glany zostały wylicytowane za 15 tys. złotych, a ze wszystkich wylicytowanych par na konto fundacji trafiło ponad 70 tys. złotych. Mam nadzieję, że kiedyś uda się pobić ten rekord.

Pierwsze glany były czerwone. – Później robiliśmy też brązowe, granatowe, ale wiem, że Jurek najbardziej lubi czarne. Takie są właśnie tegoroczne – mówi szewc. Cholewki są czarne – robi je zaprzyjaźniony cholewkarz. Na czubkach – symbole WOŚP wykonane przez zaprzyjaźnioną hafciarnię. Spodły od lat wykonuje ten sam producent. – My tu razem pracujemy dla WOŚP, mała fabryka, wszyscy charytatywnie

– podkreśla Piotr Świątek. – Ja te buty później zszywam z przygotowanych kawałków. Zaczynamy już w sierpniu, gdy dostajemy logotypy z Fundacji WOŚP, żeby wszystko było gotowe na czas.

Cholewkarzem z obuwniczego teamu WOŚP jest Robert Nadarzyński, ha-

fty robi hafciarnia Maxi, a spodły – producent spodów obuwniczych MSU.

Za artystę się nie uważam, na zarobki nie narzekam

Swoją pracę Piotr Świątek lubi i wykonuje od 28 lat (pasję do szewstwa przejął od dziadka i ojca, ale własnej córki w tym fachu nie widzi, choć zna dwóch doskonałych szewców kobiety). Pracuje z sercem – rzadko narzeka na klientów, na zarobki nie narzeka wcale. Pracuje również z fantazją i wychodzi poza schematy. Jak wtedy, gdy z okazji mistrzostw Europy w piłce nożnej postanowił obdarować własnoręcznie wykonanym obuwem w barwach białoczerwonych komentującego w radiu mecze Tomasza Zimocha.

Albo później, gdy zrobił buty z logo „Solidarności”, które zamierza podarować Lechowi Wałęsie, gdy dostanie zgodę na oficjalne wykorzystanie tego znaku.

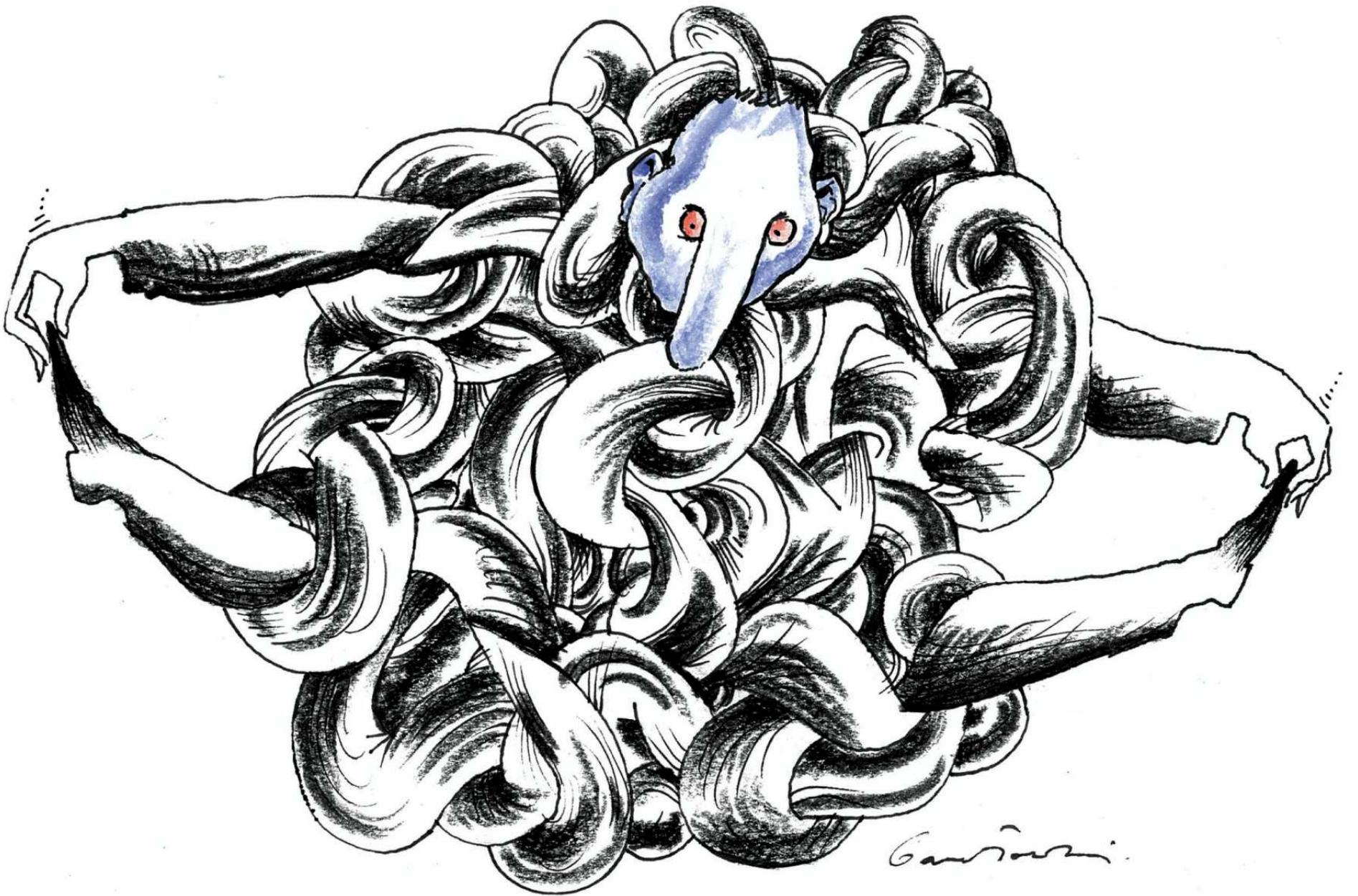
W jego butach chadzali też koszykarz Marcin Gortat i muzyk Jan Borysewicz. Ale do szewca na Bałuty może przyjść każdy. Są klienci z całej Łodzi, a ci najwierniejsi, którzy wyjechali, przysyłają obuwie do naprawy z zagranicy. Gdy rozmawiamy, w drzwiach stała klientka z kozaczką w rękę. – Tu flek trzeba wymienić szybciotko, przysłałam do pana po ratunek.

Do Fundacji WOŚP Piotr Świątek zgłosił się przed 25. finałem, ponad siedem lat temu. – Za artystę się nie uważam, za to rzemieślnikiem jestem dobrym i potrafię robić buty. Za proponowałem, że tak mogę pomóc, że chcę zrobić glany dla Jurka Owsiaka. Pomysł się spodobał. Mnie też, dlatego na każdy finał przygotowuję nowe glany. Tegoroczne mają na cholewkach wyhaftowane hasło 32. Finału WOŚP: „Tu wszystko gra”. ●

Agnieszka Urazińska

Uszył białoczerwone buty dla komentującego w radiu mecze piłkarskich mistrzostw Europy Tomasza Zimocha, buty z logo „Solidarności” dla Wałęsy, buty dla Marcina Gortata. Ale do szewca na Bałuty może przyjść każdy, po prostu wymienić fleki

RZĄD MOŻE WSZYSTKO



Po ośmiu latach PiS powstało państwo, w którym nie ma już żadnego „imposybilizmu”

Klaus Bachmann

Ozy ktoś dziś jeszcze pamięta oburzenie, kiedy Martin Schulz, wówczas przewodniczący Parlamentu Europejskiego, porównał Polskę podczas przejęcia Trybunału Konstytucyjnego do Rosji, Węgier i Białorusi? Oburzenie wykraczało daleko poza kręgi PiS. Teraz to politycy PiS porównują Polskę do Białorusi, albo dosłownie, albo nazywając dwóch prawomocnie skazanych przestępców ze swoich szeregów „więźniami politycznymi”.

Powód obecnego oburzenia jest błahy: nowy rząd nie przeprowadził rewolucji ustrojowej jak PiS w 2016 r., lecz jedynie zastąpił kierownictwo mediów publicznych, odesłał prokuratora krajowego z powrotem w stan spoczynku i wykonał prawomocny wyrok kar-ny. To wystarczyło, aby Jarosława Kaczyńskiego skłonić do rozmyślań o ogłoszeniu strajku generalnego.

Polecam mu lekturę medium, z którego w ostatnich latach lał się niekończący się strumień jadu i tak prymitywnej propagandy, że obrażała inteligencję nawet najzgorzalszych zwolenników PiS. Portal wPolityce ostatnio tak streścił sejmowe przemowy posłów PiS: „Polska niestety stała się znowu państwem silnym wobec słabych”. To najbardziej surowa (choć niezamierzona) samokrytyka ośmiu lat rządów PiS, jaką słyszałem: tak, po ośmiu latach mamy państwo, które głównie nadaje się do tego, aby schlebiać silnym, wspierać bogatych, chronić rządzących przed odpowiedzialnością i bić słabszych. Takie państwa nazywają się państwami policyjnymi, autokracjami, państwami autorytarnymi. PiS ustanowił porządek polityczny, który wyglądał na demokratyczny, ale był i jest autokratyczny.

Dobrze znam kontrargumenty: jak kraj, w którym rząd przegrał wybory i przekazał władzę opozycji, może być niedemokratyczny, a nawet autokratyczny? A jednak tak jest (o czym zaraz więcej) – i, co ważniejsze, ma daleko idące konsekwencje dla sposobu, w jaki nowy rząd i nowa wię-

szość parlamentarna mogą, i być może nawet będą musiały, się posługiwać organami tego państwa. To dylemat, który zwykle pojawia się tylko przy przejściu od autokracji do demokracji: jak demokratyzować kraj, nie naruszając podstawowych zasad demokracji i praworządności?

Wybory same w sobie nie są dobrym kryterium odróżniającym demokrację od autokracji. Poza kilkoma monarchiami, takimi jak Arabia Saudyjska i Maroko, poza kilkoma jednopartyjnymi dyktaturami, jak Chiny i Korea Północna, wszystkie państwa przeprowadzają w miarę regularnie wybory powszechne. Nawet najkrwawszy dyktatorzy, jak Putin i Asad, chcieli legitymizować przez nie swoją władzę. Takie wybory są zazwyczaj powszechne, równe, tajne i bezpośrednie, ale nie są ani wolne, ani uczciwe i zazwyczaj z góry wiadomo, kto wygra.

Fakt, że w ogóle mają miejsce, daje możliwość pokojowego obalenia rządzących – tak jak miało to miejsce w 2000 r. w Serbii i w Chorwacji – ale samo z siebie nie

oznacza to jeszcze, że te kraje były wtedy demokratyczne. Kiedy rząd kontroluje zbieranie i liczenie głosów i izbę sądu decydującą o ważności wyborów, kiedy pod- słuchuje opozycję i może nią dowolnie manipulować, kiedy ma monopol informacyjny w ważnych regionach kraju i nadużywa go, aby dyskredytować opozycję i wychwalać siebie, wtedy politolodzy mówią o „konkurencyjnym autorytaryzmie” albo o „systemie hybrydowym”, czymś między demokracją a dyktaturą. Demokracja jest nie do pomyślenia bez trójpodziału władzy – a to on właśnie został zniesiony w Polsce.

Stopniowo pierwsza władza, egzekutywa, pozbawiła parlament władzy i przekształciła go w rządową maszynkę do głosowania. Wciąż istniała opozycja, ale nie miała nic do powiedzenia, raz nawet budżet został uchwalony bez niej. PiS zmienił regulamin Sejmu, z marszałka Sejmu zrobił małego dyktatora, wprowadził przyspieszone procedury legislacyjne i korzystał z poselskiej inicjatywy ustawodawczej, aby pominąć konsultacje społeczne, uzgodnienia międzyresortowe i odebrać

opozycji możliwość mobilizacji ulicy. Wprowadzenie licznych funduszy celowych poza budżet odbierało posłom (w tym też własnym) kontrolę nad finansami państwa – to naruszenie podstawowej zasady demokracji od czasów rewolucji amerykańskiej, której ojcowie postulowali „no taxation without representation”.

Może powstać mylne wrażenie, jakoby te działania wzmocniły egzekutywę kosztem legislatywy i wymiaru sprawiedliwości – ale tak nie jest. Wzmocniony został rząd. Prezydent, który też należy do egzekutywy, jest słabszy niż kiedykolwiek od wprowadzenia powszechnych wyborów prezydenckich. Osobiste cechy Andrzeja Dudy nie odgrywają tu większej roli, choć one zapewne odpowiadają za to, że nie przeciwstawiał się skarłowaceni swojemu urzędowi. Kiedy w 2016 r. pomagał rządowi podporządkować Trybunał Konstytucyjny, to pozbawił siebie możliwości ostatecznego blokowania ustaw. Pozostało mu tylko wetowanie ustaw, które Sejm może przywrócić trzema piątymi głosów. Sejm nie ma takiej możliwości w przypadku ustaw, które prezydent przesyła do Trybunału przed ich podpisaniem – ale ta ścieżka stała się dla głowy państwa bezużyteczna po tym, jak Duda osłabił sam siebie, mianując lojalnych wobec rządu sędziów i przesekę, a nie mianując niezależnych od rządu sędziów.

W ciągu ośmiu lat prezydent stracił też jakikolwiek wpływ na politykę europejską, którą przejął premier, i na media publiczne, które stały się rządowe. Nawet jego weto stało się tępym mieczem: rząd Morawieckiego mógł go obejść za pomocą Trybunału Konstytucyjnego, tak jak to zrobił przy zaostreniu prawa aborcyjnego – zamiast uchwalić ustawę zmieniającą istniejącą ustawę aborcyjną, którą prezydent mógłby zawetować, grupa posłów PiS zaskarżyła istniejącą ustawę do Trybunału, a ten ją skasował. Efekt był ten sam co przy nowelizacji, tylko że odbyło się to zupełnie bez udziału prezydenta. Zamiast zbierać w Sejmie 231 albo – na wypadek prezydenckiego weta – nawet 276 posłów, do wejścia w życie tak powstałego nowego prawa wystarczyło trzech z pięciu sędziów.

Podobnie sprawa ma się z czwartą władzą: media publiczne i prywatne rząd przejął albo bezpośrednio dzięki Radzie Mediów Narodowych, albo pośrednio za pomocą Orlenu, który przejmując Polska Press, kupił pakiet ważnych gazet regionalnych. Na treść propagandy, którą te media potem szerzyły, ani prezydent, ani parlament nie mieli wpływu (co zresztą było powodem ostrych spiek między prezydentem, rządem i Jackiem Kurskim).

Na tym nie koniec: przez osiem lat rządów PiS ciągle odwracał legislacyjny kota ogonem. W demokratycznych krajach ustawę uchwała się, korzystając z inicjatywy ustawodawczej rządu lub prezydenta. Projekty są uzgodnione między ministrami, uchwalone na posiedzeniu Rady Ministrów i poddawane konsultacjom ekspertów i zainteresowanych stron, w tym też lobbystów. Podczas tej procedury wszyscy zainteresowani mogą zgłosić postulaty zmian, wskazać na potencjalne skutki, które bywają czasami odwrotne od zamierzonych. Dzięki temu można obliczyć koszty i w miarę przewidzieć reakcje tych, których dana ustawa dotyczy. Na końcu ustawa przechodzi przez trzy czytania w Sejmie, idzie do Senatu i łąduje u prezydenta na biurku. Ma też odpowiednie *vacatio legis*, pozwalające tym, których dotyczy, dostosować się do nowych wymogów.

PiS przewróciło ten porządek do góry nogami. Aby ominąć konsultacje, to nie rząd, lecz „grupa posłów” wsparta przez ministerstwo zgłaszała projekty ustaw, większość sejmowa przeprowadzała pośpiesznie trzy czytania w ciągu jednej doby, do wyborów 2019 r. Senat przyklepał takie projekty bez zmian, prezydent podpisywał w nocy i rano nowa ustawa wchodziła

ła w życie, czasami z bardzo krótkim *vacatio legis* albo bez żadnego. Skutki ujawniły się potem. Wtedy rząd równie pośpiesznie przygotowywał nowelizację, którą z marszu przepychał przez Sejm i Senat, prezydent podpisywał, znowelizowana ustawa wchodziła w życie – po czym okazywało się, że ma ona teraz inne nieoczekiwane i niechciane skutki i trzeba ją ponownie nowelizować. Tak było z ustawami okolicowymi, „reformą” wymiaru sprawiedliwości, ale też z ustawami podatkowymi i celnymi. Czasami, jak przy ustawie o IPN, włączono w ten ciągły proces naprawy jeszcze Trybunał Konstytucyjny.

W ten sposób powstała masa niespójnego, niechlujnego i często nawet dla specjalistów niezrozumiałego prawa. Karuzela lobbystów, która w Sejmie mniej lub bardziej przejrzysto nawiedzała komisje i nagabywała posłów w kularach, przeniosła się z Wiejskiej w Aleje Ujazdowskie do siedziby kancelarii premiera i do poszczególnych ministerstw, aby tam w sposób już kompletnie niejawni wywierać wpływ na kształt nowego prawa. Kto szuka źródeł licznych afer, które teraz wychodzą na światło dzienne – ten je znajdzie w takim trybie stanowienia prawa.

Potem rząd Morawieckiego poszedł jeszcze krok dalej: podczas pandemii zaczął ograniczać prawa konstytucyjne (jak wolność przemieszczania się) rozporządzeniami. Treść niektórych była sprzeczna z ustawą o ochronie zdrowia (a więc z aktem wyższego rzędu) i z konstytucją (a więc aktem najwyższego rzędu). Ale policja, sanepid i ministerstwa stosowały je bez wahania. Sądy potem unieważniły pojedyncze decyzje, na przykład niebotyczne kary administracyjne za naruszenie sprzecznych z prawem i konstytucją rozporządzeń, ale wyłączenie *post factum*, kiedy dziecko już zostało wylane z kąpielą.

Przy tej okazji rząd zupełnie wbrew woli i jego własnej propagandzie wzmocnił władzę sądów powszechnych. Im bardziej chaotyczne, im mniej spójne i im mniej zrozumiałe jest prawo i im częściej się zmienia, tym więcej potem obywatele toczą o nie sporów – i tym większy wpływ na ich życie i na życie publiczne mają sędziowie. I tym dłużej trwają procesy sądowe i tym dłuższe są kolejki przed sądami. Ten akapit dedykuję szczególnie politykom Suwerennej Polski, bo pokazuje, że nawet gdyby ich „reforma wymiaru sprawiedliwości” nie pogrążyła się w niekończących się kłótniach wewnątrz rządu i na styku z Komisją Europejską i europejskimi sądami, to i tak nie miała szans na usprawnienie sądownictwa.

To brzmi groźnie, ale też trochę śmiesznie, choć dla dotkniętych tym obywateli śmieszne nie było. Naprawdę groźnie zrobiło się w wyniku kryzysu migracyjnego na pograniczu białoruskim. Wtedy rząd ogłosił czasowo i terytorialnie ograniczony stan wyjątkowy, który pozwolił mu na ograniczenie swobód obywatelskich, po czym wpisał regulacje stanu wyjątkowego w ustawę uprawniającą ministra spraw wewnętrznych do narzucenia tych regulacji na mocy rozporządzenia. I oto mieliśmy rząd, który zwykłym rozporządzeniem wprowadził stan wyjątkowy, bez kontroli parlamentu, bez możliwości wetowania przez prezydenta.

Teraz przejście przez rząd mediów rządowych i areszt dla dwóch byłych członków rządu politycy PiS określają jako zamach stanu. Ale kroczący zamach stanu miał miejsce wtedy: między wybuchem epidemii i początkiem rosyjskiej inwazji na Ukrainę. Wtedy żyliśmy w państwie rządzonym na mocy dekretów, w którym ministrowie arbitralnie decydowali, kto w jakich warunkach może korzystać z podstawowych swobód obywatelskich.

Ten pełzający zamach nie rzucił się w oczy, bo Morawiecki i jego ministrowie tak nieudolnie korzystali ze swojej władzy, że potykali się o własne nogi i zaplątывali we własnych przepisach – najlepsza ilustracja to Polski Ład. Dzięki ich zagubieniu ma-

ło kto zastanawiał się, co mniej nieudolny rząd mógłby poczynić z takimi narzędziami. Trochę pokazał to Zbigniew Ziobro, który przekształcił prokuraturę w aparat selektywnych represji: kto trzymał z nim, był bezkarny, kto był przeciwko niemu, tego spotkała cała surowość prawa karnego, które w dodatku nieustannie zaostrzał (co teraz może się przykro odbić na niektórych politykach PiS, jak np. na związanym z aferą wizową byłym wiceministrze spraw zagranicznych Piotrze Wawrzyku).

Ten sposób działania organów ścigania znałem wcześniej tylko z Ukrainy w czasach prezydentów Kuczmy i Janukowycza i z Białorusi po przejściu władzy przez Łukaszenkę – co pośrednio przyznaje rację tym politykom PiS, którzy twierdzą, że teraz w Polsce nastąpi druga Białoruś. Zgadza się – po ośmiu latach ich rządów w Polska ma wiele podobieństw do Białorusi.

Tym państwem rządzi teraz rząd Tuska. To państwo, które steruje policją, prokuraturą i administracją publiczną za pomocą rozporządzeń sprzecznych z ustawodawstwem i z konstytucją oraz kontroli nad drukarnią, która publikuje Monitor Polski. Po ośmiu latach PiS nie ma już żadnego „imposybilizmu” – rząd może teraz wszystko. Jeśli tylko zechce i potrafi – inaczej niż rząd Morawieckiego, który nie potrafił – to może zrzucić wszystkie konstytucyjne ograniczenia swojej władzy i rządzić, jak się rządzi w państwach autorytarnych: na górze rząd, który nie musi się liczyć z nikim, obok niego parę fasadowych instytucji, które udają, że są niezależne, na dole obywatele, którzy w sporze z rządem zawsze przegrywają i którym wymiar sprawiedliwości nie służy do ograniczenia samowoli rządzących, lecz jedynie do rozwiązywania prywatnych sporów i do ścigania pospolitych przestępców.

Tak nie jest, ale może być, bo nowy rząd – i każdy inny, który przyjdzie po nim – wszystkie konieczne narzędzia dostał od PiS. Jeśli Kaczyński, Duda albo Trybunał Konstytucyjny przeszarżują w obronie swoich interesów partyjnych i towarzyskich, to mogą odczuć na własnej skórze, czym grozi konflikt z takim państwem. Aresztowanie Kamińskiego i Wąsika i pokojowe przejście telewizji i radia to pestka w stosunku do tego, co ich wtedy czeka.

Rozwiązanie Sejmu przez prezydenta będzie wyglądać jak strajk generalny Kaczyńskiego: nikt go nawet nie zauważy

Wobecnej sytuacji nowa koalicja ma dwie skrajne ścieżki, którymi może podążać: ugodową i konfrontacyjną.

Ugodowa polega na tym, aby się pogodzić z głębokim okopaniem się PiS na pozycjach i próbować negocjować kompromisy. Tak wyglądało podejście Dudy i Tuska do

słynnej komisji badającej wpływy rosyjskie, której „raport” miał umożliwić prezydentowi odmowę zaprzysiężenia premiera Tuska – a Tuskowi umożliwiłaby wykorzystanie jej przeciwko wiodącym politykom PiS. Duda i Tusk zamiast z tego miecza skorzystać, wyrzucili go na złomowisko. Podobnie było z odwołaniem ambasadora przy UE, wobec którego prezydent zademonstrował brak zainteresowania. Potem było co prawda zwarcie w sprawie „mediów narodowych”, kary dla Wąsika i Kamińskiego i pozbycie się przez ministra Bodnara prokuratora krajowego – niemniej na razie wygląda na to, że rząd posuwa się naprzód krok po kroku, pragmatycznie, ostrożnie, licząc na to, że za dwa lata będzie miał do czynienia z przychylniejszym prezydentem, który nie przeciwstawia się „terrorowi praworządności”, bo nie musi bronić własnych decyzji z przeszłości i ludzi, z którymi się związał.

Lecz ścieżka ugodowa napotka wkrótce kilka bardzo wysokich przeszkód.

Po pierwsze: wbrew temu, o czym obecnie cały kraj dyskutuje, to nie prezydent, tak osłabiony, jest główną przeszkodą przy redemokratyzacji kraju i przywracaniu praworządności. Są nimi Trybunał Konstytucyjny i Krajowa Rada Sądownictwa. Jeśli ten pierwszy zostanie w obecnym kształcie, to do 2027 r., czyli przez całą kadencję obecnego parlamentu, nominaci PiS będą tam stanowić większość. Jeśli KRS przetrwa w obecnym kształcie, to do objęcia urzędu przez nowego prezydenta wpompuje do wymiaru sprawiedliwości jeszcze kilka tysięcy sędziopodobnych prawników, których sądy europejskie nie uznają za niezależnych sędziów. Za granicą składy z ich udziałem nie będą traktowane jako prawidłowo obsadzone, a w kraju ich wyroki można będzie podważyć w wyższych instancjach. W ten sposób „reforma wymiaru sprawiedliwości” przetrwa twórców, a bałagan i niepewność jeszcze bardziej się pogłębią.

Po drugie, droga ugody jest problematyczna z tego prostego powodu, że wkrótce rządowi zabraknie partnerów do kompromisu. Z prezydentem Tusk może zawierać kompromisy w sprawach, które są w gestii rządu – czy Duda złoży weto lub nie i w jakich warunkach. Ale jak negocjować kompromisy z Trybunałem Konstytucyjnym albo z klubem PiS – którego członkowie też mogą słać skargi do Trybunału nawet wbrew woli swoich władz? A jeśli na przykład klub PiS się rozpadnie?

Te przeszkody można omijać, ba, można je nawet rozbić za pomocą narzędzia, które PiS sam stworzył. Jeśli można regulować materię konstytucyjną rozporządzeniami ministra spraw wewnętrznych, to czemu nie regulować składu KRS i Trybunału Konstytucyjnego również za pomocą rozporządzenia? Tego prezydent wetować nie może, rozporządzenia nawet nie trafiają doń do podpisu. Co prawda on albo grupa posłów może wnioskować o kontrolę ze strony TK. Ale co, jeśli wtedy rząd korzysta ze zdobyczy PiS i niekorzystnego dla siebie wyroku po prostu nie opublikuje?

Obecnie trybunał sam się o takie traktowanie prosi, wydając zabezpieczenia *ex post* dotyczące spraw poza jego kompetencją, co do których skarżący nie wyczerpał jeszcze wszystkich instancji. Najbardziej jaskrawym przykładem jest skarga konstytucyjna Dariusza Barskiego, zaufanego człowieka Ziobry, na usunięcie go z funkcji prokuratora krajowego przez ministra Bodnara, po której natychmiast nastąpiło „zabezpieczenie”, choć łańcuch instancyjny nawet nie został zapoczątkowany. Z kolei wyrokiem cofającym zmiany w TVP i Polskim Radiu TK wchodzi w kompetencje sądów rejestrowych.

Na razie rząd takie orzeczenia ignoruje albo publikuje z adnotacją. To działa, dopóki wyroki tylko nakazują rządowi określone zachowanie albo zakazują ich. Ale co zrobić, jeśli takie wyroki dotyczą też praw obywateli, organizacji pozarządowych lub innych podmiotów, które potem będą się do-

magać respektowania korzystnego dla nich wyroku i pójść z tym do Strasburga albo Luksemburga?

Można oczywiście – i obecnie rządzący składają się do tego – mozolnie naprawić skład TK, wprowadzając tam na mocy uchwał sejmowych trzech niezaprzyśiężonych sędziów wybranych w 2015 r. i odwołując – znów na mocy uchwał sejmowych – sędziów nieprawidłowo wybranych. Szkopuł w tym, że do 2027 r. nadal nominaci PiS będą mieli tam większość. I jeszcze w tym, że w świetle tego, jak pozostali sędziowie TK zostali wybrani i jak się zachowywali, ci prawidłowo wybrani też nie dają żadnej gwarancji niezależności. Na pewno są oni niezależni od obecnego rządu, ale czy z tego powodu spełniają już wymóg niezawisłości w rozumieniu konstytucji, Europejskiej Konwencji Praw Człowieka i Traktatów UE?

Sejmowa uchwała kwestionująca cały skład TK i jego status jako niezawisłego sądu konstytucyjnego oraz wzywająca rząd do całkowitego zaprzestania publikacji wyroków TK byłaby przecieciem węża gordyjskiego. W podobny sposób nowa władza mogłaby się obejść z KRS i potem na mocy rozporządzenia wybrać nowe składki obu instytucji.

Ktoś powie, że to na rympał, że wbrew konstytucji. Tak, to na pewno na rympał. Ale to skuteczne i całkowicie zgodne z zasadami państwa, jakie PiS sam tworzył.

W tym państwie nie jest bowiem ważne, kto ma rację i po której stronie jest prawo, lecz jedynie to, kto ma władzę, kto kontroluje budżet, policję, prokuraturę, administrację i czyje polecenia wykonują urzędnicy. A od czasów pandemii, kryzysu na granicy białoruskiej i Strajku Kobiet wiemy: policjanci i urzędnicy wykonują każde polecenie, obojętnie, czy jest ono zgodne z prawem czy nie. Wykonują polecenia tych, którzy im płacą i którzy mogą ich zwolnić i ukarać.

Niektórzy politycy PiS właśnie przekonali się o tym na własnej skórze: policja na polecenie obecnego ministra spraw wewnętrznych aresztowała byłego ministra spraw wewnętrznych, choć ten pierwszy jeszcze nie zdążył przeczyć kierownictwa policji (i w świetle ostatnich wydarzeń chyba nawet nie musi tego zrobić). Funkcjonariusze SOP, na których lojalność liczono w urzędzie prezydenckim, wybrali lojalność wobec nowych władz.

W tym świetle Tusk nie musi się obawiać, że prezydent prześle budżet do TK i rozwiąże Sejm. Nawet nie dlatego, że sondaże wskazują, że to może się skończyć jeszcze większą przegraną PiS. Lecz dlatego, że to administracja rządowa, a nie prezydent, przeprowadza nowe wybory; to rząd, a nie prezydent płaci urzędnikom i może ich zwolnić z pracy. To rząd kontroluje budżet Pałacu Prezydenckiego, nie odwrotnie. Jeśli rząd tak zechce, to rozwiązanie Sejmu przez prezydenta będzie wyglądać jak strajk generalny Jarosława Kaczyńskiego: nikt go nawet nie zauważy.

Iżadne nocne okupacje budynków przez sędziwych posłów PiS, żadne donosy do Brukseli rządu nie powstrzymują. Za czasów premierów Szydło i Morawieckiego opozycja dość skutecznie mobilizowała ulicę i za granicę – choć nie powstrzymało to budowy państwa policyjnego, opóźniała ją. PiS nawet tego nie może: jego elektorat jest zbyt stary, rozproszony i biedny, aby co parę miesięcy przyjeżdżać i paraliżować stolicę milionowymi marszami. Nieco przejawiając: ostatnie osiem lat można opisać jako panowanie 30 proc. polskiego PKB nad 70 proc.

Umożliwiał to drenaż budżetu państwa i koncernów państwowych. Lecz Telewizja Republika właśnie się przekonuje na własnej skórze, jak wygląda życie bez takiego drenażu: można mieć dużo widzów, ale jeśli ci nie mają odpo-

**W państwie
zbudowanym przez
PiS nie jest ważne,
kto ma rację i po której
stronie jest prawo,
lecz kto kontroluje
budżet, policję,
prokuraturę,
administrację i czyje
polecenia wykonują
urzędnicy**

wiednio grubych portfeli, to i tak reklamodawcy uciekają gdzie indziej.

W ciągu ośmiu lat rządzenia nie udało się PiS uniezależnić się od pepowiny z budżetu: nie stworzył samodzielnego imperium medialnego ani żadnego biznesu, który pozwala partii przetrwać cztery lata opozycji. Afery, jakie dotąd wyszły na jaw, pokazują nie tylko zachłanność działaczy partyjnych, ale też ich skrajny egoizm i kompletną nieudolność liderów, którzy nie zdołali przekształcić drenażu podatników w zrównoważone, stabilne i trwałe inwestycje dla partii. Praktycznie wszystkie owoce korupcji, kumoterstwa i oszustw zniknęły w prywatnych kieszeniach, partia nic z tego nie ma.

Co przez osiem lat sprzyjało PiS, teraz sprzyja obecnie rządzącym: mogą przeczekać każdy protest i czekać, aż PiS padnie.

A Kaczyńskiemu brakuje też drugiego końca tego kija pod nazwą „ulica i zagranica”: skargami do Brukseli, Waszyngtonu albo, o zgrozę, do Berlina nic nie wskóra, bo będą kompletnie niewiarygodne. Poza Moskwą, Mińskiem, Ankarą i Budapesztem nikt nie uwierzy, że w Polsce są więźniowie polityczni. Prezydent Duda może

o tym gawędzić w Davos, ale każdy z jego rozmówców zna szczegóły tych spraw ze swoich mediów, z raportów zachodnich ambasad w Warszawie i z opracowań międzynarodowych think tanków. Jeśli PiS chce teraz mobilizować zagraniczną opinię publiczną przeciwko nowemu rządowi, to tylko zbierze owoce swojej własnej polityki zagranicznej. To będą bardzo gorzkie owoce.

To dość ponury widok dla Kaczyńskiego i jego otoczenia. Doprowadzili do sytuacji, w której musieli wygrać wybory, aby nie trafić do więzienia. Mieli wszystkie narzędzia ku temu, aby wygrać, ale i tak przegrali. Teraz czeka ich konfrontacja z państwem policyjnym, które przez osiem lat sami zbudowali.

I tu mam dla nich dobre wieści: ono będzie się z nimi boksować znacznie poniżej swojej wagi. Powód: ta tak znienawidzona przez PiS Unia Europejska, owa „wyimaginowana wspólnota, z której niewiele wynika”, będzie ograniczać pole manewru nowego rządu, podobnie jak robiła to z rządami Beaty Szydło i Mateusza Morawieckiego. Nie dlatego, że UE wierzy w okrzyki o represjach i więzieniach politycznych, lecz dlatego, że rządowi zabraknie partnerów do zawierania kompromisów w Brukseli.

Wobec pustej kasy i rozchwianych finansów państwa nowy rząd pilnie potrzebuje środków z UE. Być może słusznie liczy, że je dostanie nie za konkretne zmiany ustaw, tylko za szczerą chęć do przywracania praworządności, to znaczy za to, że Sejm i Senat uchwalają ustawy, które prezydent co prawda zablokuje, ale potem zostaną uchwalone ponownie po wyborach prezydenckich 2025 r. Być może Tusk przekona Verę Jourovą i Ursulę von der Leyen, że praworządność da się tylko przywracać metodami niepraworządnymi – sprzecznymi z prawem wyższego rzędu rozporządzeniami i uchwałami Sejmu, za którymi

potem idą daleko idące akcje organów państwa.

Nawet jeśli to się uda, trzeba pamiętać, że w tym roku zmieni się i skład Parlamentu Europejskiego, i Komisji Europejskiej – i nowa Komisja może na takie nieformalne uzgodnienia nieco inaczej patrzeć niż von der Leyen i Jourova. W dodatku KE, jakkolwiek by była po wyborach europejskich, nie ma wolnej ręki przy zawieraniu takich uzgodnień. Właśnie pokazuje jej to Parlament Europejski, skarżąc wypłaty dla Węgier (właśnie w ramach takiej nieformalnej ugody) do Trybunału Sprawiedliwości UE.

Praktycznie wszystkie przeszkody do wypłacania środków UE wynikają z orzeczeń TSUE. Z nim rząd kompromisów i nieformalnych uzgodnień negocjować nie może. Tu wszystko będzie się odbywać na zasadzie prób i błędów. Może nawet powstać sytuacja, w której TSUE uzna, że obecny skład KRS jest tak samo spreczny z traktatami UE, jak i próba jego zmiany bez odpowiedniej ustawy.

Może sam widok posłów PiS odbijających się od kolejnych drzwi w Brukseli przy próbach donoszenia, skarżenia się, lobbowania i zapobiegania o poparcie w instytucjach „europejskiego okupanta”, który „szantażuje Polskę pieniędzmi” zrekompensuje politykom koalicji rządowej ich wysiłki przy sprzątaniu po PiS. Ale i tak bardzo trudno będzie się oprzeć pokusie przecięcia węża gordyjskiego metodą Aleksandra Wielkiego.

Naciskani przez zwolenników, lobbowani przez tych, którzy byli lub czuli się przez te osiem lat skrzywdzeni, pod presją radykalniejszej części opinii publicznej nawet najbardziej demokratyczni i praworządni politycy koalicji rządzącej będą musieli zrozumieć, na czym polegają ukryta groza populizmu i jad tego, co PiS kiedyś nazywał „IV RP”: że autokratyczna pokusa zaraża nawet tych, którzy chcą ją zwalczać. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

34295976

Szczera opowieść o życiu po zrzuceniu sutanny

I ZAKŁADANIU RODZINY,
GDY TWOIM ZAWODEM JEST „KSIĄDZ”

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL

WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA **publio.pl**

**Wydawnictwo
Agora**

Ani III, ani IV. Proponuję V RP

My, Polacy, mamy problem z pojęciem prawa

Matczak



W czasach, gdy rezygnuje się z zadań domowych, ja mam dla Państwa takie:

„Na przykładzie »Kupca weneckiego« wyjaśnij, co znaczy »działać legalnie«, odnosząc sztukę Szekspira do współczesnej Polski”.

Oto zarys fabuły: Żyd Shylock zawiera umowę pożyczki z chrześcijaninem Antoniem. Jeśli ten nie zwróci na czas pieniędzy, Shylock ma prawo odebrać jako zapłatę funt ciała pożyczkobiorcy. Pożyczka nie zostaje spłacona na czas, więc Shylock żąda swojej zapłaty. I wybiera sobie konkretny funt ciała Antonia: jego serce.

Czy Shylock działa legalnie? Działa na podstawie litery prawa – umowa mówi „funt ciała”, serce to ciało, więc formalnie nie bardzo jest jak się bronić. Ale wycięcie serca doprowadzi do sytuacji, która jest bezprawna: Antonio zginie. Dura lex, sed lex? Shylock wyciska z litery prawa to, co najgorsze. Czy mu wolno?

Shylock używa litery prawa jako narzędzia zemsty. Reprezentuje lud poniewierany i dyskryminowany, który chce odpłaty. Nie akceptuje świata, który go otacza, ma pretensje, że chrześcijańskie prawo w nim panujące taki świat wykreowało. Więc w tym jednym przypadku chce za pomocą swojego prawa – wynikającego z umowy – ten świat brutalnie zmienić.

I tu przechodzimy do Polski. Shylock może być symbolem elektoratu PiS.

Ten także czuł się przed 2015 r. pogardzany. Zostawił go w tyle galopujący kapitalizm, lekcewał go establishment, medialne elity dyskryminowały jego potrzeby. Zaatakował więc prawo, które stworzyło tę otaczającą go rzeczywistość, i zaczął zmieniać świat jak Shylock, za narzędzie zemsty mając prymitywnie rozumianą literę prawa.

Wszędzie tam, gdzie się dało, PiS jak Shylock wypełniał literę prawa treścią najgorszą z możliwych – bez uwzględniania ducha. Wszędzie tam, gdzie literatura pozwalała „regulować ustawą”, regulował tak, żeby kreować świat sprzeczny z zasadami prawa. I tak z tej prymitywnej litery prawa wyszły mu całkowicie upolitycznione media, prokuratura i Trybunał Konstytucyjny. Shylock chciał niby tylko odebrać pożyczkę, a w rzeczywistości pragnął usunąć Antonia z tego padołu leż. Duda niby tylko obniżał w ustawie wiek przejścia w stan spoczynku sędziów, a w rzeczywistości chciał ich usunąć ze stanowisk. Obaj udowodniali, że są na prawie, choć czynili bezprawie.

W „Kupcu weneckim” przeciwko Shylockowi występuje Porcja, przebrana za sędziego Baltazara (sędzia prze-

bieraniec, jaki polski akcent!). Najpierw odwołuje się do zasad, apelując do miłosierdzia. Ale skrzywdzony Shylock go nie ma. Dlatego Porcja przeciwstawia Shylockowi równie brutalną literę prawa – mówi mu, że może wyciąć serce Antonia, ale nie wolno mu ułać ani kropli krwi, bo prawa do krwi umowa mu nie daje. Poza tym prawo zakazuje wylania krwi chrześcijanina. W ten sposób literatura prawa niweczy cel, jaki chciał osiągnąć Shylock – nie da się wyciąć serca bez ulania krwi. Shylock się poddaje. Ostatecznie Porcja zarzuca mu, że chciał podstępem pozbawić życia Antonia, a sprawa kończy się dla niego utratą połowy majątku i koniecznością chrzczenia, a więc całkowitą utratą tożsamości.

Porcja może symbolizować tych, którzy chcą dzisiaj w Polsce naprawić praworządność – oni także posługują się literą prawa, nie duchem. Argumentację Porcji stosuje minister Adam Bodnar, gdy odwołuje prokuratora krajowego Barskiego na podstawie formalnego błędu w jego powołaniu. Nie odwołuje się wprost do zasad – że nie wolno upolityczniać instytucji państwowych, by chronić polityków konkretnej partii przed odpowiedzialnością. Ale udaremnia ten cel, działając na formalnej podstawie. Podobnie zrobił Sienkiewicz – nie działał na podstawie zasad, ale na podstawie zimnej litery: najpierw kodeksu spółek handlowych, potem przepisów o likwidacji.

Każde prawo ma swoją formę i swoją funkcję. Ale gdy mówimy o zgodności z prawem, gubimy się: niektórzy mają na myśli zgodność z formą, czyli literą, inni zgodność z przypisaną prawu tradycyjną funkcją, czyli duchem. Stosowanie litery wbrew duchowi, wbrew zasadom, które są jego nieodłącznym elementem, powoduje bezprawie, tak u Shylocka, jak i w przypadku PiS.

PiS po 2015 r. uchwalił formalnie poprawnie wiele ustaw. Mimo to słusznie krzyczeliśmy, że były nielegalne. Uchwałal oczywiście sprzeczne z konstytucją ustawy o TK bez vacatio legis, by go sparaliżować, przywoływał formalny argument z domniemania konstytucyjności i zarzucał wyrokom wykazującym nielegalność tych działań idiotyczne formalne błędy, by ich bezprawnie nie uznawać. W ten sposób realizował wizję świata, którego konstytucja nie dopuszcza, na przykład takiego, w którym zamiast publicznych mediów i niezależnych sędziów mieliśmy i w TVP, i w Ministerstwie Sprawiedliwości zorganizowane grupy hejterów.

PiS niszczył ducha prawa prymitywnie rozumianą literą – to jest działanie Shylocka. Praworządność, jak pisze prawnik i historyk idei Martin Krygier, to obrona przed arbitralnością władzy: obrona przed strachem, poniżeniem, utratą godności. PiS straszał sędziów, poniżał prokuratorów, odbierał godność społeczności LGTB, twierdząc, jak Shylock, że działa na podstawie litery prawa.

W zgodzie z czym działa teraz rząd? Z literą czy duchem? Działa jak Porcja: przywraca ducha, stosując for-

malnie literę. Tak działają Sienkiewicz i Bodnar. A to PiS teraz powołuje się na ducha prawa, co jest dość zabawne w świetle jego wcześniejszego umiłowania litery. Kaczyński, który przez osiem lat miał zasady prawa w nosie, teraz Sienkiewiczowi, który stosuje ogólny kodeks spółek handlowych zamiast prawo o spółkach mediowych, przeciwstawia paremię „lex specialis derogat legi generali” (prawo bardziej specyficzne ma pierwszeństwo przed mniej specyficznym), która jest niepisany elementem kultury prawnej. Krytykuje więc Sienkiewicza za pomocą dorobku prawniczej doktryny, choć ten dorobek przez osiem lat zwalczał, gdy mu politycznie nie pasował.

My, Polacy, mamy problem z pojęciem prawa. Nie wiemy, czy pojmować je jako literę, czy jako ducha, i – w zależności od politycznych potrzeb – miotać się między formą i funkcją. A prawo wyrażone w języku ma wady takie same jak język: nieostrość (weźmy choćby „wyróżnianie się wiedzą prawniczą” jako coś, co musi cechować kandydata na sędziego TK) i inne strasznie brzmiące choroby, na przykład nadpojemność, a więc pokrywa-



Zbliża się prezydencja Polski w UE, a my zamiast dyskutować o tym, co naprawdę dzieli Polaków – o asertywnej relacji ze Wspólnotą – zajmujemy się tym, czy Kamiński rzeczywiście wymagał dokarmiania, czy symulował

nie większej liczby sytuacji, niż chciałby mówiący. Powołane przez Porcję weneckie prawo zakazuje „wylewać krew”. Czy zastosować je do lekarza, który, pomagając choremu, upuszcza mu krwi? Zgodnie z literą tak, zgodnie z duchem nie.

Według swojej wizji prawa Kaczyński nie skazywał tego lekarza od razu, ale zapytałby o legitymację partyjną. Gdyby lekarz był z PiS, Kaczyński i jego prawnicy zaczęliby się rozwodzić nad jego cnotami – że to dobry człowiek i że chciał dobrze, a prawo nie może karać za dobro. Gdyby wenecki lekarz był jednak z PO, zakrzyknęliby: „Dura lex, sed lex” – twarde prawo musi być stosowane wobec wszystkich, bo nie ma świętych krów! I dodaliby: „Pokaż, lekarzu, co masz w garażu”.

PiS w zależności od potrzeby raz był formalistą, raz funkcjonalistą – raz krzyczał „suwerenność, patriotyzm”, innym razem stosował całkowicie literalną interpretację ustaw, wartości mając w głębokim niepoważaniu. Kaczyński raz promował górnolotne zasady (gdy wzywał sędziów do uwzględniania „interesu narodowego” w orzekaniu), innym razem był bezwzględnie formalny – gdy dawał Sejmowi prawo wyboru sędziowskich członków KRS bez uwzględnienia art. 10 konstytucji, który wymaga równowagi władz, a więc dania tego prawa sędziom. Naginano i łamano formę przez osiem lat, żeby nadać jej miłą PiS funkcję. Zrobiono to, bo PiS nie

chciał państwa postulowanego przez polską konstytucję: nie chciał trzeciej RP, chciał czwartej. Ale nie miał mandatu, żeby formalnie konstytucyjną wizję państwa zmienić. Wykorzystał więc to, że polskie prawo cierpi na chorobę formalizmu – bardziej szanuje literę niż ducha.

Stąd w samym środku „Kupca weneckiego” i współczesnej Polski trwa walka na formalne triki prawne. Raz powiemy „dura lex, sed lex”, gdy dobrze nam być formalistami. Innym razem skrytykujemy przeciwników za pogardzanie duchem. Tym, którzy działają zgodnie z literą, wydaje się, że realizują świat dobry, bo są dobrzy. Ale ten ich świat drugim wcale dobry się nie wydaje. Tak naprawdę to nie walka dwóch liter prawa, ale walka dwóch wizji świata. Literatura prawa jest tylko narzędziem ich realizacji.

Bo prawo to nie forma, ale postulat jakiejś rzeczywistości. Pomyśl o prawie jak o narzędziu generującym pewien świat i o tym, czy chcecie w nim żyć. Wielu Polaków uważa, że świat, który wytworzyło prawo III RP, jest zły. Że konstytucja może sobie odmieniać „praworządność” przez wszystkie przypadki, a i tak duch spa-

lonej Jolanty Brzeskiej będzie nas nawiedzał z pytaniem, jak to się stało, że w państwie prawa ludzie byli wyrzucani na bruk, a ich obrońcy zabijani? Wielkie papierowe idee zderzają się z rzeczywistością, która powinna być inna, a nie jest.

Czas zatem porozmawiać nie o literze prawa, ale o wizji świata. W innym wypadku pozostanie nam dość dziecinne przerzucanie się trikami prawniczymi, wojna dwóch plemion, dla której prawo jest tylko pretekstem. Co zrobić, żeby stało się istotne na nowo? Musi dawać szansę budowania świata, w którym będzie miejsce dla wszystkich – i konserwatywnych, i liberalnych, i prounijnych, i antyunijnych. Ale to wymaga od władzy pokazania, że próbuje ustanawiać i stosować prawo choć trochę ekumenicznie.

Weźmy dla przykładu relację z Unią Europejską. Tak jak Shylock chce za wszelką cenę Antonia zabić, a Porcja chce go za wszelką cenę uratować, tak my zaraz będziemy miotać się między skrajnościami: polexit albo pełna unijna miłość. Relacja z Brukselą jest jedną z kluczowych kwestii, które wciąż dzielą Polaków – wiąże się z poczuciem tożsamości i suwerenności wielu wyborców PiS.

Mała asertywność wobec Unii to element świata, który zdaniem dużej części Polaków realizował rząd PO-PSL. Tę wizję zwalczając powołani przez PiS sędziowie TK, orzekający o podległości prawa unijnego wobec

polskiej konstytucji. Czy wystarczy unieważnić te wyroki z powodów formalnych, na przykład ze względu na to, że w ich wydawaniu uczestniczyli dublerzy? To będzie działanie Porcji. A może trzeba więcej? Może w obliczu zbliżającej się prezydencji Polski w UE obecny rząd powinien otworzyć szeroką dyskusję o wizji asertywnej relacji Polski z Unią? Nie ma na to czasu, bo na razie jesteśmy zajęci wojną na prawnicze formalności i tym, czy Kamiński rzeczywiście wymagał dokarmiania, czy symulował.

Zresztą ten sam problem stoi za sprawą Wąsika i Kamińskiego. Każda ze stron wykorzystuje literę prawa do realizacji swych celów: jedna chce pełnej surowości, druga pełnej łaski. Każda przestrzeń decyzyjna jest wykorzystywana do realizacji jednego lub drugiego interesu. Ktoś musi to przezwyciężyć. Prawo postrzegane wyłącznie jako narzędzie realizacji interesu przeciwnika przestaje być prawem. Dlatego trzeba pokazać, że prawo realizuje świat, w którym jest miejsce dla interesów szerszych niż interes jednego elektoratu.

Shylock nie wierzy prawu, bo nienawidzi niesprawiedliwego świata, który ono stworzyło. Porcja chce zatrzymać Shylocka, przeciwko jego trikowi stosując inny trik. I ten świat w jakiś sposób ratuje, ale problem pozostaje. W głowie Shylocka wciąż tkwi przekonanie, że prawo broni interesu jednej tylko strony i że jest narzędziem walki. Jak to zmienić, by prawo realizowało jakąś wspólną wizję świata? Trzeba nad tym pomyśleć, a nie jest takim myśleniem jeb... PiS.

Bo czy Porcja naprawdę wygrywa spór z Shylockiem? Gdy sąd zamyka sprawę, świat, w którym Shylock jest pogardzany, pozbawiany tożsamości i dyskryminowany przecież się nie kończy. U nas także zastosowanie takiej a nie innej litery prawa nie wytworzy w elektoracie PiS przekonania, że rzeczywistość naprawiono. Świat, który realizuje prawo, zostaje światem jednej strony sporu: albo trzecią, albo czwartą Rzeczpospolitą. A tu trzeba nowej wizji rzeczywistości: republiki piątej, rzeczy prawdziwie wspólnej. Bo walka literą prawa jest pustą grą formalnych gestów, w której wygrana jednej ze stron jest pozorna. W rzeczywistości przegrywają wszyscy. ●

Marcin Matczak

„Czy zastanawialiście się kiedyś, jak będzie wyglądała Polska bez was? Za 50, 60 czy 100 lat?” – pyta nasz felietonista w „**Kraju, w którym umrę**”. Nowa książka Marcina Matczaka już dostępna w dobrych księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl.



A poprzednia – „**Tajne państwo z kartonu. Rozważania o Polsce, bezprawiu i niesprawiedliwości**” – nadal w księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl.



Zaglądamy do sakiewki Ziobry

FUNDUSZ RELIGIJNOŚCI

Książd, który dostawał SMS-y od szatana z numeru 666, otrzymał ze słynnego Funduszu Sprawiedliwości Ziobry 66,6 mln zł. A były jeszcze ciekawsze dotacje

Piotr Głuchowski

Gdyby nie siedem baniek, jakie Zbigniew Ziobro przeznaczył na toruńskie Centrum Ochrony Praw Chrześcijan o. Tadeusza Rydzka, nie zauważyłbym, że w grudniu przez Polskę przetoczyła się zorganizowana, zmasowana akcja wymierzona w Kościół.

Gdyby nie 8 milionów, jakie resortowy Fundusz Sprawiedliwości wydał na projekty naczelnego „Do Rzeczy” Pawła Lisickiego, nie wiedziałbym, że w ruchu LGBT+ nie chodzi o prawa mniejszości, lecz o zrobienie z człowieka bestii.

Gdyby nie 9 milionów od FS dla łódzkiej fundacji Mocni w Duchu, nie poznałbym sposobów modlenia się przed ekranem laptopa.

Fundusz wydał już (częściowo w tajemnicy) kilka miliardów złotych i wypłacałby publiczną kasę dalej, gdyby nie zmiana władzy, w efekcie której nowy minister sprawiedliwości (i były znienawidzony przez PiS rzecznik praw obywatelskich), profesor Adam Bodnar, czasowo wstrzymał przelewy. Powołał też zespół śledczych, który „będzie badał, czy środki z Funduszu wy-



• Listopad 2021, wiceminister sprawiedliwości Marcin Warchoł i prezydent Rzeszowa Konrad Fijołek podczas przekazania sprzętu dla 12 jednostek Ochotniczej Straży Pożarnej kupionego ze środków Funduszu Sprawiedliwości FOT. PATRYK OGORZAŁEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

datkowano do tej pory zgodnie z przepisami”. Grupie ma przewodniczyć prokurator wyspecjalizowany w tropieniu przestępczości zorganizowanej.

Niezależnie od powyższego audyt FS prowadzi wiceminister sprawiedliwości Zuzanna Rudzińska-Bluszcz.

– Mamy zawarte za rządów PiS umowy Funduszu z różnymi podmiotami, przychodzą więc sprawozdania, na podstawie których środki powinny zostać wypłacone – mówi. – Dlatego podjęłam decyzję o każdorazowo indywidualnej zgodzie na daną wypłatę. Wysokość środków, które miały być wypłacane tylko w styczniu, sięga 80 milionów. Te podmioty będziemy badali w pierwszej kolejności.

– Czy istnieje możliwość odzyskania pieniędzy rozdanych do tej pory?

– Trzeba będzie analizować odrębnie każdą umowę, jej wykonanie i sprawozdanie, ale moim zdaniem taka możliwość istnieje.

Fundusz Pomocy Pokrzywdzonym i Pomocy Postpenitencjarnej, zwany krócej Funduszem Sprawiedliwości, powołano w ramach ministerstwa w 2012 r., za rządów PO-PSL. Od tego czasu instytucja zbiera pieniądze z nawiązek zasądzanych przy okazji wyroków skazujących oraz z potrąceń od pensji więźniów, jacy pracują za kratami. Rocznie uzyskuje od ok. 200 (z początku) do ponad 300 (obecnie) milionów. Zgodnie ze statutem pieniądze te winny służyć ofiarom przestępstw, a także zresocjalizowanym więźniom, którzy wychodzą na wolność – aby ułatwić nowy start. Praktycznie jednak w latach 2016-23 FS stał się prywatną skarboną ministra Zbigniewa Ziobry i jego partyjnych kolegów z Solidarnej, potem Suwerennej Polski – o czym świadczy druzgocący raport NIK z połowy 2021 r.

Kierowana przez skonfliktowanego już w tym czasie z PiS Mariana Banasia Izba sprawdziła funduszowe wydatki i orzekła, że:

- „gospodarkę finansową prowadzono z naruszeniem zasad finansów publicznych, tj. jawności oraz celowości i oszczędności w wydatkach”;
- „działania ministra (dysponenta Funduszu) skutkowa-ły niegospodarnym i niecelowym wydatkowaniem środ-

ków publicznych, a także sprzyjały mechanizmom korupcyjnym”;

- ...i najważniejsze: „na rzeczywistą pomoc pokrzywdzo-nym z FS trafiały stosunkowo niewielkie sumy – przykła-dowo z 385 mln zł, które wpłynęły na Fundusz w 2016 r., bezpośrednia pomoc ofiarom przestępstw pochłonęła je-dynie 16 mln zł”.

Dlaczego tak się stało? Bo 7 lat temu Ziobro wydał rozporządzenie umożliwiające wypłaty z Funduszu wedle swego widzimisię. Dokument liczy 16 stron i jest napisany tak strasznym językiem, że go nie zacytuję. Więcej mówi fragment protokołu pokontrolnego NIK:

„(...) rozporządzenie w sprawie Funduszu skutkowało ustanowieniem otwartego, niezdefiniowanego katalogu zadań FS. Powstała możliwość finansowania nieograniczonej kategorii działań nawiązujących w marginalnym stopniu do [i tak] niedookreślonych celów Funduszu”.

Dalej: „Dysponent stosował szeroką interpretację za-dań FS, wskazując na ich holistyczny charakter oraz moż-liwość finansowania (...) każdej aktywności z zakresu: edu-kacji, polityki rodzinnej czy też wsparcia wartości religij-nych”.

W praktyce – jak się przekonamy – FS wspomagał wielomilionowymi przelewami głównie rzeczników tychże wartości, a momentami po prostu płacił Kościołowi katolickiemu. Pieniędźmi obdarowano m.in.:

- organizacje walczące z „ideologią LGBT”, ruchy „obroń-ców życia”, centra ewangelizacyjno-formacyjne, oddzia-ły Caritasu, Towarzystwo Salezjańskie, stowarzyszenie Obrońca Wiary, fundację publicystów tygodnika „Do Rze-czy”, liczne dzieła o. Tadeusza Rydyzka.

Poza tym nagradzano samorządy, gdzie Zjednoczona Prawica miała większość w radach – najczęściej futrowa-no je czekami na sfinansowanie wozów strażackich i re-montów przychodni zdrowia. Czeki (w formie plansz do prezentacji lokalnym dziennikarzem) opiewały zwykle na kilkaset tysięcy złotych. Zdarzały się jednak i większe. Jako że Ziobro w 2015 i 2019 r. startował do Sejmu z okręgu kie-leckiego, tamtejszy szpital wojewódzki został dofinanso-wany przez FS czekiem na 4 miliony.

Partyjni koledzy ministra musieli się zadowolić skrom-niejszymi kwotami do rozdania. Wiceminister sprawie-dliwości Marcin Romanowski przekazał 250 tys. z kon-ta FS szpitalowi w Chelmie, ponieważ kandydował z okrę-gu nr 7 obejmującego Chelm. Były zastępca Ziobry, a po-tem minister środowiska Michał Woś zafundował ka-retkę szpitalowi w Raciborzu, gdyż startował w okręgu nr 30 obejmującym Racibórz. Marcin Warchoł, chwilowy minister sprawiedliwości w ostatnim – tym dwutygodnio-wym – rządzie Morawieckiego, ogłosił, że szpital w Miel-cu otrzyma z Funduszu prawie 400 tysięcy. Po czym został posłem z okręgu obejmującego Mielec.

Przepisowo wnioski podmiotów ubiegających się o kasę z FS powinna rozpatrywać komisja konkurso-wa ministerstwa. Faktycznie – jak ustalili kontrolerzy NIK – większości dotacji „udzielono w tzw. trybie pozana-borowym, w drodze decyzji ministra”.

Powyższy system skutkował (to już ostatni cytat z NIK) „dotowaniem przedsięwzięć niemających w praktyce żad-nego lub mających jedynie marginalny związek z celami FS (...)”. Z łącznej liczby 16 wybranych do zbadania umów, Izba oceniła jako niecelowe i niegospodarne 13 (...). W sze-ściu przypadkach zadania zostały powierzone organiza-cjom nieposiadającym przygotowania, w tym podmiotom powołanym bezpośrednio przed ogłoszeniem konkursów”.

W dodatku Fundusz nie robił tego, do czego został po-wołany. W 2012 r. posłowie postawili przed nim zadanie sfinansowania ogólnokrajowej sieci niebieskich pokoi-ów do przesłuchiwania nieletnich ofiar przestępstw oraz dopłat do infrastruktury przejść dla pieszych (to zapobiega-nie przestępstwom drogowym). Ani jedno, ani drugie się nie udało. Pieniądze – prawie 100 milionów, z których wy-płacono dotąd 66,6 milionów – przyznano natomiast księ-dzu egzorcystcie, przyjacielowi ministra Ziobry, Michałowi Olszewskiemu SCJ (sercanie). Ten szef fundacji Profeto, czyli Sercańskiego Sekretariatu na rzecz Nowej Ewangeli-zacji, w 2013 r. zasłynął z tego, że popędził złego ducha pla-strami salcesonu. Od niego zatem zaczne.

Związany z ruchem Odnowy w Duchu Świętym kapłan – ogolony na zero posiadacz sięgającej mostka prorockiej brody – po raz pierwszy zaistniał w mediach, nie tylko katolickich, gdy 8 lat temu ogłosił, że dostaje SMS-y od samego diabła. Oglądam film, który wrzucił wówczas na YouTube (ma 600 tysięcy wyświetleń). 40-letni duchowny mówi do kamery:

„Piątego marca, w moje urodziny, siedzę na Anioł Pań-ski przed komputerem i nagle dostaję SMS z numeru 666, napisane po włosku »Stoję za tobą i zaczynam cię stra-szyć«. Przeżegnałem telefon i usunąłem wiadomość. Za chwilę przychodzi druga: »Nie wierzysz? Zastukam trzy razy«. I w tym momencie słyszę od drzwi do pokoju: bach, bach, bach! Wziąłem kropidło, wypadłem na korytarz i zlałem go święconą wodą”.

Innym razem ks. Olszewski egzorcyzmował dziewczy-nę, która nieopatrznie wstąpiła do Amnesty Internatio-nal, gdzie wdała się w towarzystwo jaroszy. Opisał tę akcję w książce „Egzorcyzm. Posługa miłości”:

„Opętana miała w sobie duchy vegetarianizmu. Zapy-tałem więc, jaka jest przeszkoda do wyjścia, a duchy odpo-wiedziały: Nie nakarmisz jej mięsem. Wtedy mi się przy-pomniało, że całkiem niedawno mieliśmy [w klasztorze] świniobicie, więc mamy salceson, który jest dla wegeta-rian skrajnie obrzydliwy. Wówczas Zły zaczął krzyczeć: Nie, błagam, nie! Proszę cię, bądź człowiekiem, nie idź po ten salceson! Gdy rozkazałem duchowi jeść, po dwóch we-pchanych na siłę [w usta wegetarianki] kawałkach wędliny duchy vegetarianizmu wyszły”.

Miliony od FS miały posłużyć księdzu Michałowi do stworzenia w stołecznej dzielnicy Wilanów ośrodka me-dialnego na wzór toruński – tyle że skierowanego do młodszych. Zbudowana już w większej części placówka „nowej ewangelizacji” przy ul. Dobrodzieja formalnie ma być schronieniem dla ofiar przestępstw (stąd dotacje z FS). W praktyce – jako że w wysłanych ministerstwu planach mowa jest o sali widowiskowej, kaplicy multimedialnej, studiach nagraniowych i reżyserkach – będzie to również machina do nasycania infosfery pobożnymi treściami au-torstwa księdza Michała i osób podobnie myślących.

Kolejna dotacja to 5 milionów przyznane szczecińskie-mu stowarzyszeniu Fidei Defensor (Obrońca Wiary), które promuje katolicyzm, a także osobę byłego radnego, dziś posła partii Ziobry – 35-letniego prawnika Dariusza Mateckiego. Zachodniopomorski mecenas zasły-nał dekadę temu pomysłem odkażania ulic po Marszach Równości. Nawet w jego wikipedycznym biogramie może-my przeczytać, że jest „nazywany największym hejterem w Polsce i oskarżany o stosowanie mowy nienawiści”. Przy-kładów są dziesiątki – przy okazji kryzysu migracyjnego na granicy białoruskiej polityk pisał na Twitterze o Arabach: „kozojebcom bym jaja obcinał”; o czarnoskórych: „asfalt powinien leżeć na ulicy”; o Donaldzie Tusku: „najpierw pod sąd, a potem pod ścianę”; zaś o swoim antagoniście w radzie miejskiej Szczecina: „żydowska pijawka ssąca polską krew”. W grudniu 2018 r. Ministerstwo Sprawie-dliwości najpierw zatrudniło Mateckiego jako sekretarza w biurze Ziobry, potem jako „specjalistę w zakresie obsługi mediów społecznościowych w szczególności problematyki dotyczącej działania resortu”. Wreszcie Fundusz Sprawie-dliwości zaczął finansować związane z nim szczecińskie organizacje: Stowarzyszenie Przyjaciół Zdrowia oraz właśnie Fidei Defensor.

Przyjaciele zdrowia, a zarazem koledzy Mateckiego z konserwatywno-liberalnego stowarzyszenia KoLiber (m.in. związany z Solidarną Polską Mateusz Wagemann i Adam Surmacz, który kierował jednocześnie Obrońcą Wiary), dostali od Funduszu prawie osiem milionów. Za te pieniądze zrealizowali projekt pt. „Budowa i rozwój lo-kalnych serwisów informacyjnych w celu (...) przeciwdzia-lania przyczynom przestępczości i pomocy pokrzywdzo-nym”. W ramach projektu uruchomili trzy regionalne por-

25 milionów
wzbogaciło Fundację
Narodowego Dnia
Życia, która miała
przekazać uczniom
podstawówek trzy
miliony kamizelek
odblaskowych.

Koszt kamizelki
w hurcie wynosi
niespełna 4 złote

tale: Szczecińskie24.pl, Lubuskie.info (już upadł) i Radomskie.info. Tylko ten pierwszy zamieścił w ciągu ostatnich trzech lat ponad 500 korzystnych artykułów na temat Mateckiego – w tym kompilacje jego tweetów w roli komentarzy.

Teraz o Obrońcy Wiary.

Aktualnie Fidei Defensor zbiera podpisy pod projektem ustawy „Stop agresji wobec chrześcijan”. Jak czytam na stronie organizacji, postulowany akt prawny ma zapobiec „szydzeniu z religii”, „profanowaniu symboli” i „przerywaniu nabożeństw”. W jaki sposób? Po pierwsze usunie z kodeksu karnego pojęcie „złośliwego przeszkadzania” w liturgii. Zostanie samo „przeszkadzanie”, co ma uprościć skazywanie osób zakłócających msze święte. Po drugie, nowa ustawa ma sprawić, że „nie będzie można nikogo w żaden sposób karać za wyrażanie opinii wynikającej z religii”. Na przykład takiej, że homoseksualistów należy kamienować. Zmiana trzecia (nadal cytuję ze strony): „aby pociągnąć do odpowiedzialności kogoś, kto dokonał świętokradztwa, trzeba obecnie znaleźć heroicznych wiernych, którzy skierują zawiadomienia do prokuratury”. W postulowanym systemie prawnym „wierni nie będą już musieli zeznawać przeciwko agresorom”, bo „do skazania wystarczy obiektywny fakt”.

Kolejnym polem działania szczecińskich obrońców wiary jest ślanie zawiadomień do prokuratury. Ostatnio donosili na m.in.: na stołeczną restaurację Madonna (plac Konstytucji 3), w której „figura Matki Bożej zaprasza na drinki”, a do tego „butelki są udekorowane różańcami”; organizatorów śląskiej sceny metalowej, którzy koncert grup Ragehammer i Stillborn reklamowali wizerunkiem śmierci odzianej w charakterystyczny, zdobiony złotymi liliami maforion Matki Bożej z Jasnej Góry; zielonogórzanina, który ściął piłą elektryczną przydrożny krucyfiks; 16-latkę, który puszczał muzykę z komórki podczas nabożeństwa, co nagrał i wrzucił na TikToka jego kolega rówieśnik.

Dwóch ostatnich sprawców zidentyfikował osobiście – jak donosi facebookowa strona Fidei Defensor – Matecki, który skorzystał z FS nie tylko za pośrednictwem Defensora oraz „przyjaciół zdrowia”, lecz również bezpośrednio. W lokalnych tygodnikach z Pomorza Zachodniego z ubiegłego roku jest wiele relacji z uroczystego wręczania przez polityka rozmaitych, sfinansowanych przez Fundusz, prezentów dla straży pożarnych i kół gospodyń wiejskich. Junakom Matecki sprezentował m.in. drona. Za to „narzędzie do prowadzenia działań ratowniczo-gaśniczych” – jak czytam na stronie Ochotniczej Straży Pożarnej w zachodniopomorskim Moryniu – strażacy składają „ogromne podziękowania dla pana Dariusza Mateckiego, przewodniczącego Suwerennej Polski w regionie (...) dzięki którego staraniom do moryńskiej jednostki w niespełna rok pozyskano z Funduszu Sprawiedliwości 147 tys. zł”.

Dotacja następna: 25 milionów wzbogaciło Fundację Narodowego Dnia Życia, na której czele stał Jacek Sapa – ekspert Fundacji Republikańskiej, pełnomocnik inicjatywy obywatelskiej „Stop aborcji” oraz organizator Marszów dla Życia i Rodziny. Fundacja NDŻ, która przeźornie rozwiązała się pięć dni po ostatnich wyborach parlamentarnych, miała za te pieniądze przekazać uczniom podstawówek trzy miliony kamizelek odbłaskowych z logotypem FS.

Koszt kamizelki w hurcie – sprawdziłem u producentów – wynosi niespełna 4 złote. Dodając cenę wysyłki (na przykład po sztuk), kwota rośnie maksymalnie do 4,50. Oznacza to czysty zysk dla FNDŻ ponad 10 milionów. Każdy by chciał, ale nie każdy był wcześniej poinformowany, że można aplikować. W konkursie na tę dotację fundacja od Dnia Życia była jedynym podmiotem.

Oprócz finansowych były i zyski polityczne. Kamizele nierozesłane pocztą wręczali uczniom osobiście Anna Zalewska – europosłanka PiS i była minister edukacji, ta od chaosu po likwidacji gimnazjów, dalej Ziobro i Michał Woś. Politykom – dla podniesienia atrakcyjności spotkań – towarzyszył aktor Cezary Pazura.

Jeszcze lepiej wylansował się na fosoryzujących serdakach niespełna 30-letni Miłosz Łaski, doradca ds. promocji resortu sprawiedliwości. Rozesłał do szkół ogłoszenia, w których zaproponował obdarowanym uczniom, by kręcili filmy poświęcone noszeniu odbłasków. Nagroda dla najlepszych – wizyta w ministerstwie. Warunek udziału w konkursie: trzeba polubić profil Łaskiego na Facebooku. I śledzić jego stronę, by poznać rozstrzygnięcie turnieju.

Powyższym sposobem młody spec od promocji zyskał kilkuset tysięcy, osobiste zasięgi, lecz gdy Sebastian Klauziński z OKO.press opisał jego quiz – skasował swój profil.

Kolejnym beneficjentem FS była stworzona przez dziennikarzy propisowskiego tygodnika „Do Rzeczy” fundacja Strażnik Pamięci. Gdy w 2016 r. naczelny Paweł Lisicki zakładał ją ze swoim zastępcą, historykiem i autorem kontrowersyjnych (i na lewicy, i w centrum, i na prawicy) bestsellerów Piotrem Zychowiczem, zapisali w statucie, że instytucja ma zadbać „o odnowienie, zachowanie lub przywrócenie pamięci na temat ważnych wydarzeń z przeszłości naszego kraju”. Kiedy jednak u Ziobry pojawiła się wielka

na i kulturową dominację lewicowej ideologii”;

- „wszyscy współcześni genderyści są uczniami markiza de Sade’a. Idealny człowiek nie może mieć wyrzutów sumienia, nie wolno mu przypominać o grzechu. Walcząc o wprowadzenie nowego systemu edukacji seksualnej, z którego wyklucza się moralność, wstrzemięźliwość, panowanie nad sobą, ideologowie LGBT chcą sprowadzić człowieka do roli zwierzęcia”.

Drugim projektem Strażnika Pamięci było „Skuteczne zwalczanie polonofobii i przeciwdziałanie przestępstwom znieważenia Narodu Polskiego”. Tę walkę naczelny Lisicki i jego autorzy stoczyli na kartach kolejnych 16 dodatków tematycznych do ich czasopisma. Otwieram ostatni – „Jak wygrać z polonofobią?”:

- Wpierw trzeba zauważyć, że „niemal wszystkie antypolskie materiały drukowane w świecie są produkowane w Polsce i przesłane do druku w publikatorach zachodnich. Zwykle są dziełem ludzi, którzy zaczęli w »Gazecie Wyborczej« czy mediach z nią spokrewnionych. Dlaczego tak się dzieje? Elity Michnikowe mają takie podejście: Polacy cierpią na kompleks niższości – i świetnie! Inaczej byłoby trudno ich formować oraz przekonywać, że mają być Europejczykami”.

- „Potomkowie pełniący obowiązki Polaków, którzy przyjechali na sowieckich czołgach, pozostali w naszej ojczyźnie – i to nie tylko w sensie etnicznym, lecz także kulturowym. Na skutek faktów związanych z transformacją nie doszło u nas do głębszego oczyszczenia elit. A musimy to zrobić. Dokonać wymiany”.

Wiceminister sprawiedliwości Zuzanna Rudzińska-Bluszcz: Wysokość środków, które miały być wypłacane tylko w styczniu, sięga 80 milionów. Te podmioty będziemy badali w pierwszej kolejności

ILUSTRACJA MARCIN BONDAROWICZ

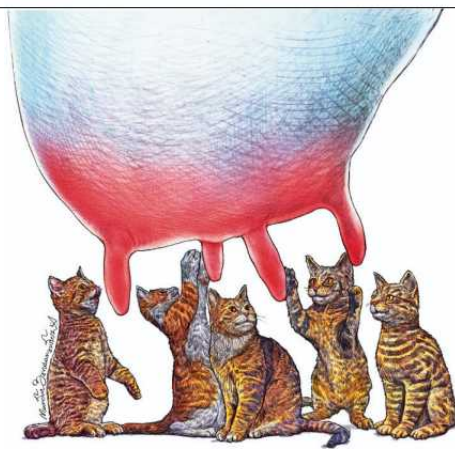
kasa na przeciwdziałanie przestępstwom, fundacja zmieniła profil, aby wdrożyć stosownie kosztowne projekty z przestępczością w nazwie.

Pierwszym było „Przeciwdziałanie przestępstwom (...) popełnianym pod wpływem ideologii LGBT”.

Cel ten – jak czytam na stronie Strażnika – udało się osiągnąć dzięki „wydaniu serii zeszytów dołączonych do tygodnika” Lisickiego. Znalazłem te zeszyty i przeczytałem. Co miał wspólnego z zapobieganiem przemocy? Nie wiem. Dzięki pieniądзом z FS czytelnicy „Do Rzeczy” dowiedzieli się natomiast, że:

- „zaangażowani ideowo homoseksualiści i lesbijki początkowo domagają się tolerancji. Bardzo szybko okazuje się jednak, że nie o żadne równe prawa im chodzi, ale o dominację. Kiedy już przywileje zdobędą, ideolodzy LGBT próbują zamknąć usta krytykom i oponentom. Z brutalnością tępią każdy przejaw innego, wolnego myślenia. Wprowadzają surowe prawa, ustanawiają przepisy i kary. Korzystają ze wsparcia potężnych liberalnych mediów, mając za sobą bogate instytucje i wielkie globalne firmy”;

- „skróć LGBT ma skupić krytykę na wąskich mniejszościach podczas gdy rzeczywistą siłą sięgającą po naszą wolność są cyniczni politycy radykalnej lewicy wykorzystujący preferencje seksualne czy genderową wizję rodziny jako taran służący do wyważenia ładu społecznego i urzędzenia go na nowo w sposób gwarantujący politycz-



Trzecim projektem Strażnika zrealizowanym za kasę od FS jest niszowa witryna Sovereignty.pl (Suwerenność), która zawiera głównie przetłumaczone maszynowo teksty z tygodnika „Do Rzeczy”. Anglojęzyczny czytelnik dowie się z portalu, że minister Bodnar dopuszcza się gwałtu na praworządności, a premier Tusk wprowadza w Polsce liberalny autorytaryzm.

Fundacja Lisickiego dostała na promowanie tego typu treści pięć kolejnych dotacji na ponad 8 milionów łącznie.

6,5 miliona z Funduszu otrzymało tajemnicze Stowarzyszenie Wielki Kraków im. Juliusza Lea – prezydenta miasta za czasów austro-węgierskich. Tajemnicze, ponieważ pod

Wawelem nikt o tej organizacji nie słyszał, nie ma też strony internetowej, tylko profil facebookowy z jednym polubieniem i dwoma obserwującymi. Chciałem sprawdzić, kim jest ta dwójka, ale po kliknięciu ujrzałem komunikat: „Lista osób, które obserwują Stowarzyszenie im. Juliusza Lea, jest niedostępna”.

Z informacją w Krajowym Rejestrze Sądowym wynika, że sekretne towarzystwo powstało w 2020 r., a potem przytuliło dotację od FS, by się w 2022 r. rozwiązać. Póki istniało, jego celem było „przeciwdziałanie patologiom społecznym, przestępczości i wykluczeniu [przez] prowadzenie ośrodka badania (...) zjawisk społecznych”. Ośrodek najwyraźniej nie powstał – dziennikarka krakowskiej „Wyborczej” Anna Kolet-Iciek szukała jego śladów i nie znalazła nic poza wzmianką w oświadczeniu majątkowym podkarpackiego posła Konfederacji Korony Polskiej, historyka z UMCS Andrzeja Zapalowskiego – ten otrzymał od stowarzyszenia z Krakowa 35 tysięcy w ramach umowy-zlecenia.

– Pisałem dla nich ekspertyzy, ale już nie pamiętam dokładnie, o czym one były – wyznał ostrożnie poseł, który w ostatnich latach zasłynął ze skrajnie antyukraińskich wypowiedzi: usprawiedliwiał akcję „Wisła”, domagał się budowy płotu wzdłuż granicy na Bugu i Sanie, ostrzegał przed czarnoskórymi „bandytami” wmiaszonymi w tłum ukraińskich uchodźców, a gdy w Przemysłu nacjonałisci pobili trzech Hindusów, chwalił ich na Facebooku: „Brawo, chłopaki!!!”. Podobne opinie wygłaszał w prowadzonym w kilkudziesięciu językach rosyjskim serwisie Sputnik oraz na

portalu Novoross.info zarządzanym przez putinowskich separatystów z Donbasu.

Osobą nie mniej ciekawą od zleceniobiorcy Wielkiego Krakowa jest jego prezes Grzegorz Gondek, który kiedyś był małopolskim radnym i lokalnym szefem SLD, a potem rozstał się z partią, gdyż dwójka lokalnych aktywistów oskarżyła go o finansowe oszustwa i zakup z partyjnych pieniędzy kolczyka z brylantem. Obwiniony zaprzeczył, lecz pożegnał Sojusz, a potem wytoczył dawnej partii proces. W 2018 r. wystartował do małopolskiego sejmiku z listy PSL. Przepadł, mimo że intensywnie „masakrował krakowską lewicę” (cytat z KRKnews.pl, gdzie Gondek był wiceprezsem spółki – wydawcy portalu). Dwa lata później założył stowarzyszenie im. prezydenta Lea. Chciałem go zapytać, co zrobił z przeszło 6 milionami od ministra Ziobry, jednak nie zareagował na prośbę o kontakt.

Szczęśliwie więcej ustalił reporter serwisu Gazeta.pl Dominik Szczepański, który również poszedł śladem zaginionej kasy. Jego zdaniem „trop prowadzi do Grzegorza Pawelczyka”.

Ten był dziennikarz „Super Expressu”, „Życia Warszawy” i „Wprost” był za rządów „dobrej zmiany” wicedyrektorem Telewizyjnej Agencji Informacyjnej, a potem szefem niesławnego kanału TVP Info. W 2018 r. odszedł z TVP, by tworzyć własne media. Po tym, gdy jego znajomy Gondek dostał pierwsze miliony z FS, Paweł-

czyk ogłosił, że tworzy z pomocą Funduszu nowy portal informacyjny: Wizjer.press. Aby przedsięwzięcie jakoś spełniało warunek „zapobiegania przestępczości”, były dyrektor z TVP zamieszczał w swej witrynie kryminalki: tu kogoś okradziono, tam kierowca potracił staruszkę, bądźcie, czytelnicy, ostrożni...

Poza rubryką kryminalną Wizjer.press robił też politykę: szczuł na Donalda Tuska, Rafała Trzaskowskiego i resztę antypisowskiej opozycji. Jednocześnie wychwalał Ziobrę, jego ministerstwo i Solidarną/Suwerenną Polskę. Najpoważniejszym autorem serwisu był doborzmianowy prezes Radia Kraków Przemysław Bolechowski, który musiał opuścić hotel w publicznej rozgłośni, kiedy okazało się, że równolegle pracuje dla pravicowej konkurencji – telewizji wPolsce.pl braci Jacka i Michała Karnowskich.

Do połowy stycznia Bolechowski był prezesem Nowotarskiej Telewizji Kablowej, wydawcy portalu Nowytag24.tv, gdzie płatne ogłoszenia publikował... tak, Fundusz Sprawiedliwości.

Skomplikowany układ? Będzie jeszcze ciekawiej.

W marcu 2020 r. żona byłego dyrektora TVP Info Natalia Pawelczyk zarejestrowała fundację Centrum Pomocy Pokrzywdzonym i Prewencji Przestępczości. Nie minął rok, a instytucja bez doświadczenia i sukcesów dostała z FS prawie 7 milionów złotych. Za te pieniądze Pawelczyk otworzył drugi obok Wizjera portal informacyjny: PoznajFakty.pl. Tu również można było przeczytać o czyhających na czytelnika przestępcach, a przy tym zapo-

Lux jest m.in. nadawcą Telewizji Trwam, która emituje z grubsza to samo, co Radio Maryja. Wysokość dotacji dla fundacji LV rosła przez lata proporcjonalnie do liczby występów polityków Solidarnej Polski na obu antenach. W roku 2017 Fundusz przekazał Światłu Prawdy 180 tysięcy. Rok później – 416. W roku 2019 było już 659 tysięcy, w następnym – ponad 2 miliony. W 2021 dotacja wzrosła do prawie 3,5 milionów. W ostatnich dwóch latach rządów Zjednoczonej Prawicy fundacja ojca Króla i pani Kochanowicz otrzymała od FS okragłe siedem baniek.

To pokaźna kwota, ale zarazem ledwo jedna pięćdziesiąta wszystkiego, co Rydzyk i jego przybocznicy dostali w trakcie minionej ośmiolatki z państwowej skatuli.

Na stronie Światła Prawdy czytamy, że miliony z Funduszu poszły na stworzenie w Toruniu Centrum Ochrony Praw Chrześcijan. W imperium Rydzyka na obrzeżach miasta próżno go jednak szukać. Jest muzeum i park poświęcony Polakom ratującym Żydów, jest Akademia i knajpa bez alkoholu, jest boisko i kościół w kształcie cyrku, jest nawet amfiteatr na wiślanym brzegu – żadnego Centrum nie ma. COPCh to jedynie strona internetowa. Mało rozbudowana – raptem cztery zakładki z treściami. Otwieram pierwszą – „baza wiedzy”. Dowiaduję się, że w grudniu 2023 roku w Polsce miała miejsce zorganizowana i zmasowana „akcja antychrześcijańska”. Na czym polegała?

● 1 grudnia sejm wybrał na stanowisko Rzecznika Praw Dziecka p. Monikę Horna-Cieślak, która nie była w stanie określić liczby płci w rozmowie z radiem RMF FM;

● sąd w Gdańsku skazał Mariusza Dzierżawskiego, członka zarządu Fundacji Pro-Prawo do Życia, na rok ograniczenia wolności za informowanie o niebezpieczeństwach ideologii LGBT;

● dowódca sił lotniczych Gwardii Narodowej z Arkansas, który nie chciał podpisać zgody na przewiezienie pracownicy wojska na tzw. aborcję, musiał złożyć dymisję z powodu konfliktu sumienia;

● afrykańscy biskupi wypowiedzieli się przeciwko błogosławieniu par LGBT;

● padły skandaliczne słowa Agnieszki Holland pod adresem Kościoła”.

Czwarta zakładka nazywa się „Prześladowania chrześcijan” i zawiera interaktywną mapę, z której można wyczytać, że wyznawcom Jezusa najgorzej żyje się w Afganistanie oraz Korei Północnej.

I to tyle za 7 milionów.

Są jeszcze inni ciekawi beneficjenci. 12 milionów dostała od FS fundacja Altum z Poznania, która nie ma ani stałego biura, ani działającej strony. Powstała w styczniu 2019 roku, dwa dni przed ogłoszeniem konkursu na „udzielanie pomocy pokrzywdzonym przestępstwem, ich najbliższym i świadkom”. Napłynęło pięć ofert. Choć pozostałymi zgłaszającymi się były stowarzyszenia istniejące od co najmniej lat siedmiu, wygrało Altum. Na pytanie, jak to możliwe, odpowiedzią jest skład osobowy fundacji. Jej pierwszym prezesem był Karol Pietrzyk, działacz PiS zatrudniony później w biurze politycznym ministra spraw zagranicznych Zbigniewa Raua. Jej pracownicami były Magdalena Cirkot – działaczka młodzieżówki PiS i asystent-

simy cię też o jałmużnę na cele naszych transmisji internetowych”.

Dotacje poniżej 5 milionów otrzymały z FS również: Fundacja dla Przyszłości Teologii (4,6 mln); Młodzieżowy Ośrodek Wychowawczy im. Świętej Siostry Faustyny (3,3 mln); Towarzystwo Salezjańskie (2,9 mln); Fundacja św. Benedykta (2,2 mln); Fundacja św. Cyryla i Metodego (1,4 mln); fundacja Arka Noego (1,1 mln); Stowarzyszenie Psychologów Chrześcijańskich (0,9 mln); Diakonia Ruchu Światło-Życie (0,8 mln); Ośrodek Wychowawczy Księży Orionistów (0,5 mln); Caritas diecezji drohiczyńskiej (0,5 mln); gliwicka Szkoła Nowej Ewangelizacji (0,3 mln); Caritas diecezji gdańskiej (0,2 mln); Fundacja Społeczności Chrześcijańskiej „Pasja” (0,1 mln).

Jest także beneficjent zupełnie nietypowy: 25 milionów z Funduszu ministra Ziobry otrzymało Centralne Biuro Antykorupcyjne.

Za te pieniądze CBA kupiło w Izraelu (przez pośrednika) oprogramowanie śpięgujące Pegasus. Transakcja doszła do skutku najpóźniej w roku 2017, a o jej efektach (którymi aktualnie zajmuje się sejmowa komisja śledcza) napisano wiele. Nie każdy wie jednak, że pierwszymi osobami inwigilowanymi za pomocą izraelskiego wyłazku nie byli senator Krzysztof Brejza (obecnie poseł), adwokat Roman Giertych (też wybrany do Sejmu) czy prokurator Ewa Wrzosek. Pierwszym był Bartłomiej Misiewicz, którego prokuratura w Tarnowie zaczęła już 7 lat temu podejrzewać, że robi przekręty w Polskiej Grupie Zbrojeniowej, gdzie go wysłał mentor – Antoni Macierewicz. Podejrzenia zmieniły się niedawno w akt oskarżenia zarzucający Misiewiczowi i pięciu innym osobom wyprowadzenie z PGZ przeszło miliona złotych, co znaczy, że przynajmniej w tym jednym wypadku pieniądze z FS posłużyły zwalczaniu przestępczości.

Na koniec jeszcze ostatni – istotny – wydatek Funduszu: reklama własnego istnienia. Z ostrożnych szacunków wynika, że w trakcie 8 lat rządów PiS autopromocja pochłonęła ponad 150 milionów. Pieniądze płynęły głównie do redakcji konserwatywnych – od Telewizji Trwam i Republika, przez tygodniki „Do Rzeczy” i „Sieci”, po liczne serwisy typu Nowytag24.tv – ale też do mediów mainstreamowych, jak Wirtualna Polska, Onet, „Newsweek”, Polsat, RMF FM czy tabloid „Fakt”.

Zdaniem Krzysztofa Izdebskiego, prawnika specjalizującego się w transparentności życia publicznego oraz dyrektora programowego fundacji ePaństwo, podmioty finansowane z Funduszu same powinny zajmować się reklamowaniem jego działalności. Tymczasem finansowano billboardy, artykuły sponsorowane i spoty, których najwięcej pojawiało się w okresach przedwyborczych. Przykładowo: w 2018 r. (wybory samorządowe) wydano na autoreklamę FS prawie 15 milionów. W 2019 r. (wybory europejskie) ponad 25 milionów. W latach 2020-22, gdy Polacy nie szli do urn, Fundusz wydawał średnio po 13 milionów, za to w ubiegłym, ponownie wyborczym roku, kwota znowu wzrosła – do prawie 30 baniek.

18 stycznia wiceminister Rudzińska-Bluszcz zapowiedziała powołanie zespołu ekspertów, którzy ustalą nowe zasady wypłat z FS. Przewodniczyć ma sędzia Jerzy Stępień, były prezes Trybunału Konstytucyjnego. ●

Wsparta 8 milionami fundacja Strażnik Pamięci Pawła Lisickiego i Piotra Zychowicza przeciwdziałała przestępstwom, informując, że „wszyscy współcześni genderyści są uczniami markiza de Sade’a”

znać się z „hybrydowym atakiem” nielegalnych uchodźców na granicę wschodnią oraz z krytyką „Wyborczej”, pisarstwa Olgi Tokarczuk i władz samorządowych Warszawy. Do tego apologia prokuratury pod rządami Ziobry. Co ciekawe – po 15 października teksty wymierzone w dotychczasową opozycję przestały się pojawiać.

Czas na Ojca Dyrektora z Torunia. Ten zaczął przyjmować przelewy z FS w roku 2017. Pierwszą wypłatę – ok. 400 tysięcy – zaksięgowała jego szkoła wyższa. Gdy szykowaliśmy z Jackiem Holubem drugie wydanie książki „Imperator”, zapytałem resort (bo Rydzyka się nie da), „na co wydano tę kwotę”. Rzecznik ministra Ziobry odpowiedział wówczas: „Wyższa Szkoła Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu przedstawiła projekt, który zakłada szeroką akcję informacyjną dotyczącą wychodzenia z przestępczości, a także działania mające na celu przestrzeganie młodzieży przed wejściem na złą drogę”. I żadnych szczegółów.

W następnych latach szkoła medialna (obecnie Akademia) dostała od FS jeszcze co najmniej 3 miliony. Prawie pięć razy tyle skasowała za to fundacja Lux Veritatis, czyli Światło Prawdy, która początkowo była własnością ojca Tadeusza i jego prawej ręki – księdza Jana Króla. W ostatnim czasie Rydzyk ustąpił miejsca w zarządzie księgowej ośrodku toruńskiego – Lidii Kochanowicz-Mańk.

● 8 grudnia Adrian, kierowca antyaborcyjnej furgonetki Fundacji PRO-Prawo do Życia, został skazany prawomocnym wyrokiem na sześć miesięcy ograniczenia wolności za ostrzeganie przed następstwami homoseksualnego stylu życia;

● 9 grudnia senat przyjął ustawę o finansowaniu z budżetu procedur in vitro;

● 15 grudnia Europejski Trybunał Praw Człowieka uznał, że Polska naruszyła prawo, odmawiając kobiecie wykonania tzw. aborcji eugenicznej – czyli zabicia dziecka;

● 16 grudnia nowa minister edukacji zapowiedziała cięcia w szkolnych lekcjach religii;

● 19 grudnia minister ds. równości zapowiedziała przyszlą legalizację związków partnerskich w Polsce” i tak dalej.

W zakładce drugiej („Szkolenia”) można się zapoznać z wykładem ks. profesora Pawła Bortkiewicza pt. „Obraza uczuć religijnych i niszczenie wartości”. Poznański teolog, zarazem wykładowca toruńskiej Akademii, rozprawia się m.in. z zarzutami dotyczącymi kościelnej pedofilii:

„Celem rzekomej walki środowisk lewicowych z tym zjawiskiem nie jest dochodzenie do prawdy, ale bezpodstnowa próba zniszczenia Kościoła przez jego delegitymizację, która wpisuje się w zjawisko rosnącej liczby aktów agresji wobec wyznawców wiary chrześcijańskiej, szczególnie katolicyzmu”.

W zakładce „Aktualności” znajdują takie newsy:

ka ministra Przemysława Czarnka – oraz Edyta Maciuk – w 2018 r. kandydatka partii Kaczyńskiego na radną miejską Leszna. Ostatnią szefową Altum była Alicja Gaszewska, absolwentka kursów Pracowni Liderów Prawa, zwanej kuźnią kadr Ziobry i jego ugrupowania.

9 milionów FS wypłacił łódzkiej fundacji Mocni w Duchu, która przedstawia się na swej stronie słowami: „jesteśmy centrum ewangelizacyjno-formacyjnym Kościoła Katolickiego”, a „naszym głównym zadaniem jest przyprowadzanie ludzi do Boga”. Co fundacja MWD ma wspólnego z przeciwdziałaniem przestępczości? Nie wiadomo. W witrynie Centrum.mocniwduchu.pl organizacja wymienia wszystkie swoje „dziela”: zespół muzyczny, którego członkowie „należą do wspólnot charyzmatycznych”; kanał youtubowy z „treściami ewangelizacyjnymi”; Szkoła Podstawowa im. św. Ignacego Loyoli przy ul. Żeromskiego 26 w Łodzi; dalej „eucharystie z modlitwą o uzdrowienie transmitowane w internecie”, wreszcie dom dziecka i świetlica środowiskowa „Anielisko” – miejsca, gdzie oprócz „zajęć ogólnorozwojowych” księża dbają „o spowiedź comiesięczną” i uczą „spontanicznej modlitwy”. Poza tym Mocni w Duchu wydali samouczek dla osób pragnących się modlić przed monitorami:

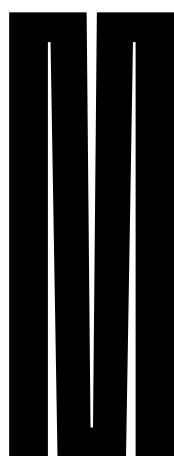
„Warto, byś był zaangażowany. Podczas śpiewu – śpiewaj razem z nami, kiedy podnosimy ręce – zrób podobnie. Nie krępuj się, że jesteś przed komputerem (...) Pro-

FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

„SIÓDEMKA” 10 LAT PÓŹNIEJ



I nagle – pisk! Musiałeś mocno po hamulcach dać, bo prosto przed maskę wlał ci nonszalancko odziany szlachcic polski. A tak. Nikt inny, tylko szlachcic polski. W XXI wieku. Tak. W roku 2024. Nie 1670 bynajmniej.

Ziemowit Szczerek

10 lat od czasu, gdy napisałem „Siódemkę”, powieść drogi traktującą o najpolstszej z polskich przestrzeni i najpolstszej z polskich dróg, drodze krajowej numer 7. Łącznicze między dwoma stolicami, Krakowem a Warszawą. Drodze wiodącej przez istotę Polski i stworzonej przez nią cywilizacji. I teraz Paweł Żmiejowicz, jej bohater, martwy, co prawda, ale ożywiony

specjalnie z okazji tej rocznicy, ponownie rusza na siódemkę, zobaczyć, co się po dekadzie zmieniło.

No więc wyobraź sobie, że jednak żyjesz, Paweł. Bo mamy 2024 rok, co to za piękny czas, by żyć! Nic, tylko tańczyć z radości. Na przykład z tego powodu, że w końcu można całą siódemkę przejechać dwupasmówką. No dobrze, nie całą, ale prawie całą, ale tak czy owak to nie to co dziesięć lat temu, kiedy tę drogę pokonywać trzeba było na jednym pasie. W ciągłym korku. A dziś – wygodnie. Wszystko można. Tyle możliwości. Dlatego znów ożyłeś, Paweł.

Żyjesz, więc ruszasz na drogę krajową numer 7. I próbujesz wydostać się z War-

szawy. Żeby dostać się do Krakowa, oczywiście, bo przecież o to tu chodzi. Bo o co innego może chodzić w Warszawie niż o próbę ucieczki do Krakowa. Z Warszawy trzeba czasem uciec do Krakowa, żeby zaznać staroeuropejskiej przytulności i alternatywnej historii Polski. Takiej, w której ten kraj posiada jednak jakąś formę, a nie tylko wiecznie i do wyrzygania wykrzykiwaną treść. I przypomnieć sobie, jak ten facet z rysunku Andrzeja Mleczki brnący przez pluchę, zawieję i breję, że „Polska jest częścią europejskiej przestrzeni cywilizacyjnej”.

A z Krakowa, z kolei, warto czasem skoczyć do Warszawy, żeby sobie przypo-

1 RP



mnieć, że Polska, ta nasza słynna ojczyzna, w którą się wszyscy tu bawimy, to w sporej swojej części nadal nie do końca uformowany chaos. I to jest albo przekleństwo, albo szansa. Tak ci to zawsze tłumaczy twoja terapeutka Balladyna Kos, do której chodzisz, bo jesteś chory na Polskę. Bo nadużywasz Polski, bo za dużo myślisz o Polsce, i w ogóle jesteś przepolskowany. Rozmyślasz o tym wszystkim, stojąc na światłach na rondzie Dmowskiego i patrząc w głąb Marszałkowskiej, w głąb MDM-u, jak w środek lufy przystawionej do głowy. Zresztą próba ujęcia tej bezmiernej, płaskiej przestrzeni, na której leży Warszawa, w miasto; w ulice, place i aleje od zawsze wydawała ci się czymś w rodzaju próby rysowania linii na wodzie albo grodzenia kosmosu. Warszawa leży przecież na tej wielkiej europejskiej nizinie, wojennej autostradzie ciągnącej się przez całą Europę, od Paryża przez Berlin po Mińsk i Moskwę, przez któ-

rą regularnie przetacza się cała historia ze swoimi urywającymi leb wichrami. To nie jest miejsce, w którym może być miło i zacisznie, tu może wyłącznie wiać, grzmieć, lać i się przetaczać. Bardzo często żalisz się terapeutce Balladynie Kos, że nie masz pojęcia, w jaki sposób znaleźć w Warszawie ukojenie i spokój ducha. Bo to trochę jak mieszkając w przedpokoju, przez który regularnie przemieszcza się, z pokoju do pokoju, wielka impreza połączona z bijatyką. A jeśli akurat chwilowo się nie przemieszcza, to cały jesteś napięty i przysłuchujesz się, czy aby nie zanosi się na to, że się zacznie przemieszczać. Opowiadasz więc terapeutce, że próbujesz. Że owijasz się tu w koc, że zapalasz klimatyczne lampki i świeczki, żeby stworzyć jakiś nastrój choć zbliżony do jakiegoś hygge, bo ona, terapeutka, ci zaleciła poszukiwanie takiego właśnie hygge, ale średnio ci się udaje. Bo to może dlatego, żalisz

się Balladynie, leżąc na kozetce, że to hygge nie jest nasze? Że my musimy zawsze wszystko importować? Nawet to hygge? Nawet próbę poradzenia sobie z własną nieprzytulnością własnego pierdolonego kraju? Dlaczego sami nie stworzyliśmy czegoś w rodzaju hygge? Balladyna ci na to tłumaczy cierpliwie, skoro Skandynawowie wynaleźli to swoje hygge, to po co my mamy po raz kolejny wynajdywać to samo? Co, mamy znowu być jak ten Ignacy Łukasiewicz, co wynalazł lampę naftową w czasie, gdy już istniały pierwsze żarówki elektryczne? Uprawiaj w tej Warszawie hygge skandynawskie, Paweł, i nie narzekaj. Tobie jednak bardziej od skandynawskiego podoba się sposób, w jaki radziła sobie z tą europejską zimową nieprzytulnością Środkowa Europa. Od Niemiec po Transylwanię, od Słowenii po Danię. A ta nabadowała sobie na tej niegościnniej przestrzeni kupę miast i miasteczek o nastrójowej architekturze gotyckiego horroru. I to było dobre. I to ci się podobało. W takich miasteczkach nawet jesień i zima dobrze wyglądały. I dlatego tam jechałeś. Ze wschodnioeuropejskiego Mazowsza do środkowoeuropejskiej Małopolski. Do dawnej Galicji, gdzie tego typu architektury było stosunkowo dużo. Jechałeś, Paweł, słowem, na terapię architektoniczną do Krakowa. A jeszcze zapowiadają smog, i ty już jesteś zupełnie szczęśliwy. Czy może być coś piękniejszego niż gęsta, pomarańczowa mgła w wąskich ulicach? Rozświećta latarniami? I dyskretnymi neonami knajpek? Nawet jeśli ta mgła trochę cuchnie? Ach! Ruszasz z tego ronda Dmowskiego z jedyńki, zaraz potem dwójka, brniesz dalej przez centrum miasta stołecznego, które to centrum bardziej niż standardowe centrum europejskiego miasta nadal przypomina bardziej jakiś całkiem interesujący, lecz niespecjalnie przytulny eksperyment urbanizacyjny. Patrzysz na wielkie reklamy jakichś seriali i luksusowych towarów, patrzysz na tych wszystkich zagubionych ludzi centrum, na tę stołeczną elitę kraju desperacko próbującą żyć wielkomiejsko na tym nieprzyjaznym wygwizdowie, pod tym nieszczęsnym Pałacem Kultury, który jak jakaś złowroga kałamarnica, jak Cthulhu jakieś stalinowsko-manhattańskie, rozsiadł

którym ostrzegali wieszcz. Przynajmniej ci mniej odklejeni. Czas, gdy wszystkie polskie fobie i paranoje, wszystkie polskie smrodliwe demony, chowane na co dzień w polskich narodowych kiskach, wydostały się na powierzchnię, przez chwilę za-bulgotały w polskim kotle, tworząc wrażenie, że będą tu tak bulgotały już zawsze, bo w końcu są bardzo lokalne i bardzo stąd, i swojskie, ale wypaliły się jak gaz w kuchence, wydostały z organizmu z sykiem, zapęłgały i przygasły. Przez kilka lat pokrztaczano, potarzano się na ziemi, tej ziemi, pobudowano złote cielce, zrobiono z siebie idiotów, okej, ale tak naprawdę na rzeczywisty kształt tej słynnej ziemi, tej ziemi, zbyt wielkiego efektu to wszystko nie wywarło. Może dlatego, że polskie diabły zawsze, tak naprawdę, to nie były żadne poważne demony. Że to były pocziwe pierdoły z wyciętymi z leszczyny fujarkami, kryjące się po dziuplach w próchniejących drzewach. Cisną się auta na wyjeździe z zimowej, pluszastej Warszawy, w ich kabinach dobrze ubrani, skrojeni i ubarwieni, ufryzowani ludzie, epatują własnym wewnętrznym światem na wewnątrz kabiny samochodu, robią sobie w nich małe hygge, nie patrząc na to, że na zewnątrz wieje i nadupca skrzeczącymi żabami. Ani na to, że tylko dwieście kilometrów stąd zaczyna się ten wielki, lukaszenkowski-putinowski Wschód, który znów przestał być frapujący, ciekawy i zajmujący, a po raz kolejny wszedł w cykl bycia złowrogim, zamordystycznym i niebezpiecznym. Tamtejsze diabły, cokolwiek by mówić, są jednak znacznie poważniejsze. Nową trasą wyślizgujesz się ze stolicy gładko, tak, jakbyś w aquaparku zjeżdżał na zjeżdżałni: kilka skrętów i już jesteś w nadprzestrzeni. W kosmosie. W ponadrzeczywistej przestrzeni autostrady, prawie pozbawionej cech charakterystycznych. Włączasz, Paweł, radio, a tam ksiądz mówi ZERO, JEDEN, TRZY, PIĘĆ, POWTA-RZAM, i jedzie z numerem konta, a potem jeszcze raz, żeby emeryci i emerytki zdążyli na pewno zapisać, więc przełączasz na kolejne radio, a tam jest coś o tym, że mieliśmy wiecznie trwać na jednej z dzikich plaż. Nie no, Paweł, to wszystko już było.

Trzeba czytać romantyków wielkich! Tylko pamiętać, że Polska nie jest Chrystusem, ale Antychrystem narodów!

się w samym centrum miasta jak złośliwy buc i nie pozwala nic tu porządnego i sensownego nie tylko zrobić, ale nawet sobie wyobrazić. No a co się zmieniło w ciągu tych ostatnich dziesięciu lat w Warszawie, Paweł? Co się zmieniło, od kiedy wyjechałeś tu z Krakowa dekadę temu, zginąłeś i zacząłeś tu straszyć? Cóż. Amatorską przenieśli z Nowego Świata na Foksal. Plac Zgody wyłożyli betonem, obsadzili drzewkami w doniczkach, nazwali „placem pięciu rogów” i ogłosili nowym centrum Warszawy. Albo czymś w tym rodzaju. Drugą linię metra oddali. Co jeszcze? No tak, powstały schody smoleńskie. Postawiono pomnik Lecha Kaczyńskiego. Rozgrzebano i pozostawiono w tym rozgrzebaniu trupa Pałacu Saskiego. W ciągu ostatniej dekady zdążyła minąć cała epoka, Paweł, ale nie pozostawiła po sobie żadnego sensownego Ruinenwertu. Ot, trochę dysfunkcji, kiczu i samowolki. A to był ciekawy czas. To był czas, przed

Czy naprawdę radio nie posunęło się ani trochę do przodu przez ostatnich dziesięć lat? Szukasz kolejnych stacji, a tam w jakiejś audycji nikt inny, jak tylko twoja terapeutka Balladyna, o której prowadzący mówi per gościni, opowiada o tym, jak sobie radzić z pierdolaniem i agresją polityków w przestrzeni publicznej. Wylączasz więc radio, włączasz sobie na Spotify mongolski śpiew gardłowy, może, myślisz, ta muzyka, cokolwiek by mówić, pochodząca z samego serca Azji, będzie jakoś korespondowała z tym krajobrazem za oknem, i suniesz przez tę podwarszawską płaskość, przez tę podwarszawską pampę, pusztę, prerię; płaską i zabudowaną niedobudowanymi domami z nieotynkowanych pustaków, jak było na początku, teraz i zawsze. Spowitą we mgle. Jedziesz na południe, na Radom, Kielce, Kraków i zastanawiasz się po raz milionowy, czym właściwie jest ta przestrzeń, ten twój środkowopolski Heimat. Ten dziwny kawałek Europy, z którego po-

chodzisz, w którym się urodziłeś i z którego bezskutecznie próbujesz przez całe życie uciec.

Nie bardzo wiadomo, dlaczego zjeżdżasz na Grójec. Bo nie masz interesu w Grójcu. Ani jabłkami nie handlujesz, ani nic. A w tej części Europy raczej niewiele jest miasteczek, do których się zjeżdża ot tak, by poobcować z ich pięknem. A już na pewno nie jest nim Grójec. No ale cóż: zjechałeś, dokonało się, i teraz wleczesz się przez centrum Grójca i patrzysz na jego wymęczone ciało: kongresówkowe miasteczko jak kongresówkowe miasteczko, ryneček, taki szeroki, kongresówkowy, rozpełniony po całej okolicy, jakby jakiś betonowy staw wylał. Ze zdziwieniem konstatujesz, że jednak nie jest aż tak bardzo źle, jak się mogłeś spodziewać. Ratusz malowany na żółto, chodniczek, prawda, kosteczką wyłożony. Pustawo, bo zima, przydałoby się, myślisz, jakaś kawiarenka, restauracyjka, pubik jakiś miły, cokolwiek, w czym można by więzi społeczne podtrzymywać. Nie że od razu jak na południu Europy, gdzie statystyci nic nie robią, tylko cały boży dzień siedzą ze sobą wszyscy razem w kawiarniach i gadają, aż na to nie liczysz, nie ten klimat. I też nie, żeby było jak w Czechach, gdzie mają hospody zamiast kościołów, a w gospodach se dają po dwa-trzy piwka, gadają sobie o pierdołach i nie-pierdołach, ustalają strategię społeczną na lata do przodu, umawiają się co do poglądów na całość rzeczywistości i idą do domu. A tu – cóż: tylko do kościoła można iść się posocjalizować. A w kościele się słucha, a nie ze sobą rozmawia. Ksiądz rozmawia, a reszta potakuje. Ech, żeby choć jedno na tym grójeckim rynku miejsce było z miłym wystrojem, z nastrojowym światłem i sympatyczną muzyką. Żeby można było pójść posiedzieć. Poplotkować. Poczytać. Telefon poscrollować. Poczuć, że ma się dokąd iść.

Zastanawiasz się, co byś robił, gdybyś tu mieszkał. Jak byś żył. Gdzie chodził. I czy w ogóle chodził. Czy jednak raczej hygge w domu.

Bo co? Do salonu GSM miałbyś chadzać? W miejscu szumnie zwanym Galerią Grójec przesiadywać? Przymierzać wiecznie obuwie w Obuwiu Szewczyk? Wędrować po Grójcu i wtopiać się w znany ci już do wyrzeganiasz świat reklamy outdoorowej? Wielko- i małopowierzchniowej? Coś tu niby od tych dziesięciu lat drgnęło, a to kosteczka ładniejsza, a to asfalcik lepszy, ale wisi nad tym wszystkim, myślałeś, taka sama melancholia ciężka, taka sama jak wtedy, jak dawniej, „myślę, że nie zmienia się nic”, śpiewa ci w głowie ten sam typ, co od zawsze leci w radiu, i tak rozmyślasz, jadąc pomiędzy tymi wszechpolskimi domami typu kostka, i tak się zapamiętujesz w tym samoumartwianiu rodzimym krajobrazem, że wyciszasz dobijającą ci się do głowy terapeutkę Balladynę z jej pozytywnym przekazem mówiącym, że ja pierdołę, Paweł, przestań już w końcu sam siebie nakręcać i samobiczować, przestań sobie w końcu wkręcać, krajobraz kulturowy jak krajobraz kulturowy, jest tu całkiem porządnie i cywilizowanie, może nie ma tu klimatycznej średniowiecznej tkanki miejskiej jak w starych miastach w dolinie, kurwa, Mozeli i Renu, ale pamiętaj, Paweł, że znajdujesz się – w najlepszym razie – na peryferiach Europy Środkowej, więc czego się, kurwa, wielmożny pan spodziewa? Domy są porządne, ogrzane, skanalizowane, oszambowane, przestałbyś już chodzić i jęczeć, żyjesz w normalnej przestrzeni, w takiej, w której można sobie wyobrazić dowolne historie i opowieści, to już dawno nie jest beznadzieja PRL czy barbaria najtisów. A jeśli chcesz w Polsce romantycznej, starej tkanki, to sobie jedź do Galicji, Wielkopolski, na Śląsk czy do Poniemieci i przestań zawracać głowę. Z takim przekazem próbują ci się dostać do głowy mądre słowa terapeutki Balladyny, ale ty nie zamierzasz się poddawać i godzić z polską rzeczywistością. Nie ma tak łatwo, Balladyna. I znów włączasz radio. W audycji jakichś dwóch facetów leniwie zbi-

ja wzajemnie swoje argumenty. Też ci sami co zawsze, ci sami co dziesięć, piętnaście, dwadzieścia lat temu. Nie brzmią, jakby byli specjalnie w to zbijanie zaangażowali. Prawdopodobnie znają już na pamięć wszystkie możliwe retoryczne ciosy, zarzuty i riposty i fechtują się już automatycznie, poziewując, spełniając jakiś obrządek. Obrzęd. Starożytny polski jakiś. I nawet cię to zafrapowało. Wciągnęło. Nie, nie to, co mówią, bez przesady, podobnie jak każdy normalny Polak jesteś już od dawna uodporniony na to, co chcą ci desperacko wcisnąć do głowy politycy, nie jesteś taki głupi, by słuchać ich belkotu, bo to jak próba znalezienia meritum w piosenkach o Baśce, co miała fajny biust. Zafrapował cię sposób, w jaki brzmi to, co mówią. Jeden mówił niby o potrzebie wartości wynikających z tradycji, a nie z importu, drugi niby przypomniał, że również i obecna polska tradycja tysiąc lat temu została do Polski zaimportowana, i ci, którzy dziś ją uważają za tradycję rdzenną, wtedy zapewne byłiby, jako tradycjonałisci, bardzo mocno przeciw-

Polska, w którą się wszyscy tu bawimy, to w sporej swojej części nadal nie do końca uformowany chaos. I to jest albo przekleństwo, albo szansa. Tak ci to tłumaczy twoja terapeutka Balladyna Kos, do której chodzisz, bo jesteś chory na Polskę

ko jej wprowadzeniu, i wtedy ten pierwszy niby stosował również tradycyjny w tej sytuacji wymyk, że co było, to było, a teraz jest, jak jest, i trzeba się na tym koncentrować, ale tu już dawno nie chodziło o słowa, chodziło o ich rytm i brzmienie. A to zaskakująco dobrze komponowało się z mongolskim śpiewem gardłowym, który puściłeś sobie równoległe z komórki. Już dawno wyjechałeś z Grójca, rytm obrzędowej, odwiecznej klótni kołysał cię jak łagodna, mantrująca muzyka, gardłowe mruczenie Mongołów smyrało cię miło po móżgu, i tak jechałeś, i słuchałeś, i spływało na ciebie w końcu, ku twojemu zaskoczeniu, ukojenie, dopadło cię to pierdolone hygge. A gdy dojechałeś w okolicie Białobrzegów, to znad Pilicy, granicy między Małopolską a Mazowszem, dodatkowo jeszcze, w bonusie, wstały mgły. Klóćący się w radiu interlokutorzy coraz bardziej nastrojowo mantrowali swoje argumenty i kontrargumenty, jakby wypowiadali jakieś magiczne zaklęcia, właściwie mało brakowało, by sami zaczęli gardłowo, po mongolsku, śpiewać, i w pewnym momencie coś się w rzeczywistości jakby przełamało. I tobie w głowie jakby coś chrupnęło.

Nie miałeś pojęcia dlaczego, ale czułeś to wyraźnie. A mgłą zgęstniała. Zjechałeś w tej mlecznej mgłę, w której nic prawie już nie było widać, na białobrzezski zjazd. W Otchłani Środkowopolską. W tę dziwną, płaską krainę w środku Polski, zabudowaną nieokreśloną zabudową, określoną nieokreśloną tożsamością, ale za to polską, polską do bólu. Będącą efektem klątwy obwarzanka Józefa Piłsudskiego. Bo ten, jak się wściekł, a on się często wściekał, to głosił wszem wobec, że Polska jest jak obwarzanek właśnie: to, co ma sens

– jest po brzegach. A w środku ziele dziura. I w tę dziurę właśnie, Paweł, wjeżdżałeś.

Jechałeś, Paweł, na Białobrzegi, a po obu stronach szosy z mgły wyrastały rozcapierzone diabelsko drzewa i przyczajone tajemniczo domy o najbardziej fantazyjnych kształtach. I lypały do ciebie fluorescencyjnym światłem odbłaski na słupkach przydrożnych, i szczyrzyły się w tej mgłę do ciebie Chrystusy w kapliczkach, i uśmiechały się złowrogo Madonny z Dzieciatkami, i było to piękne wszystko, tak bardzo piękne, że jechałeś, zachwycony, w stronę Białobrzegów, wzdłuż ekspresowej S7, i nie mogłeś oczu od własnego kraju oderwać. W tej mgłę, w tej mantrze klasy politycznej dobiegającej z radia, w tym gardłowym śpiewie i zdemonizowaniu lekkim.

I nagle – pisk! Musiałeś mocno po hamulcach dać, bo prosto przed maskę wlał ci nonszalancko odziany szlachcic polski.

A tak. Nikt inny, tylko szlachcic polski. W XXI wieku. Tak. W roku 2024. Nie 1670 bynajmniej.

do ciebie niepełną klawiaturą zębów szczyrzył, okiem kaprawym błyskał. Jedno miał zielone, za to drugie – czarne jak mundur ochroniarza z Biedronki.

A oba jakieś takie jakby szklane. W pierścieniu, który sobie na palec rękawicy nasadził brakowało – zauważyłeś – kamienia. Dziura czarna ziała tam, gdzie winien klejnot być.

– No niech tam – mruknąłeś. – A co pan tak? Drugi sezon kręcą?

– Przed siebie, przed siebie, dobrodziejku kochany. – Szlachciura miał irytującą manierę ignorowania tego, co mówisz, co cię, Paweł, bósć zaczynało. A do tego miałeś wrażenie, że nogi mu śmierzdzą, mimo że przecież w butach je miał wysokich schowane.

– Ja pokażę drogę – szlachciura dodał. – Ale gdzie drogę? – Zniecierpliwiłeś się. – Do centrum. – Centrum, kurwa, czego? Radomia? Radom zaraz będzie.

Ten nic nie powiedział, a ty znów mruknąłeś oczami i – popatrz, popatrz – okazało się, że auto już jedzie. A nie pamiętałeś, żebyś zwałniał hamulec i naciskał gaz. Mocno i nieco gorączkowo złapałeś kierownicę.

– Co się dzieje... – prawie krzyknąłeś, Paweł.

– Bo waszmość źle spoglądasz – powiedział szlachciura, nadal cię ignorując i pozostając w jakimś wewnętrznym zatopieniu. Patrzył przed siebie. – Wy wszyscy źle spoglądacie.

– Na co? – Na Polskę. A na co niby? Źle ją sobie wyobraziliście. Źle ją sobie samym sprzedaliście. Źle ją za granicę sprzedaliście. Jak to się mówi? Zasraliście markę państwa. Zepsuliście polski brand, morderdzieje.

– Myyy? – Aż się uniosłeś, wjeżdżając z powrotem na S7. – A nie jest to wszystko wina tych, za których pan żeś się przebrał? Tych Sarmatów zaje...

– Cichej, waszmość, bez nerw, bo mociumpana sangwa zaleje rubra i tyle będzie – powiedział jegomość, ku twojemu przerażeniu próbując ściągnąć buty. Smród narastał. – Ja Sarmatą to być może kiedyś byłem, za młodu, zanim jeszcze przekleństwo mnie w tej formule nie zatrzymało, w jakiej obecnie straszyc tu muszę. Zdejmę te cholery, te buciory, bo pałą, a nogi mam nieprzystosowane...

– Nie zdejmuj pan butów! – wrzasnąłeś. – Nie zdejmuj, bo wali jakimś, kurwa... starym... jakimś... jakby spoconymi zapalkami...

– Siarką – westchnął szlachciura i wyjął z butów stopy, które były krowimi raciami. – Ano wonięją troszkę, co zrobić. Zepsuliście, wracając do tematu, sobie całe samowidzenie. Widzenie własnego kraju sobie zepsuliście.

– Jak to? – zapytałeś, zatykając nos i otwierając nieco okno.

– No bo co wy o sobie samych myślicie? Że przańność tu, że byleco, że jakaś błotnisto-katolicko-wódczana dzierzawa i nic więcej. A Polska, panie kochany, to kraj specyficzny. Niby środek tej naszej Europy, ale jakoś jakby nie.

– Ano jakoś nie – westchnąłeś, Paweł. – Patrz pan na historyczne mapy – ciągnął szlachciura. – Z początków naszej państwowości. Z naszej lewej strony – Galia, Germania, Frankowie. Na dole – Rzym, Bizancjum. Na górze – Wikingowie. Nawet na wschodzie coś tam się już wykluwało. Jakiś Kijów nad Dnieprem, dalej Chorezm, Tataria. A u nas? Nic. Pusto. Lasy. Niedźwiedzie. Borsuki. Puszcze nieprzejezdne. Tylko ten szlak bursztynowy nieszczesny, cieniutki, nad Bałtyk wiodący. I nic więcej. Taka dziura w samym środku Europy. Tak, jakby ktoś siał i w jednym miejscu przez tysiąc lat nic nie chciało urosnąć.

– Otchłani. – Samo ci się jakoś powie-działo.

– Otchłani – powtórzył w zamyśleniu szlachcic, drapiąc się po śmierzdzącej racicy czubkiem karabeli. – Przekłęte miejsce. Dziwne. Tajemnicze. Patrz pan.

Patrz pan na Polskę – dziwne, zamgłone, tajemnicze miejsce na skraju Otchłani. Patrzące w Otchłani i przez Otchłani obserwowane. Dziwne miejsce, dziwne... fascynujące. Tu, gdzie niebo, piekło i ziemia ręka w rękę idą. Gdzie mistyczne tak jest blisko rzeczywistego, że aż brzuchem po ziemi szoruje...

Myślicie, że Transylwania jest europejską krainą wampirów? Krainą niesamowitego, tym romantycznym podbrzuszem Europy? Tak? To spójrzcie lepiej na Polskę, na ostatnią odkrytą krainę, na ten tajemniczy, zamknięty przez wieki pokój w samym środku Europy.

Pelen ciemnych borów, gęstej mgły, dzikich bestii i prawie bezludny, ale pełen czarów, misteriów, ludów bez imienia, bóstw, których nikt nie czcił. Ten anglosaski prze-reklamowany Lovecraft ze swoim Cthulhu mógłby tu tylko się trząść ze strachu i zazdrościć. Lovecraft, frajer, mógłby czytać nienapisaną księgę ziemi, tej ziemi, i tylko sapać z podziwem: „Czytam, oddycham, czytam, oddycham...”.

– No ale co to ma być za obraz Polski? – zapytałeś. – Europejskie zaświaty? To ma być ten pozytywny wizerunek?

– No a nie lepszy taki wizerunek niż wizerunek jakiegoś szarego, nudnego śmietniska pełnego pijoków i rozmodłonych katabasów, w który wierzycie sami i innym pozwalacie wierzyć? Horror i czarny romantyzm się sprzedaje jednak o wiele lepiej, zresztą czy ty naprawdę nie chodziłeś do podstawówki, jak wam na polskim objaśniali Mickiewicza? – Zniecierpliwił się i trochę nawet chyba obraził szlachciura z raciami. – Tu trzeba myśleć! Zwróćcie się do diabła. – Szlachciura rozchylił włosy podgolonego czuba, a twoim przerażonym oczom ukazały się małe, spiczaste różki. – A diabeł wam pomoże. Wy-promuje. Boruta sum, do usług. Trzeba czytać romantyków wielkich! Tylko pamiętać, że Polska nie jest Chrystusem, ale Antychrystem narodów! Bo jak niby inaczej, na przykład, zinterpretować to najważniejsze w Polsce zakłęcie, to samo, które Polsce niepodległość przywróciło, że za Polskę to „z Bogiem i choćby mimo Boga”? Czy waćpan naprawdę myślisz, że pierwsza wojna światowa, ta rzeź, która Europę miliony żyć kosztowała i zapaść cywilizacyjną naprawdę była komukolwiek potrzebna poza Polakami modłącymi się o „wojnę narodów”, która miała przywrócić Polsce niepodległość? Przecież na taki wasz egoizm żaden Bóg by się nie pisał. Naprawdę nie widzieliście diabelskiej w tym roboty? To wyście tę niepodległość, tę wojnę sobie wymodlili, ale nie u Boga, ale u Szatana! Idiotyci! Ciemniaki! Ślepodległość? Uważajcie, waszmość, bo waść mi towarzysza rozjedziesz! – Ostatnie słowa Boruta powiedział ostrym, piskliwym skrzekiem. Dokładnie takim, jakim, jak sobie wyobrażałeś, na sejmikach szlacheckich wykrzykiwano, że zdrada i że non possumus. I że liberum veto.

No więc znów dałeś po hamulcach. I znów przed twoją maską stał szlachciura, o twarzy bladej, wąsie ciemnym i ciemieniu golonym. Bardzo podobny z ogólnego ochędowania do Boruty, tylko niższy. O wiele niższy. Jeśli Boruta byłby Longinusem Podbipiętą tej imprezy, pomyślałeś, to Rokita byłby jej Wołodujowskim. Albo i pół-Wołodujowskim. Słowem: ledwo ci ten nowy szlachciura sięgał ponad maskę. Za to oczy miał złe takie, i tak cię nimi świdrował, jakby to nie on wlaź ci pod auto, tylko jakbyś to ty go tam złośliwie i znienacka postawił. Stał w tej mgłę na asfalcie drogi krajowej szybkiego ruchu S7 i łypał. Mrugał. Ale bardziej łypał.

– A ten to kto? – zapytałeś, łapiąc oddech. – Rokita, kurwa?

– A żebyś waszmość wiedział – pokiwał głową Boruta. – Że Rokita.

Rokita nie bawił się w subtelności i mrugnięcia okiem. Patrząc na ciebie wzrokiem bladym i zmęczonym jakoś, dmuchnął sobie w wąs i zniknął w tumanie czegoś, co przypominało to, co się wydobywa z naciśniętego niefrasośliwie pełnego worka od odkurzacza. I właściwie w tej samej chwili ta sama chmura paprochów od odkurzacza wypełniła twój, Paweł, samochód, a Rokita zmaterializował się na kolanach Boruty. Rozkaszałeś się. Boruta westchnął. Odpiał pas, owinał nim również Rokitę, po czym zapiął z powrotem.

– Te, Boruta – powiedziałeś. – Może go jednak lepiej posadzić z tyłu. Nie mam co prawda fotelika dla dzieci, ale może jeśli go tak ciasno zapiąć...

– Gówno nie Cthulhu – wyskrzecztał tymczasem z kolan Boruty Rokita, patrząc na ciebie uważnie, wzrokiem bladym. Czuleś jego wzrok tak, jak się czuje pazury kota wspinającego się po nodze i brzuchu. – Gówno nie Otchłani Środkowopolska. Gówno nie nowa, lepsza Transylwania. Gówno nie szatańska ojczyzna. Ileż można tę Polskę, ileż. Ileż można być tym Pola-

Cisną się auta na wyjeździe z zimowej, pluszastej Warszawy, w ich kabinach dobrze ubrani, ubarberzeni, ufryzowani ludzie epatują własnym wewnętrznym światem na wnętrze kabiny samochodu, robią sobie w nich małe hygge

kiem. Ileż można o tej Polsce i o Polsce myśleć. Ten kraj nie jest waszą ojczyzną już dawno, on jest waszą obsesją, karą i potępieniem. Nie jesteś waść – szturchnął cię Rokita łokciem w ramię – zmęczony już tą całą Polską? Co?

– Jestem – przyznałeś i przymknąłeś nieco oczy.

– Bo ileż można tę Polskę? Nie masz pan dość? Nie chciałbyś waszmość od początku zacząć? Zapomnieć to wszystko, to Gniezno, tego Piasta, ten Wawel, tych Łokietków, Kazimierzów, Jagiellów, te wszystkie stracone szanse? Tę stolicę przeniesioną w jakąś dziką dupę, na północ, do Warszawy? Te zabory, ten Kraj Priwisłanski, tę Galicję i Beocję? Te dwie trumny rządzące Polską? Ten PRL i III RP? Wałęsę i Kaczyńskiego? Mickiewicza i Słowackiego? Szlachtę i chłopów? Błotniste drogi i brak mostów? Samowolkę i bezprawie? Bezholowie i tę rozpaczliwą legendę o orlich skrzydłach u ciężkiej jazdy?

– Kto by nie chciał – mruknąłeś. – Ale co, jak?

– Jak to jak – skrzeknął Rokita. – A normalnie! A od razu! Polska to rzecz teoretyczna. Wymyślona. Jak każdy inny naród.

– Tak – odparłeś, ruszając z jedynki. – Wymyślona. Ale, jak każdy inny naród, dzięki temu wymyśleniu zaistniała. Nie mogłeś się, głupi diable, zmaterializować na poboczu? Czy ty sobie zdajesz sprawę, jakie jest ryzyko nagłego zatrzymywania się na drodze szybkiego ruchu? A jakby ktoś mi siedział na zderzaku z tyłu i by nie zdążył wyhamować i mi w dupę wjechał?

– To by była jego wina – skrzeknął wy-rżniętymi w paskudnej twarzy wąskimi ustami Rokita. – Ten, co z tyłu, zawsze jest winny, bo nie zachował należytej ostrożności i nie dostosował prędkości do warunków panujących na drodze, waszmość kierowco. Nie wspominając o tym, że waszmość też ją powinienes dostosować. Wtedy byś się acan nie zatrzymał tych marnych kilka centymetrów przede mną.

A co do narodu – Rokita wyjął zza pazuchy lulkę i zapalił ją zapalniczką z reklamą sieci handlowej Żabka – to wszystko można przekonstruować. Mogę tu zajarać?

– A pał. No ale co? Polskę przekonstruować? Tak, żeby tego wszystkiego, tej męczącej, tej znanej do wyrzegania polskiej codzienności nie było? – zapytałeś pełen nagłej nadziei. Tak się musieli czuć więźniowie, którym obiecywano amnestię, pomyślałeś. Tak się musieli czuć ponuracy, gdy im mówiono, że pojawił się lek na depresję nowej generacji. Że jeszcze nie wszystko stracone. – To tak się da? Da się wyłączyć polskość?

– A co się ma nie dać? – Łypał na ciebie Rokita oczami ledwie się trzymającymi oczodołów jakby. Wyglądały te oczy jak dwie piłeczki pingpongowe przytwierdzone do zmiętej skarpety jego twarzy. Jedno z tych oczu było żółtawe, a drugie – sraczkowate. – A czymże jest naród, jak nie opowieścią? Historią?

– Rokita to mistrz opowieści – zachwalili kolegę Boruta. – Rokita wie, że słowa mają wagę największą.

– No ale co będzie wtedy? – zapytałeś. – Co będzie, jeśli wyłączymy polskość? Nicoseć? Kraj zniknie? Znów zostanie podzielony? Znów wejdą Niemcy, Ruscy i Austriacy? Słowacy? Białorusini? Może Litwini?

– Jasne, i, kurwa, Serbowie lużyccy – zachnął się Rokita. – A skąd, nikt nie wejdzie. Rebranding wcale nie znaczy, że towar rebrandowany znika. I że konkurencja go przejmuje. Znika tylko identyfikacja towaru, ale to wszystko.

– No a jak ma zniknąć identyfikacja towaru o nazwie „Polska”? – Zainteresowałeś się, mijając zjazd na Radom Północ. – Jak go rebrandować?

– A bardzo prosto – odpowiedział Rokita, pykając z lulki i otaczając się kłębami dymu. – Uczą was na historii, że były dwa plemiona, Polan i Wiślan, nie?

– No – odpowiedziałeś, zerkając w lusterko boczne, czy lewy pas jest wolny i wyprzedzając ciężarówkę na czeskich blachach z napisem „Szmaticka na paticku”.

– A co?

– I uczą was, że Polanie zaczęli się w Gnieźnie czy tam Poznaniu, a potem wchłonęli Wiślan i razem z nimi stworzyli organizm zwany Polską?

– No – potwierdziłeś. – A nie stworzyli?

– A to już zależy od interpretacji. Tak to wygląda ze strony Polan. A jak to może wyglądać ze strony Wiślan? Widziałeś acan kiedy lud szczęśliwy, gdy inny lud go wchłania?

– Aaa – zachwyciłeś się, zaczynając rozumieć.

– No właśnie. – Pokiwał głową Rokita. – Jeśli jesteś zmęczony tą tysiącletnią Polską, tym łańcuchem upadków i rzadszych wzlotów, tymi wszystkimi historycznymi powodami, dla których nie ma być w Polsce warunków do stworzenia społeczeństwa obywatelskiego, a zarazem dla których Polska rzekomo na zawsze jest skazana na marność, na to, że musi być podzielona, rozbita, nie-dająca rady, słaba instytucjami i cokolwiek jeszcze, to wystarczy mówić tak:

my nie jesteśmy Polacy! Żadni z nas Polanie! My jesteśmy ktoś zupełnie inny! Myśmy są Wiślanie, którzy od tysiąca lat pozostają pod podłą polańską okupacją, i wszystko, co w nas złe, to wina tych zasranych Polan, którzy nas wchłonęli, a nie nasza! Polan, którzy na naszym Wawelu, od tysiąca lat okupowanym, chowają własnych władców – niedorajdów! Tak jakby u siebie byli! Tych wszystkich swoich nieudaczných Piastów, Jagiellonów, tych elekcyjnych frajerów i innych! No i w ogóle zarażają nas, Wiślan, swoim nieogarem, swoją niedojrzałością, prostackością, tanią buńczucznością, lekkomyślnym ryzykanctwem, niedbałością, przemocowością i w ogóle wszystkim, co złe i co, jak to się mówi, polskie. A gdybyśmy to wszystko, co polskie, odrzucili i zaczęli na nowo? Jako Wiślanie? Od punktu zero? Bez historii? Z czystym kon-tem? A może, bez obciążenia całą tą polską, przeklętą historią, moglibyśmy być inni? Lepsi? Bez ciężkiego dziedzictwa poddaństwa, zaborów, komunizmu,

sarmatyzmu, sobiepaństwa, wywalenia na instytucje? Może, jak Finowie tworzący też w zasadzie od zera swój świeży naród i świeże państwo, moglibyśmy od razu stworzyć porządný, dobry kraj? Bez brzemienia? Bez kompleksów? Kusi, co? Tak zacząć od początku? Kusi, nie? – namawiał Rokita.

– Kusi – przyznałem po dłuższej chwili.

– Oj, kurwa, jak kusi.

Przez chwilę jechaliście w milczeniu.

– To gdzie was podrzucić? – zapytałeś po jakimś czasie.

– Do centrum.

– Ale centrum czego?

– O, tu – wskazał palcem szponiastym

Rokita najbliższy znak drogowy. Był to znak na Radom Centrum (w lewo). I na Potworów (w prawo).

– Radom Centrum Potworów – wyrecytowałeś, zerkając na napisy. – Tu?

– Tak – odpowiedział basem Boruta.

– Ale do centrum czy na Potworów?

– Do centrum potworów. Do Radomia. Westchnąłeś.

I myślałeś o ciągu dalszym, co niechybnie nastąpi. ●

FOT. ADRIANNA BOCHENEK / AGENCJA WYBORCZA.PL



Z **PIOTREM CYWIŃSKIM**, DYREKTOREM PAŃSTWOWEGO MUZEUM AUSCHWITZ-BIRKENAU, ROZMAWIA **MICHAŁ OLSZEWSKI**

Muzeum KL Auschwitz Birkenau ani jego dyrektor z zasady nie angażują się w komentowanie bieżących wydarzeń i wypowiedzi. Dla Jana Pietrzaka i Marka Króla zrobiliście wyjątek. Ukazały się krótkie i mocne komentarze, jeden z nich ze zdjęciem byłej więźniarki Zofii Posmysz i zbliżeniem na jej rękę z numerem obozowym.

– Rzeczywiście, nie wkraczam w politykę. Tylko w zderzeniu z perwersyjną próbą odwrócenia pamięci o ofiarach pokazuję, jak ta historia wyglądała naprawdę.

Jak to możliwe, że w kraju, w którym stąpamy po ruinach krematoriów, ta perwersyjna próba jest w ogóle możliwa?

– Po pierwsze: w Polsce nastąpiła generalna nerwowość. Za nami wybory parlamentarne, a przed nami równie ważna batalia samorządowa. Jak widać, nie wszyscy to ciśnienie wytrzymują. Po drugie: zepsucie języka politycznego i społecznego postępuje. Nie wyobrażam sobie, by 30 lat temu takie słowa mogły się pojawić w przestrzeni publicznej bez konsekwencji dla ich autorów.

A po trzecie, zdumiewa mnie kompletna nieznajomość historii. Jan Pietrzak mówi o barakach, które stoją w Treblince. Tam nie ma żadnych baraków i w ogóle żadnych budynków, bo SS wszystko zlikwidowało w 1943 r.

Najpoważniejszą jednak przyczyną jest kompletna moralna degeneracja jakiejś części klasy politycznej i komentatorów. Inne tłumaczenia nie znajduję.

A ja myślę jeszcze o inflacji języka i przekleństwie wyrazistości: im wyrazistsza, brutalniejsza metafora, tym lepiej się niesie.

– Nawet jeśli przyjąć, że słowa o tatuowaniu czy chipowaniu uchodźców są przejawem publicystycznego efekciarstwa, nie zmienia to mojej opinii: mamy do czynienia z degeneracją moralną osób występujących publicznie i kształtujących opinie społeczne. Jeżeli oficjalne wypowiedzi w sprawach prawnych czy humanitarnych, najważniejszych dla Rzeczypospolitej, mają wyglądać jak wyścigi nastolatków na TikToku, to znaczy, że zagubiliśmy zasady dialogu publicznego. A to jest groźne.

Dlaczego? Polacy od dawna mówią różnymi językami. Mimo to istniejemy.

– Możemy się różnić, ale jakieś mianowniki istnieć muszą. Tymczasem tracimy ze sobą łączność i nie widzę tu dobrego wyjścia. Bartoszewski powiedział kiedyś, że jeśli pijak obrzyga cię w tramwaju, to nie staje się z tego tytułu twoim znajomym. Pójdę dalej: je-

TWARZE ZŁA

Chipowanie, którym straszył uchodźców Marek Król, to nowa forma tatuażu dla więźnia obozu koncentracyjnego, makabryczna próba włożenia go w dzisiejsze czasy

FOT. ERIC SCHWAB / AFP



śli pijak wymiotuje w tramwaju, opuszczam pojazd.

Wydawało mi się, że z polskiego tramwaju nie da się wyjść ot tak sobie.

– Jeśli tak, to chyba powinniśmy uznać, że w dyskusji publicznej nie wymiotujemy. A jeśli już do incydentu dochodzi, w swojej naiwności oczekiwałbym jedno-myślności.

Mówi pan o niewiedzy. W Polsce niewiedza o drugiej wojnie światowej? O obozach? Jan Pietrzak urodził się w 1937 r.

– Najłatwiej byłoby powiedzieć, że szwankuje edukacja, ale to nieprawda. Każdy z nas w telefonie ma wielką bibliotekę, nie trzeba płynąć do Aleksandrii. Wyjaśnię szukałbym tam, gdzie etyka spotyka się z moralnością i psychologią. Nie jestem w stanie uwierzyć, żeby hasła rzucane przez Króla i Pietrzaka rzucane były z pełną świadomością.

Moja teza jest następująca: im dalej od wojny i im mniej bezpośrednich świadków wojny, tym większa swoboda. Nie tylko publicyści mówią rzeczy straszne. Pisarz Max Czornyj, żeby wypromować książkę, pozołwał na Amona Goetha, kata z KL Plaszow.

– Odchodzenie świadków nie jest czynnikiem decydującym. Imagination II wojny światowej nadal wręcz wydaje się nam ży-

sze i bardziej przemawia do wyobraźni niż nabijanie na pal czy łamanie kołem, chociaż to też jest prawda o człowieku. Okrucieństwo nazistów nadal jest czytelne, przerażające i nadal pobudza wyobraźnię, na przykład publicznych poszukujących tak ohydnych metafor. Chipowanie, którym straszył uchodźców Marek Król, to przecież nowa forma tatuażu dla więźnia obozu koncentracyjnego, makabryczna próba włożenia go w dzisiejsze czasy. To już nie jest czerpanie z historii nazizmu, tylko przekładanie go na język współczesny.

Pietrzak, Król, po nich Jakubiak, wcześniej Braun. To trend czy incydenty?

– Nadal żywię nadzieję, że mamy do czynienia z pojedynczym zbiorem kretyzmów, które wybuchły na skutek ogromnego napięcia w mediach i społeczeństwie. Ksiądz Mieczysław Maliński dawno temu wygłosił do inteligencji jednowyrazowe kazanie: „Chamiejemy”.

Z coraz większą łatwością przychodzi nam wszystkim argumentum ad Hitlerum. Kiedyś kończył dyskusję.

– Ciekawe, że nie ma argumentu ad inquisitio, mimo że inkwizycja była równie straszna, prawda? To tylko potwierdza to, o czym mówiłem wcześniej: o nośnym symbolu, zrozumiałym na całym świecie.

Zrozumiałym do tego stopnia, że po wybuchu wojny pomiędzy Izraelem a Strefą Gazy na jednej z demonstracji antyżydowskich pojawiło się hasło „Zatrzymajcie Holocaust Palestyńczyków”.

– Nie jest to nowy trend. W latach 80. Brigitte Bardot mówiła o Holokauście młodych fok na Grenlandii. Zresztą Holocaust ma greckie pochodzenie i pierwotnie oznaczał ofiarę całopalną. Po drugiej wojnie zrosł się w jedną całość z żydowskim męczeństwem, ale teraz zastępują go słowa „Shoah” czy „zagłada”.

Nowe jest co innego. Długofalowym efektem wojny były struktury, które miały służyć pojednaniu, budowie ponadnarodowych i ponadreligijnych wspólnot. Mówię nie tylko o Unii Europejskiej i poprzedzających ją ciałach, ale też o bardzo żywych ruchach ekumenicznych. To jest fundament świata powojennego, który w dużej mierze nastawił się na spotkanie z innością. W tej chwili inność coraz częściej postrzegana jest jako zagrożenie. Nie mówię o ekstremizmach – inność jest dziś dla wielu groźna sama w sobie.

Sam ostatnio często stosuję argumentum ad Hitlerum. Przecież współczesna Rosja poszła drogą nazizmu.

– Podobieństwa istnieją. Na pewno zachodzą znamiona zbrodni przeciwko ludzkości, nie tyle jeśli chodzi o czyny, nawet w najbar-

dziej umęczonych i zniszczonych miejscowościach ukraińskich, co w sferze ideologii i propagandy. Z ust architektów rosyjskiej polityki padało, że Ukraina nie ma prawa istnieć, że Ukraińcy nie są narodem. Potem w czyn wprowadzają to żołnierze rosyjscy. Zatem znamiona są na pewno, ale wolałbym, żeby najpierw wypowiedziała się o nich Haga, a w drugim rzędzie komentatorzy, publicyści czy historycy.

Pomówmy jeszcze o incydentach bądź trendach. Po tym, jak Grzegorz Braun zgasił chanukiję, pojawiło się wiele głosów, które można zamknąć w jednej frazie: „Ja do Żydów nic nie mam, ale...”

– Na temat posła Brauna wypowiadać się nie będę, bo nie jestem fachowcem we wszystkich naukach, które wymagałyby postawienia diagnozy. Natomiast rzeczywiście zmartwiła mnie niejednomyślność oceny tego jednoznacznego faktu. Niby wszyscy czuli zgorszenie, ale ocena wymaga jednak odpowiedzi, co z tym zgorszeniem robimy dalej.

Braun ma jednak uchylony immunitet i postawione zarzuty prokuratorskie.

– Nie oburza mnie polityczny wymiar tego wydarzenia i wszystko, co się wokół niego wydarzyło. Chciałem tylko powiedzieć, że przy działaniach tak jednoznacznie ekstremalnych najpierw po-

winno się wyczerpać konsekwencje moralne. Tymczasem 15 posłów potrafiło sprzeciwić się uchyleniu immunitetu, a aż czterech nie miało zdania. Uchylenie to zielone światło dla sądu. Światelko w tunelu.

Tymczasem rzeczniczka Konfederacji przekonywała, że to „happening”.
– Proszę mnie nie zmuszać, żebym to komentował.

Od polityki nie uciekniemy. Myśli pan, że po zmianie władzy muzeum przestanie być narzędziem walki politycznej? Przez minione lata PiS używało go jako młota na Niemców, Izrael i wrogów z rzekomej opcji niemieckiej. Obóz miał być nareszcie „polski”.
– Bez wątplenia takie sytuacje się zdarzały. Ale muszę podkreślić, że ze strony premiera Glińskiego nigdy nie czulem bezpośrednich nacisków. Obiektem wielkiej sympatii nie byłem, ale też nie usłyszałem, że powinienem zmienić język czy inaczej ustawić akcenty.
Co będzie teraz, nie wiem. Ta degrengolada, o której mówimy, nie daje mi spokoju.

Przypomnę: happening, nie degrengolada.
– Dobrze, wróć do happeningu, skoro się pan upiera. Kiedy Ciccio-lina została posłanką we włoskim parlamencie, Włosi mieli wielki ubaw. Wydaje mi się, że jeśli chodzi o działania Brauna, to poruszamy się po gruncie moralności i powagi Sejmu. Dlatego nie jest mi do śmiechu i nikomu być nie powinno.

Wojna na Bliskim Wschodzie wpłynęła na waszą działalność?
– W niewielkim stopniu. Raczej czujemy, że dla organizatorów wyjazdów z Europy Zachodniej Oświęcim leży pod Charkowem. Uważają, że gdzieś w pobliżu przebiega linia frontu i wołą nie ryzykować przyjazdu. Natomiast u nas odczuwalna jest bardziej, jak to nazwać, komparatystyka.
W Europie Zachodniej i Stanach Zjednoczonych pogłębiają się trudności w nauczaniu o II wojnie światowej i zagładzie, bo sala od razu dzieli się na dwa obozy i pojawiają się odniesienia do obecnej sytuacji na Bliskim Wschodzie. Nikt oczywiście nie jest w stanie zaproponować jakiegokolwiek rozsądnego rozwiązania.

Co ma jedno z drugim wspólnego?
– Możemy tu sobie w wygodnych fotelach mówić, że z faktami się nie dyskutuje, co nie zmienia faktu, że rozmowa na temat obozów w szkołach francuskich czy campusach amerykańskich przenosi się na grunt klótni o Izrael i Palestynę. Przywoływane są całe autostrady analogii.

I w jaki sposób przekłada się to na waszą pracę?
– Widzimy pewien wzrost prowokacyjnych pytań do przewodników. Niemcy przywozili Żydów z Węgier i gazowali w komorach, ale ktoś chce wiedzieć, jak to się ma do działań Izraela w Gazie. Przewodnicy na szczęście doskonale wiedzą, że nie jest ich rolą wdawanie się w dyskusje. Na szczęście na razie to incydenty.

Jest pan dyrektorem Muzeum prawie 20 lat. Na pana oczach odeszło całe pokolenie byłych więźniów i więźniarek.

– Nie wiem, czy mogę mówić o przyjaźni z ludźmi, którzy byli starsi ode mnie o 40 lat, ale o zażyłości na pewno. Tak, kiedy przyszedłem do muzeum, działała grupa ocalałych, którzy stanowili jakąś lokomotywę pamięci o obozach i wojnie. Simone Weil, Zofia Posmysz, Elie Wiesel, Władysław Bartoszewski, Józef Szajna, Kazimierz Albin, Israel Gutman. W tej chwili pozostała garstka aktywnych więźniów – to przede wszystkim Marian Turski i grupa kobiet, które trafiły do obozu jako dzieci. Trudno mi więc uniknąć wrażenia rosnącej pustki.

To jakim językiem mówić do kolejnych pokoleń, żeby jednocześnie unikać, jak to trafnie ujęła krytyczka literacka Paulina Małochleb „holo-polo”, a jednocześnie przyciągać?
– Widzę trzy kierunki. Materialne pozostałości Auschwitz na szczęście udało się zabezpieczyć i możemy skupić się na ich konserwacji. Pozostały relacje ocalałych, z których tylko część została wydana książkowo. I obraz, dotychczas mało wykorzystywany. Znamy 4,5 tys. dzieł sztuki, które dotyczą Auschwitz. To rysunki, obrazy, szkice, ryciny, wykonane przez więźniów zarówno w czasie wojny, jak i po wojnie. Chciałbym

Jeśli pijak obrzyga cię w tramwaju, to nie staje się z tego tytułu twoim znajomym

w ogromnym budynku kuchni obozowej, w tej chwili pustym, urządzić taką wystawę stałą.
Jeszcze jedna sprawa, chyba najważniejsza: jedyną drogą do świadomości kolejnych pokoleń jest personalizm, który próbujemy z niezłym skutkiem uprawiać na platformie X. Zdjęcie ofiary, jej krótka historia, konkretna twarz, za którą kryją się marzenia, nadzieje, tragedia, miłość, może bardziej przemówić niż opowieść o milionie i dwustu tysiącach ofiar.

A potem do obozu przyjeżdża Piotr Rybak i kłamie przed Ścianą Straceń na temat liczby ofiar. Czyje pan wtedy, że lata pracy poszły na marne?
– Nie, skąd?! Na widok Rybaka czuję coś w rodzaju współczucia, ale moje odczucia nie są tu istotne. Ważniejsze, że generalnie praca Muzeum KL Auschwitz-Birkenau nie powinna koncentrować się na ekstremizmach. Nie wierzę w sens pracy z Rybakiem, tak jak nie wierzę w sens pracy z negacjonistami.
Wydaje mi się, że powinniśmy skoncentrować się na tych, którzy są uczciwi, nie mają szerokiej wiedzy, ale można do nich trafić, zachęcić do myślenia, znaleźć przestrzeń w informacyjnym zamęciu. Zagłada ma swoją twarz i trzeba ją pokazywać. ●

Pułkownik

To obelga. Dowiedzieliśmy się tego od byłego ministra obrony narodowej Mariusza Błaszczaka.

Michał Rusinek

W dyskursie atakującym ministra kultury i dziedzictwa narodowego Bartłomieja Sienkiewicza pojawia się często słowo „pułkownik”. O dziwo, w formie inwektywy. I o dziwo, w ustach między innymi byłego ministra obrony narodowej, do niedawna kierującego Siłami Zbrojnymi RP.
W czasie sejmowej debaty nad wotum nieufności wobec ministra kultury i dziedzictwa narodowego Mariusz Błaszczak wygłosił przemówienie, w którym wielokrotnie zwracał się do ministra jako do pułkownika właśnie. Owszem, Bartłomiej Sienkiewicz w latach 1990-2002 był funkcjonariuszem Urzędu Ochrony Państwa zarządzanego przez Krzysztofa Kozłowskiego i oficerem tej służby w randze podpułkownika. Był to okres budowania struktur demokratycznego państwa, więc nawet jeśli ktoś ma ambiwalentny stosunek do działań służb specjalnych w ustrojach demokratycznych, to nie może zarzucić ich oficerom, że służyli reżimowi komunistycznemu, bo oni ów reżim i jego struktury właśnie demontowali. Tymczasem Mariusz Błaszczak usiłował przekonać nas, że „pułkownik Sienkiewicz” jest kimś w rodzaju generała Jaruzelskiego, bo „przejęcie” TVP kojarzyło się z wprowadzeniem stanu wojennego: „Z czym się do tej pory kojarzyło nagle odcięcie sygnału w mediach?” — pytał Błaszczak i zaraz sam sobie odpowiedział: „Z wprowadzeniem stanu wojennego. I tak należy nazywać sienkiewiczowskie metody przejmowania Telewizji Polskiej, Polskiego Radia i Polskiej Agencji Prasowej”. Budowanie argumentacji na zasadzie skojarzeń jest ryzykowne, bo należy założyć, że komuś, kto wprowadzenia stanu wojennego nie pamięta, brak sygnału w telewizorze kojarzyć się może raczej z dramatem Jarosława Kaczyńskiego, który po nocach dzwonił do prezesa TVP, albo z sytuacją kogoś, kto zapomniał w terminie opłacić abonamentu za kablówkę. Jest to więc skojarzenie własne Mariusza Błaszczaka. Narzucanie innym własnych skojarzeń więcej mówi o narzucającym niż o meritum sprawy. ●
Być może dla tych, którzy stanu wojennego nie pamiętają, Błaszczak uruchomił kolejne skojarzenie, mówiąc: „Niby pracował pan w służbach specjalnych niepodległej Polski, ale metody ma pan rodem z GRU”, czyli funkcjonującego współcześnie Głównego Zarządu Wywiadowczego Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych Federacji Rosyjskiej. Mundur ministra Sienkiewicza przestał więc być mundurem peerelowskiego generała wprowadzającego stan wojenny w 1981 r., a zaczął przypominać mundur rosyjskie, które od czasu wojny w Ukrainie widzimy w mediach dość często. To była jednak tylko aluzja, niewinna insynuacja, hiperbola mieszcząca się w ramach retorycznych popisów. Zaraz wrócił „pułkownik Sienkiewicz”, ironicznie zestawiony nawet raz z Jamesem Bondem (który by „nie ogarnął” tego, co „ogarnął” minister). Tu Mariusz Błaszczak ujawnił, że nie stroni od języka młodzieżowego („ogarnąć”) oraz popkultury – i także w niej ma rozeznanie. Aż dziw, że nie tytułował Bonda porucznikiem (commander), skoro taką wagę przywiązuje do stopni wojskowych. ●
Nie ma się co dziwić, że były minister obrony narodowej, który do niedawna przemawiał do generałów, pułkowników, poruczników itp. – przywykł do posługiwania się wojskową nomenklaturą. Dziwi jedynie, że w tym przypadku posługuje się określeniem

„pułkownik” jako inwektywą. Nie wiem, jak muszą się czuć pułkownicy, którym jeszcze niedawno minister Błaszczak wręczał odznaczenia, a którzy teraz słyszą, że gardzi on kimś noszącym ten sam stopień wojskowy i że używa owego stopnia, by kogoś deprecjonować. Mogę sobie tylko wyobrazić, co myślą wtedy o swoim byłym ministrze.
Do nazywania go „pułkownikiem” odniósł się sam minister Sienkiewicz: „Moi polityczni oponenci mówią o mnie »pułkownik«, »podpułkownik« – traktując to słowo jak obelgę, czy formę poniżenia. Ja natomiast jestem dumny z tego, że byłem wysokim oficerem, że tworzyłem fundamenty pod niepodległą Polskę, budując instytucje chroniące państwo. I powiem wam, panie i panowie, tak: ja dziękuję wam za przypomnienie mi o tamtych czasach, tamtych zasadach, gdzie rygor służby, obowiązkowi wobec ojczyzny, był najwyższym prawem. Podobnie brzmi rota przysięgi ministrów Rzeczypospolitej. Wtedy moim zadaniem było budowanie niepodległego państwa, dziś moim zadaniem jest ochrona go przed złem. Na tej drodze się nie cofnę. Ani kroku wstecz”. Posłużył się zatem figurą retoryczną zwaną *concessio*, polegającą na pozornym przyznaniu racji przeciwnikowi i obróceniu jego argumentów na swoją korzyść. W tym przypadku – nawet ich wzmocnieniu. ●
Wróćmy do posła Błaszczaka i jego strategii budowania argumentacji na skojarzeniach. Usiłował on sprawić, by słowo „pułkownik” niesło skojarzenia negatywne. Posłużył się też przymiotnikiem „sienkiewiczowski” w odniesieniu do działań Bartłomieja, ale on przede wszystkim kojarzy się z prozą Henryka, którą zresztą sam Błaszczak postanowił później zacytować. Jedno z najbardziej znanych zdań literatury polskiej brzmi: „Panie pułkowniku Wołodyjowski! [...] Dla Boga, panie Wołodyjowski! Larum grają! Wojna! Nieprzyjacieli w granicach! A ty się nie zrywasz! Szabli nie chwytasz? Na koń nie siadasz? Co się stało z tobą, żołnierzu? Zaliś swęj dawnej przepomniał cnoty, że nas samych w żalu jeno i trwodze zostawiasz?”. Przecież jedna z najważniejszych i najsympatyczniejszych postaci polskiej literatury miała właśnie stopień pułkownika. ●
Posługiwanie się Sienkiewiczem w atakach na Sienkiewicza jest zabiegiem ryzykownym, ale posłowi Błaszczakowi ryzyko niestraszne. „A teraz cytat. Poznaje pan?” – spytał Błaszczak, po czym odczytał fragment wypowiedzi księcia Bogusława Radziwiłła z „Potopu”; fragment, który rzekomo „idealnie oddaje [...] prawdziwe intencje” rządzących: „Rzeczpospolita to postaw czerwonego sukna, za które ciągną Szwedzi, Chmielnicki, Tatarzy, elektor i kto żywnaokoło. A my z księciem wojewodą wileńskim powiedzieliśmy sobie, że z tego sukna musi się i nam tyle zostać w ręku, aby na płaszcz wystarczyło; dlatego nie tylko nie przeszkadzamy ciągnąć, ale i sami ciągniemy”. Pomijając fakt, że cytat ten mógłby ilustrować raczej chciwość władzy PiS i dążenie do zawłaszczenia przez nią Polski, warto zauważyć, że Błaszczak cytat zmodyfikował, bo wymieniając tych, którzy ciągną za sukno, pominął Hiperborejczyków. Czy dlatego, że to trudne do wymówienia słowo, czy też dlatego, że to mityczny lud, w istnienie którego powątpiewał nawet Herodot? Pojawiający się w wierzeniach starożytnych Greków Hiperborejczycy stworzyli utopijną krainę, odizolowaną od innych, w której prowadzili beztrudnie i dostatnie życie – aż wreszcie skakali ze skały do morza. Pominiecie ich przez Błaszczaka w cytacie wydaje się znaczące: za dużo skojarzeń z systemem, który w Polsce przez osiem ostatnich lat budowano. A obecne nieudolne ataki na działania rządu, które przywracają demokrację i obnażają utopijność owego systemu, zbyt mocno mogłyby się kojarzyć z samobójczymi skokami do morza mitycznych Hiperborejczyków. ●

Po ataku na Ukrainę Zachód potępił agresora, zadeklarował jedność i nałożył bezprecedensowe sankcje. Ich cel był prosty: uderzyć Rosję po kieszeni i ograniczyć jej dostęp do zachodniej technologii. Prognozowano, że męstwo Ukraińców i determinacja ich sojuszników zepchną Putina na krawędź katastrofy gospodarczej i zmuszą do zatrzymania się.

Tak się nie stało. Nie dlatego, że Rosja jest silniejsza, niż sądzono, ale dlatego, że zabrakło dyscypliny i konsekwencji. Nie wyszło z tego samego powodu, z jakiego dziurawy parasol nie uchroni przed deszczem.

•••

Już w 2014 r. w odpowiedzi na aneksję Krymu USA, Unia Europejska, Kanada, Japonia i Australia wprowadziły sankcje – przede wszystkim ograniczenia w handlu z Rosją. Po inwazji 24 lutego 2022 r. do tej grupy dołączyły Korea Południowa i Tajwan, a sankcje bankowe ogłosił także Singapur. 28 lutego 2022 bankowi centralnemu Rosji zamknęto dostęp do ok. 300 mld rezerw w różnych walutach, jakie trzymał za granicą. W dzień po inwazji Wielka Brytania zamknęła przestrzeń powietrzną dla rosyjskich samolotów. Unia, USA i Kanada szybko się przyłączyły. Sankcji nie nałożyły Chiny i Indie ani żaden kraj Afryki, Ameryki Łacińskiej, Bli-

życza na ropę i gaz. Eksport tych dwóch surowców w 2023 r. przyniósł Rosji 370 mld euro. To filar jej gospodarki i główne paliwo napędowe rosyjskiej maszyny wojennej. Uderzenie w ten sektor to najlepszy sposób na odchudzenie portfela Putina, z którego płaci za broń, werbunek własnych ludzi i armii zaciężnych oraz wszystko, czego potrzebuje na wojnę.

Pierwsze miesiące konfliktu przyniosły gwałtowny skok ceny ropy. W sylwestra 2021 za baryłkę płacono 75 dol., w pierwszych dniach wojny cena przekroczyła 100. 1 marca 2022, w imię poparcia dla Ukrainy i w celu złagodzenia skutków ewentualnego szoku cenowego, kraje Międzynarodowej Agencji Energetycznej jednogłośnie zadeklarowały uruchomienie własnych rezerw – 61,7 mln baryłek. Połowę z tego zadeklarowała Ameryka.

To niewiele więcej, niż Rosja eksportuje w tydzień. Bardziej liczyła się symbolika. Bo **przez pierwsze dwa miesiące inwazji Kreml na eksporcie nośników energetycznych zarobił 66,5 mld dol.** Ponad miliard dolarów dziennie! 71 proc. tego handlu przypadało na Unię.

Z danych Eurostatu wynika, że między lutym 2022 a wrześniem 2023, czyli przez półtora roku wojny, wartość unijnego importu z Rosji spadła o 81 proc., a wartość jej eksportu do Rosji o 62 proc. W konsekwencji deficyt handlowy UE z Rosją, któ-

ry w marcu 2022 wyniósł 18,6 mld euro, we wrześniu 2023 r. spadł do 1 mld.

Wojna stała się dla Europy bodźcem do radykalnego zmniejszenia zależności od rosyjskiej energii. Chwalono się postępowaniem w tym zakresie. Lecz celebrowanie sukcesu jest stanowczo przedwczesne. Do rzeczywistego wyzwolenia się z ucisku Putina pozostała długa droga.

Wedle danych Komisji Europejskiej udział Rosji (drugiego po Arabii Saudyjskiej największego eksportera ropy na świecie) w imporcie ropy naftowej przez UE spadł z 28 proc. w III kw. 2022 do 3 proc. w III kw. 2023. We wrześniu zeszłego roku Unia importowała z Rosją jedną szóstą tego, co w styczniu 2021. Rachunek za ropę spadł o blisko 70 proc. To dane obiektywne, ale niekompletne i wypaczone.

5 grudnia 2022 kraje G7, Unia i Australia, wprowadzając zakaz importu ropy i produktów naftowych pochodzących z Federacji Rosyjskiej, przyjęły jednocześnie tzw. politykę pułapu cenowego. Miała ona na celu utrzymać stabilne dostawy ropy i jej pochodnych, bo tego potrzebuje gospodarka światowa, przy jednoczesnym ograniczeniu dochodów Rosji z tytułu ich eksportu. „Koalicja pułapu cenowego” – bo takiego terminu zaczęto używać – zgodziła się na świadczenie szeregu usług związanych z transportem morskim rosyjskiej ropy i rosyjskich produktów naftowych

(pośrednictwa handlowego, finansowania, transportu, ubezpieczenia/reasekurekcji, pośrednictwa celnego), o ile ta ropa lub produkty naftowe są kupowane po cenie nie wyższej niż ów „pułap cenowy”. Ustalono go na poziomie 60 dol. za baryłkę.

Na początku 2023 r., wkrótce po wejściu w życie nowych regulacji, sprzedaż rosyjskiej ropy spadła. Ale trwało to bardzo krótko. Wkrótce ponownie nabrała wigo-ru. Tyle że zmieniły się szlaki wędrówki rosyjskiej ropy.

Odpowiedź na poniższe dwa pytania uzasadnia tytuł i zdanie wstępne tego tekstu. A brzmią tak:

1. Co się działo i dzieje z rosyjską ropą, która kiedyś w ogromnych ilościach wędrowała do Europy?

2. Kto z chwilą wprowadzenia sankcji przejął rolę dostawcy ropy i produktów naftowych dla Europy?

Otóż **to, co kiedyś płynęło rurociągami do Unii, popłynęło drogą morską do krajów, które się pod nowymi regułami nie podpisały. W całkiem nowym rozdaniu prawie połowa (46 proc.) rosyjskiego eksportu ropy drogą morską powędrowała do Indii.** Stały się one największym odbiorcą rosyjskiej ropy. Sprowadzają średnio 1,75 mln baryłek dziennie, co oznacza wzrost o 140 proc. w porównaniu z 2022 r. Kupują po preferencyjnej cenie. Po czym sporą część swego importu z Rosji sprzedają Unii w formie nieprze-

MOSKWA PŁYWA W GOTÓWCE

Ropa jak płynęła na Zachód, tak płynie – tyle że z przystankiem w Indiach.
A Putin kradnie technologię wojskową, choć nie pogardzi i fabryką piwa

Andrzej Lubowski

skiego Wschodu oraz Serbia, Turcja lawiruje – ale za to w pierwszą rocznicę inwazji nadeszły kolejne pakiety zachodnich sankcji. Najpierw Kanada jako pierwsza ogłosiła blokadę importu rosyjskiej ropy, chwilę później Biden wydał zakaz importu ropy, gazu i węgla z Rosji.

Sankcjom przyświecała niewypowiedziana zasada, aby Rosję zmusić do zmiany kursu, raniąc ją ciężko, ale nie na tyle ciężko, by jej upadek pokaleczył architektów sankcji.

Tego rodzaju podejście niesie oczywiste ryzyko. Po dwóch latach wojny widać jak na dłoni, że przeważały ostrożność i brak konsekwencji. Czasem zabrakło woli politycznej, czasem wyobraźni, a czasem doradne i partykularne interesy wzięły górę nad strategicznym myśleniem. Jednocześnie Kreml znalazł zręczne sposoby obchodzenia barier. Realia reżimu sankcji pozostały daleko za deklarowanymi intencjami.

ROPA

Przeszło dwie trzecie całego eksportu Rosji i, w zależności od roku, 17-22 proc. jej PKB

Morskie szlaki transportu rosyjskiej ropy do Indii



tworzonej, a także przetworzonej na takie produkty jak benzyna, olej napędowy, paliwo do silników odrzutowych, nafta i inne. Unijny import produktów rafinowanych z Indii wzrósł o 115 proc. – ze 111 000 baryłek dziennie w 2022 r. do 231 800 baryłek dziennie w 2023 r. **W zeszłym roku większość krajów UE importowała produkty rafinacji ropy z Indii. Najwięcej, bo 24 proc. tego importu, trafiło do Holandii. Następni na liście nabywców to Francuzi (23 proc.), Rumuni (12 proc.), Włosi i Hiszpanie (po 11 proc.), a za nimi Niemcy i Belgowie (po 7 proc.).**

Tankowce z Rosji ruszają do Indii z Morza Bałtyckiego przez cieśninę duńską, Gibraltar i Kanał Sueski lub z Morza Czarnego przez cieśninę Bosfor i Kanał Sueski. Firmy monitorujące handel ropą twierdzą, że nie da się rozróżnić, które produkty rafinowane pochodzą z materiałów rosyjskich, ponieważ zostały przetworzone w innym kraju. Chyba że solidnie śledzi się trasy statków. Do największej na świecie rafinerii, Jamnagar w zatoce Kaćh na zachodnim wybrzeżu Indii, trafia dziennie 400 tys. baryłek rosyjskiej ropy. To stamtąd płynie ona do Europy. W ten sposób

Unia może powiedzieć, że prowadzi we wdrażaniu surowych sankcji wobec Rosji, pozostając faktycznie największym importerem rosyjskich paliw.

W listopadzie Departament Skarbu USA nałożył sankcje na firmy przewozowe i statki, które transportują rosyjską ropę zakupioną powyżej ustalonego limitu. Ale za to w samej Unii mnożą się odstępstwa od przyjętych reguł. Na przykład sankcje nie obejmują ropy dostarczanej rurociągami do krajów członkowskich bez dostępu do morza (Austria, Węgry, Czechy i Słowacja), choć państwa te mają alternatywny dostęp do ropy transportowanej morzem, a następnie rurociągiem Adria z Chorwacji. Bułgaria dostała dyspensę do grudnia 2024, mimo że jej rafineria na wybrzeżu Morza Czarnego może przetwarzać szeroką gamę alternatywnych gatunków ropy.

W rezultacie rozmaitych wyjątków tylko w I kw. 2023 kraje Unii, „nie naruszając sankcji”, zasiłiły kasę Kremla sumą blisko 2,4 mld dol. z tytułu zakupów ropy. Po wszechna stała się praktyka ukrywania prawdziwego pochodzenia ropy. Powstały całe floty tankowców, które kiedyś woziły ropę z Iranu i Wenezueli, a zaczęły wozić rosyjską.

Bez wątpienia unijne embargo zmniejszyło wpływy Rosji ze sprzedaży ropy w Unii. Ale nie zdał egzaminu mechanizm pułapów cenowych. Po raz kolejny daje o sobie znać dość oczywista prawda, że prawo jest dobre tylko wtedy, gdy jest konsekwentnie egzekwowane, a jego ignorowanie naraża na wystarczająco surowe kary. Żaden z tych warunków nie został spełniony. Zdaniem ekspertów Unia mogła całkowicie wyeliminować rosyjską ropę i produkty naftowe ze swojego rynku bez poważnego uszczerbku dla gospodarki.

Statki będące własnością G7 i krajów Unii lub w tych krajach ubezpieczone nieprzerwanie ładują ropę w portach w Rosji w okresach, gdy ceny są wysokie. To ewidentne naruszenie, ale konia z rzędem temu, kto się połapie, kto, jak i gdzie jest odpowiedzialny za egzekwowanie prawa i wyciąganie konsekwencji wobec spedytorów, ubezpieczycieli lub właścicieli statków, którzy gwiżdżą na sankcje albo posiadli sztukę ich obchodzenia. Kary za naruszenia są nadal słabe. Postanowienie wykonawcze Departamentu Skarbu grozi „możliwym postępowaniem cywilnym lub karnym”, ale jeśli „podmioty działające w dobrej wierze” złamią sankcje „nieumyślnie”, nic im nie grozi.

Pośrednikom uchodzi na sucho fałszowanie dokumentów zaświadczających o pochodzeniu ropy i cenie zakupu. To umożliwiło Rosji w drugiej połowie 2023 sprzedaż ropy w wyższych cenach. Wpływ z eksportu, jakie podał pod koniec minionego roku wicepremier Rosji Aleksander Nowak, były znacznie wyższe, niż spodziewał się Zachód. Wydobycie ropy spadło nieznacznie, a zważywszy na skok cen, wpływ z jej eksportu wzrosły. Institute of International Finance stwierdził, że „Rosja pływa w gotówce”.

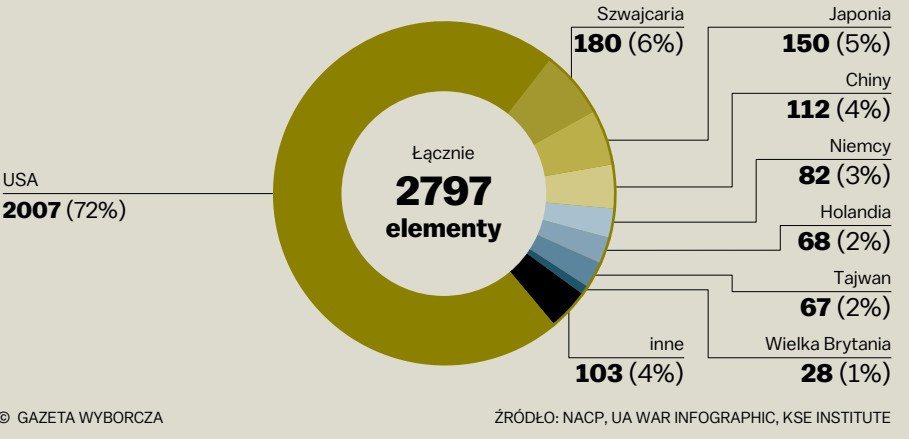
GAZ

Jeszcze bardziej niż od ropy Europa była i jest zależna od rosyjskiego gazu. W kwietniu 2022, czyli miesiąc po ataku na Ukrainę, na Rosję przypadało 45 proc. całości unijnego importu. Rachunek wynosił ok. 900 mln dol. dziennie.

Według raportu Komisji Europejskiej z 24 października 2023 całkowity import gazu z Rosji spadł ze 155 mld m sześć. rocznie w 2021 do ok. 80 mld w 2022 i szacunkowo do 40-45 mld w 2023. Ambitne zamiarki, aby kompletnie uniezależnić Unię do 2027 r., trzeba urealnić, czyli przesunąć na nieco odleglejszą datę.

We wrześniu 2023 wolumen importu gazu ziemnego z Rosji stanowił 44 proc. tego, co w styczniu 2021 – czyli Europa zmniejszyła zakupy o blisko połowę; na pozycję dostawcy numer nr 1 awansowały

Elementy rosyjskiego uzbrojenia pochodzenia zagranicznego odnalezione na terenie walk w Ukrainie



Zdolność Rosji do produkcji rakiet i dronów wręcz wzrosła – w przypadku rakiet z ok. 50 miesięcznie w 2022 r. do ok. 100 w połowie zeszłego roku i ok. 115 na koniec roku

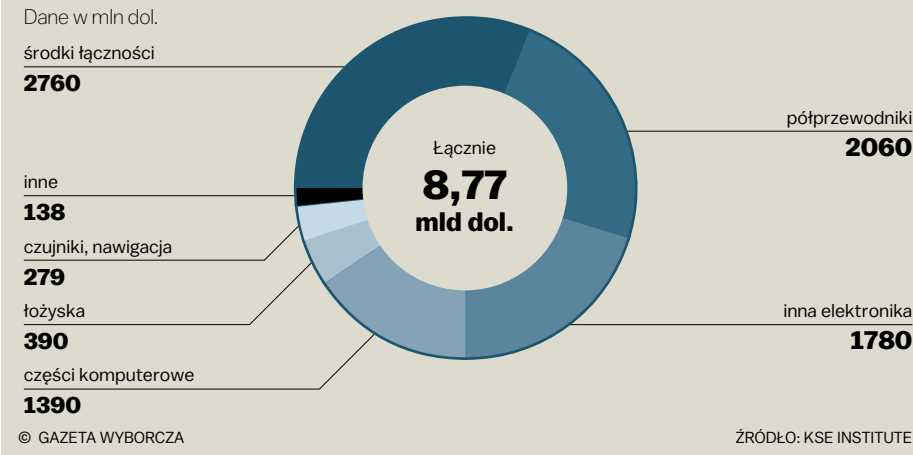
USA, wzrósł udział Algierii, Wielkiej Brytanii i Norwegii. Jednak ze względu na rosnące ceny jego wartość spadła jedynie o 3 proc.

Zwłaszcza kraje Europy Środkowej i Południowo-Wschodniej nadal są bardzo zależne od rosyjskiego gazu – wcale nie mniej niż przed wprowadzeniem sankcji. Czasem trudno o alternatywę, a czasem są inne powody. Szefer OMV, jednej z największych firm austriackich, działającej w 18 krajach na pięciu kontynentach, z udziałami m.in. w węgierskiej grupie MOL, powiedział bez ogródek, że będzie kupować rosyjski gaz tak długo, jak długo Gazprom będzie go dostarczać. Już po inwazji Węgry podpisały umowę na dodatkowe dostawy. Słowacja, Austria i pośrednio Czechy w dalszym ciągu kupują rosyjski gaz płynący rurociągami przez Ukrainę.

Gdy Bułgaria nałożyła podatek na tranzyt gazu przez swoje terytorium, aby zmniejszyć opłacalność tego interesu dla Gazpromu, Węgry zagroziły, że zawetują wejście tego kraju do strefy Schengen – bułgarski parlament się złamał. A Węgry oraz Serbia kupują rosyjski gaz po preferencyjnych cenach.

Po wybuchu wojny spadł unijny import rosyjskiego gazu rurociągami, a wzrosły zakupy gazu skroplonego, którego sankcje

Wartość rosyjskiego importu broni i części do jej produkcji w okresie od stycznia do października 2023 r.



nie dotyczą. Najwięcej, bo 40 proc. tego gazu przychodzi z USA, ale następni dostawcy to Rosja i Katar. Większość rosyjskiego gazu skroplonego, ważnego źródła dochodów dla Kremla, kupuje nie kto inny jak kraje Unii. Czasem robią to przez pośredników. Niemcy wykorzystują pośrednictwo Belgii, której 60 proc. skroplonego gazu pochodzi z Rosji. W okresie 2022-23 Austria kupiła w Rosji tyle samo skroplone-

go gazu co przed inwazją. **Belgia, Hiszpania, Holandia, Portugalia, Grecja i Włochy zwiększyły zakupy rosyjskiego gazu skroplonego.**

ATOM

System sankcji unijnych nie objął energetyki jądrowej. Jedną ze słabości europejskiej energetyki jest od dawna jej zależność od rosyjskiej technologii i paliwa nuklearnego. **W Bułgarii, Czechach, Finlandii, na Słowacji i na Węgrzech pracuje 19 reaktorów jądrowych opartych na technologii rodem jeszcze z ZSRR. Zależą w 100 proc. od Rosji i powiązane są często umowami z Rosatomem,** zawierającymi klauzule łączące dostawę paliwa z innymi usługami pomocniczymi. Entuzjazmu wobec jakichkolwiek ograniczeń nie wykazują nie tylko kraje zależne od reaktorów „made in USSR”, ale także Francja, której państwowy przemysł nuklearny utrzymuje więzi z Rosatomem. Proces uniezależniania się tego sektora od Rosji potrwa jeszcze długo.

BROŃ I TECHNOLOGIE WOJSKOWE

To, w jakim stopniu udało się utrudnić dostęp Putina do zachodniej technologii militarnej, obrazuje raport z 11 stycznia przygotowany przez Yermak-McFaul International Working Group on Russian Sanctions i centrum analityczne Kyiv School of Economics (Andrij Jermak to szef Biura Prezy-

denta Ukrainy, a Michael McFaul jest profesorem Uniwersytetu Stanforda, był ambasadorem USA w Moskwie w trakcie prezydentury Obamy).

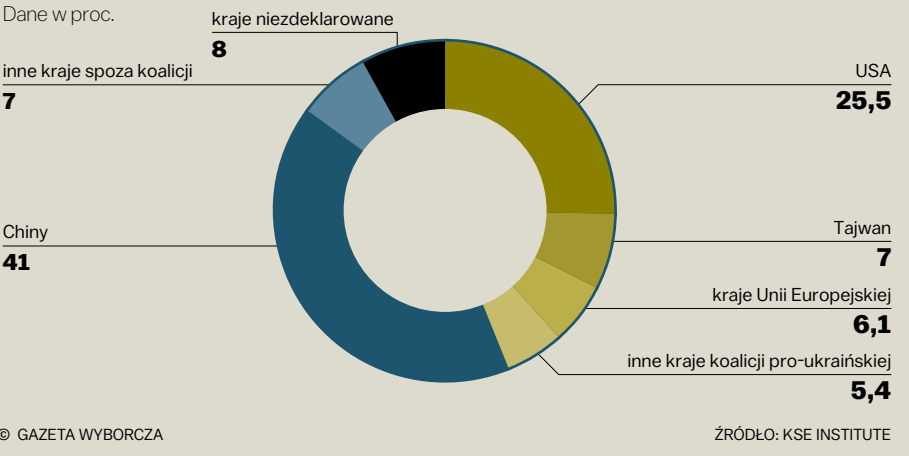
Podstawowy wniosek z obszernego raportu brzmi następująco.

Ponad 40 proc. rosyjskiego importu broni i jedna trzecia importu krytycznych komponentów niezbędnych do produkcji militarnej w pierwszych dziesięciu miesiącach 2023 r. stanowiły produkty firm, których centrale mieszczą się w krajach koalicji (przy czym siedziba centrali nie zawsze pokrywa się z miejscem faktycznej produkcji). **Skoordynowane i nasilające się ataki rosyjskich rakiet i dronów na infrastrukturę cywilną Ukrainy nie byłyby możliwe bez ważnych elementów produkowanych za granicą – głównie w krajach sojuszniczych Ukrainy.**

Na polu walki znaleziono i zidentyfikowano dotąd blisko 2800 indywidualnych części rosyjskiego uzbrojenia – w rakietach, dronach, pojazdach opancerzonych i innych systemach – wraz ze szczegółowymi informacjami na temat ich producentów.

Z analiz tych znalezisk wynika, że Rosja nadal w ogromnym stopniu polega na zagranicznych komponentach. 95 proc. wszystkich części znalezionych w rosyjskiej broni na polu walki wyprodukowa-

Rosyjski import elementów uzbrojenia w okresie od stycznia do października 2023 r. z uwzględnieniem miejsca ich produkcji



no w krajach koalicji wspierającej Ukrainę. 72 proc. tych części wyprodukowały firmy amerykańskie. Komponenty z Chin stanowiły tylko 4 proc.

Szacuje się, że zdolność Rosji do produkcji rakiet i dronów wręcz wzrosła; w przypadku rakiet z ok. 50 jednostek miesięcznie w 2022 do ok. 100 w połowie 2023 i 115 na koniec 2023.

Dramatyczny wzrost ataków raketowych w grudniu wynika również ze strategii Rosji polegającej na gromadzeniu zapasów na ataki na infrastrukturę cywilną w zimie. To zaś poważnie obciąża obronę powietrzną Ukrainy. **Powstaje zatem sytuacja rodem z Kafki: Ukraina potrzebuje większego wsparcia militarnego ze strony sojuszników, aby bronić się przed arsenałem, który Rosja tworzy dzięki dostępowi do komponentów pochodzących od tychże sojuszników Ukrainy.**

Mimo oczekiwań, że sankcje nałożone na towary o „podwójnym zastosowaniu” (czyli takie, które mogą służyć i gospodarce cywilnej, i wojskowej) – wprowadzone po aneksji Krymu w 2014 r. i znacznie zaostrzone po pełnowymiarowej inwazji – osłabiają zaawansowanie rosyjskiego sprzętu, demontaż broni z pola walki tego nie potwierdza. Nie ma ja-

i wydawała dodatkowo 3,21 mld dol. na komponenty krytyczne dla produkcji zbrojeniowej. Zakupy były szczególnie wysokie w IV kw. 2021 r. – odpowiednio 1,59 i 4,31 mld dol. miesięcznie, ponieważ Rosja przygotowywała się do wojny i wiedziała, że wraz z nią nadejdą sankcje.

Gdy nadeszły, import broni i komponentów gwałtownie spadł – do miesięcznej średniej wartości 565 mln dol. w przypadku sprzętu i 1,69 mld dol. w przypadku krytycznych komponentów w okresie od marca do lipca 2022. Ale już w drugiej połowie 2022 handel się odbudował. A w okresie od stycznia do października 2023 import uzbrojenia zbliżył się do poziomu sprzed sankcji – był tylko o 10 proc. niższy niż przez otwartą wojną. Od stycznia do października Rosja sprowadziła sprzęt bojowy o wartości 8,77 mld dol., a import krytycznych komponentów wyniósł do 22,23 mld dol.

Przeważająca część sprzedaży i wysylek sprzętu o potencjalnym zastosowaniu militarnym do Rosji odbywa się za pośrednictwem Chin, Turcji i Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Wciąż znaczna część jest produkowana na zlecenie firm mających siedziby w krajach, które wprowadziły kontrole eksportu. To dobra i zła wiadomość.

Odkrycie nowoczesnych zachodnich podzespołów w rosyjskiej broni nie świadczy o naruszeniu sankcji – zapewne część była sprzedana Rosji, zanim doszło do otwartego ataku. Ale nie ulega wątpliwości, że nowoczesna technika i technologia militarna krajów ukraińskiej koalicji nadal trafiają do Rosji w dużych ilościach przez pośredników z państw trzecich.

Kontrole eksportu odniosły częściowy sukces – zmuszają Rosję do polegania na droższych szlakach dostaw i zadowalania się produktami o niższej jakości. Ale to sukces połowiczny, skoro w ciągu pierwszych dziesięciu miesięcy 2023 r. Rosja kupiła za granicą o 20,5 proc. więcej uzbrojenia i o 4,8 proc. więcej krytycznych komponentów o militarnym zastosowaniu niż rok wcześniej.

TECHNOLOGIE

Raport grupy Yermak-McFaul i KSE Institute ilustruje skalę uczestniczenia konkretnych firm w eksporcie, który ostatecznie trafia w ręce rosyjskich inżynierów, monterów i wojskowych. W rosyjskim imporcie broni w ciągu 10 miesięcy ubiegłego roku tkwiło 834 mln dol. sprzedaży Intela, Analog Devices, AMD i Texas Instruments; w imporcie komponentów wartość sprzedaży tych amerykańskich firm to 1 mld. Koreańskie Samsung i Hyundai, niemiecki Siemens i amerykański Dell to kolejne 600 mln. Rosja ma dostęp do procesorów graficznych słynnej firmy NVIDIA, będących sercem nowoczesnych modeli AI.

Kiedy Apple i Google wstrzymały sprzedaż rosyjskim firmom, gwałtownie wzrósł popyt ze strony takich krajów jak Kazachstan i Turcja. Firmy technologiczne realizowały zamówienia także pośrednikiem z niewielką lub żadną historią handlową, którzy po prostu wysyłali te towary do Rosji.

Pod wieloma względami rosyjska machina wojenna od czasu katastrofalnego odwrotu z północy Ukrainy w 2022 r. dojrzała – lepiej wykorzystuje zaawansowane technologie, co zwiększa skuteczność ataków i podnosi koszty ukraińskiej obrony.

Rosyjską gospodarkę i jej sektor militarny wspomagają nie tylko zachodnie mikroprocesory i układy scalone, ale także oprogramowanie. W 2022 r. w ramach ogłoszonego przez Kreml i zakrojonego na szeroką skalę programu substytucji importu próbowano wyeliminować zachodnie oprogramowanie w kluczowych gałęziach gospodarki. Jednak **sektory naftowo-gazowy oraz finansowy pozostają silnie uzależnione od technologii z Zachodu. Wydobycie ropy i gazu opiera się na algorytmach modelowania złóż i oprogramowaniu takich firm jak SLB, Halliburton, Aspen-Tech i Emerson Electric Co.** Rosjanie nie są dziś w stanie zastąpić tych rozwiązań własnymi. To oznacza, że zachodnie firmy technologiczne mogłyby zakłócać kluczowe rosyjskie sektory, a tym samym osłabiać zdolność Rosji do prowadzenia wojny.

UKRADZONE FIRMY

Niewątpliwym ciosem w gospodarce agresora były decyzje zachod-

370

MLD EURO

• przyniósł Rosji eksport ropy i gazu w 2023 r.

2,4

MLD DOL. EKSTRA

• zarobił Putin w trzy miesiące 2023 r., bo niektórzy w Unii obezli sankcje

300

OK.

MLD DOL.

• w różnych walutach to zamrożone zagraniczne rezerwy banku centralnego Rosji

40

PROC. ROSYJSKIEGO IMPORTU BRONI

• i 1/3 komponentów niezbędnych do produkcji militarnej w 2023 r. pochodziło z firm z krajów sojusznicznych Ukrainy

45

DO OK.

MLD M SZEŚC.

• spadł w 2023 import gazu z Rosji do Europy – ze 155 mld

3,85

MLD DOL.

• wydała Rosja od stycznia do października 2023 na zachodnią broń, a na zachodnie komponenty do produkcji własnego uzbrojenia 7,27 mld

1,149

MLD DOL.

• wydała Rosja w okresie stycznia–października 2023 na produkty Intela, IBM, Analog Devices, AMD, Texas Instruments i Della zawarte w broni

nich firm o wyjściu z rosyjskiego rynku. Nie nazywano tego sankcjami i nikt ich nie dekretował. Firmy czyniły to albo z własnej inicjatywy, w obawie o szkody wizerunkowe, a w konsekwencji i finansowe, na jakie naraża ich markę pozostanie w Rosji, albo pod presją akcjonariuszy lub grup konsumentskich. Etycy i historycy przypominali, że to bojkoty w wykonaniu korporacji bardziej niż sankcje pomogły znieść apartheid w RPA.

Jedną z pierwszych firm, która spakowała manatki w Rosji, był McDonald's. Profesor Jeffrey Sonnenfeld z Yale School of Management mówił: „Jeśli Putin uważa, że poradzi sobie lepiej we frytkownicy, niech to robi. Naprawdę nas to nie obchodzi. Ważne jest, aby nie miał poparcia znanej globalnej marki”. I stwierdził, że pozostanie w Rosji jest równoznaczne ze wspieraniem rządu agresora.

Według stanu z 21 stycznia 1028 firm zagranicznych zaprzestało działalności w Rosji. 51 proc. to firmy z USA, Wielkiej Brytanii i Niemiec. Następne 25 proc. – w kolejności wg liczby firm – przypada na Finlandię, Japonię, Francję, Szwecję, Polskę, Holandię i Danię. **Z najbardziej znanych wśród „uchodźców” znalazły się Ford, General Motors, Mercedes-Benz, Renault, Nissan, Toyota, McDonald's, Starbucks, IKEA, OBI, Adidas, Nike, Siemens, BASF, Cisco, Dell, IBM, HP, Nokia, American Airlines, Delta Airlines, United Airlines, Lufthansa, Qantas. Wielu innych znanych i mniej lub bardziej szanowanych, takich jak Amazon, Apple, BMW, Honda, Mazda, Subaru, Volkswagen czy Volvo, zawiesiło działalność.**

Taki exodus wysyła w świat sygnał, że Rosja jest biznesowym pariasem i niebezpiecznym miejscem do prowadzenia interesów. Co odważniejsi rosyjscy urzędnicy i ekonomiści po cichu przyznają, że spadek konkurencji i inwestycji zagranicznych w dłuższej perspektywie zaszkodzi zwykłym Rosjanom i gospodarce.

Z drugiej strony większość działających w Rosji firm pozostała, nie chcąc stracić miliardów zainwestowanych przez dziesięciolecia, co pomogło Kremlowi w zachowaniu poczucia normalności u obywateli.

W pierwszych tygodniach wojny, gdy giełda w Moskwie była zamknięta, rubel staczał się po równi pochyłej, a wieści z frontu były zaskakująco ponure, każde wyjście znanej firmy bolało. Z czasem, gdy Putin poczuł się pewniej w siodle, gdy znalazły się sposoby obchodzenia sankcji i zatykania dziur w budżecie, zaczął drwić: „Czy myśleli, że wszystko się tu zawali? Rosyjskie firmy przejęły kontrolę i ruszyły dalej”.

Na początku wojny firmy takie jak McDonald's sprzedawały swoje filie czy lokale miejscowym menedżerom lub lokalnym współpracownikom biznesowym, biorąc pod uwagę późniejszy powrót do Rosji, ale takie transakcje szybko stały się trudne. W kwietniu 2023 Putin zadekretował, że rząd może przejąć zagraniczne aktywa i umieścić je pod tymczasowym nadzorem. Firmom zaczęło zagrażać bezpośrednie przejęcie.

Ten los spotkał firmę Carlsberg. Duński piwny potentat chciał wyjść z Rosji i podpisał umowę sprzedaży swej spółki za-

Sankcjom przyświecała niewypowiedziana wytyczna: Rosję zranić ciężko, ale nie na tyle ciężko, aby jej upadek pokaleczył architektów sankcji

snych dowodów na zastępowanie znaczącej części komponentów z krajów koalicji przez rosyjskie lub chińskie, przypuszczalnie mniej zaawansowane. Rosyjska armia walczy bronią poskładaną z zachodnich części i posługuje się zachodnią technologią.

To może się z czasem zmienić. **Zdjęcia satelitarne pokazują budowę nowych obiektów związanych z naprawą samolotów, produkcją rakiet, montażem dronów i innych urządzeń wojskowych.** Na przykład zakłady lotnicze w Kazaniu i Irkucku zostały w ostatnich miesiącach rozbudowane, skupiono się na myśliwcach Su-30 – kluczowych samolotach w rosyjskim lotnictwie. Znaczna część tych projektów sięga wprawdzie okresu sprzed inwazji, rozpoczęto je między 2018 a 2021 r. – ale po lutym 2022 wyraźnie je przyspieszono.

Trudno dziś spekulować, ile w tym nowym sprzęcie będzie komponentów zachodnich – ale wiadomo, że w okresie poprzedzającym inwazję Rosja importowała średnio miesięcznie sprzęt bojowy o wartości 1,04 mld dol.

Dobra, bo potwierdza zależność sektora militarnego Rosji od produktów jej przeciwników, a zła, bo dowodzi nieskuteczności sankcji.

Jednocześnie w ubiegłorocznym imporcie militarnym Federacji Rosyjskiej widać wyraźnie zacieśnienie współpracy z Chinami. To one wysunęły się na pozycję lidera wśród producentów, od których uzbrojenie i komponenty kupuje Rosja, spychając z tego niezbyt zaszczytnego miejsca USA.

W okresie od stycznia do października 2023 tylko 4,8 proc. broni i 12,9 proc. kluczowych podzespołów wysłano do Rosji z krajów koalicji. Ponad połowa (pod względem wartości) wszystkich towarów o potencjalnie wojskowym przeznaczeniu jest wysyłana do Rosji z Chin. Kolejne miejsca wysyłki to Hongkong, Turcja i ZEA. Te cztery kraje razem odpowiadają za 86,2 proc. ogólnej wartości przesyłek. Ale ważniejsze od tego, skąd się wysyła, jest to, co się wysyła i kto zawartość przesyłek wyprodukował. Zatem miejsce wysyłki nie może być jedynym kryterium oceny skuteczności sankcji.

leżnej w Rosji, Baltica Breweries, ale transakcji nie zdołał sfinalizować, bo władze przejęły kontrolę nad Bałtyką na mocy polecenia podpisanego przez Putina. Szef duńskiej firmy stwierdził wprost, że rosyjski rząd „ukradł nam biznes w Rosji”. A mówimy o jednej z najbardziej rozpoznawalnych marek piwa w Rosji i firmie zatrudniającej 8400 pracowników w ośmiu zakładach.

„Nie zamierzamy zawierać transakcji z rządem rosyjskim, która w jakiś sposób usprawiedliwiałaby nielegalne przejęcie naszego biznesu” – stwierdził szef firmy. Carlsberg wypowiedział wszystkie umowy licencyjne na produkcję i sprzedaż swoich produktów w Rosji, ustalając ich wygaśnięcie na 1 kwietnia 2024 r., po wyczerpaniu istniejących zapasów. Po upływie karencji Rosjanie nie mają prawa produkować żadnego z produktów Carlsberga – a co zrobić, tego nikt nie wie.

Carlsberg to tylko jeden z przykładów. Exodus zachodnich marek Putin zamienił w eldorado dla lojalnej elity. Dyktował warunki wyjścia, czasem po prostu przemawiał firmy, czasem zmuszał do sprzedaży za grosze wskazanym nabywcom, kazał płacić podatki od wyjścia – w 2022 r. z tego tytułu do budżetu Rosji wpłynęło co najmniej 1,25 mld dol. A w pewnym momencie zarządził, aby firmy z kluczowych branż używały jego podpis przed sprzedażą rosyjskich aktywów. W ten sposób losy oddziałów Siemensu czy Caterpillara stały się zależne od kaprysów samego gospodarza Kremla.

Przykładów nie brakuje: rosyjskie filie Nissana, Renault i Toyoty przejęła spółka państwowa, Heineken został przejęty za 1 euro. OBI oznajmiło, że zamknie wszystkie 27 sklepów w Rosji do czasu znalezienia nabywcy, ostatecznie sprzedało je za kilka dolarów. Fabryka, która do niedawna należała do największego na świecie producenta wind, firmy Otis, dziś należy do gościa, który zbił fortunę na rosyjskiej loterii. Proputinowski raper stał

się współwłaścicielem Starbucksa. A Carlsberg Putin oddał w ręce swojego przyjaciela i partnera w judo. Po czym Dmitrij Miedwiediew podziękował duńskiemu browarowi: „Mocny budżet państwa oznacza pomoc dla frontu. W tym względzie bezmyślni Duńczycy również wnoszą wkład w nowoczesną rosyjską broń”. Reżimowi nie wystarczy kradzież w biały dzień. Właściciela, któremu się wszystko odbiera, czeka jako bonus upokorzenie.

Ci, którzy nie chcieli oddać swego po dobroci, byli zastraszeni. Władze prowadziły dochodzenia, przesłuchiwały pracowników, aresztowały lokalnych menedżerów. Jak pisał „New York Times”, firmy, które wyszły z Rosji, spisały już na straty 103 mld dol.

Nowi właściciele nie radzą sobie najlepiej – w zeszłym roku produkcja samochodów w Rosji spadła o 67 proc. w stosunku do poprzedniego. Właśnie z takich powodów wielu zachodnich ekonomistów uważało, że odporność Rosji ma swoje granice i że będzie krótkotrwała; liczono, że niedobory oraz rozstanie z wysokiej jakości markowymi produktami w końcu zmęczą społeczeństwo i zmobilizują do wyrażenia niezadowolenia.

Tę pewnością nadszarpnęła akcja ratunkowa Chin zapelniających luki po zachodnich towarach – w salonach samochodowych alternatywą dla lokalnych wytworów są ich samochody. A gdy Putin i Xi uzgodnili zacieśnienie współpracy, zwłaszcza w zakresie technologii i energetyki, Rosja mogła przestawić gospodarkę na tory wojenne – pełną parą ruszył sektor militarny i wszystko, co jest z nim związane.

DIAMENTY I INNE DROBIAZGI

Sankcje handlowe bołą nie tylko tego, w którego są wymierzone, często biją po kieszeni kraje, które je wprowadzają. Stąd pokusa, aby je obcho-

dzić, niejasności interpretować na własną korzyść, liczyć na ospałość biurokratów albo zabiegać o życzliwe potraktowanie, ulgi, dyspensy, szukać luk w przepisach. Ilustruje to świeża historia ryb i diamentów, która brzmi szalenie biurokratycznie, ale takie są realia majstrowania przy handlu w krajach wolnego rynku.

2 grudnia prezydent Biden, wychodząc poza ramy dotychczasowych przepisów, zakazał importu do USA rosyjskich ryb, owoców morza i ich przetworów oraz dia-

si partnerzy zamierzają wprowadzić ograniczenia importowe na niektóre diamenty wydobywane, przetwarzane lub produkowane w Rosji”.

Sceptyk pyta, czy Biały Dom nie ma niczego lepszego do roboty, niż detalicznie zajmować się poszczególnymi towarami, nawet jeśli to diamenty. Sceptyk zmienia zdanie na wiadomość, że eksport nieoszlifowanych diamentów jest bardzo lukratywny dla Kremla (to ok. 2 mld dol. rocznie); spór o diamenty trwa w Unii od ponad ro-

Gdy Bułgaria nałożyła podatek na tranzyt Gazpromu, Węgry zagroziły, że zawetują jej wejście do strefy Schengen i bułgarski parlament się złamał

mentów. Zakaz obejmuje produkty, które zostały wydobyte, wyprodukowane w całości lub w części w Federacji Rosyjskiej lub złowione na wodach podlegających jurysdykcji Federacji Rosyjskiej lub przez statki pływające pod banderą Rosji.

Z rybami i owocami morza Departament Skarbu poradził sobie szybko. Podległy mu Office of Foreign Assets Control wydał zakaz importu rosyjskiego łososia, dorsza, mintaja i krabów oraz ich przetworów. Ale diamenty to inna sprawa. Zaangażował się sam Biały Dom, wydając oświadczenie, że „w nadchodzących miesiącach Stany Zjednoczone i na-

ku; Belgowie uchronili handel nimi, lecz rząd belgijski twierdzi, że nigdy nie prosił Komisji Europejskiej, aby wyłączyła ten sektor z sankcji. Ktoś najwyraźniej prosił, i to skutecznie.

To pokazuje siłę lobbystów działających zakulisowo. Jeden z najbardziej złożonych wysiłków lobbystycznych na rzecz obejścia sankcji dotyczył transportu rosyjskiej ropy greckimi tankowcami do krajów nieeuropejskich. **Przeszło połowa tankowców transportujących rosyjską ropę należy do armatorów greckich. Grecy twierdzą, że jeśli oni się z tego wycofają, pojawi się ktoś inny na ich miejsce i zawiezie rosyj-**

ską ropę do Indii i Chin. Eksperci zauważają, że sprawy nie do końca się tak mają. W październiku 48 proc. dostaw rosyjskiej ropy przewożono tankowcami będącymi własnością lub ubezpieczonymi w krajach G7 i UE. Biorąc pod uwagę takie uzależnienie Rosji od europejskich tankowców i ubezpieczeń, bardziej rygorystyczne egzekwowanie prawa może zwiększyć wpływ sankcji.

● ● ●

Putin spodziewał się sankcji, choć zapewne sądził, że Zachodowi zajmie o wiele więcej czasu, aby się dogadać i wprowadzić je w życie. Od początku kalkulował i nadal kalkuluje, że Zachód z czasem je złagodzi albo będzie stosować selektywnie, bo chciwość weźmie górę. Że w którymś momencie jakiś koncern niemiecki, francuski, włoski czy austriacki powie swoim politykom, że przecież Rosja to wielki rynek zbytu, zapewni, że nie będzie sprzedawać niczego, co ma militarne zastosowanie – i powoli sankcje zaczną się rozlać. Liczy na moralną słabość Zachodu. I będzie robić wszystko, aby następnym prezydentem USA został Trump.

Lecz niezależnie od tego, jak buńczuczne są deklaracje Kremla, Rosję sankcje zabolowały i bołą, chociaż akurat wysoka cena ropy – jedyna słabość gospodarki, z której tłumaczy się Putin – niewiele ma z nimi wspólnego. Natomiast oczekiwanie, że Moskwa skapituluje z powodów ekonomicznych, było od początku złudną nadzieją. Sankcje dotknęły gospodarkę Rosji, dotknęły jej obywateli, ale nigdy nie zmieniły działań Kremla. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

34299080

WSPRZEDAŻY

TEMAT NUMERU

Zdrada – jest po niej życie

KATE WINSLET

Nie ma znaczenia, co myślą inni

RELACJE

Rozstania w związkach z długim stażem

wysokieobcasy
extra



PREZENT DO WYBORU

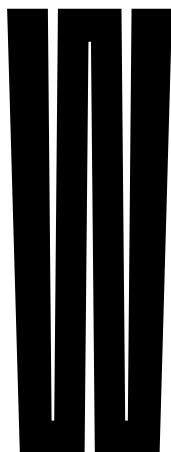
baza pod makijaż
BIELENDALUB serum do pielęgnacji intymnej YOPE

FOT. NATALIA KOLESNIKOVA/AFP/EAST NEWS

Adam Michnik poleca **Mówi więzień Kara-Murza**

NAJCIEMNIEJ JEST PRZED ŚWITEM

W kolonii karnej od razu zamknęli mnie w osobnej celi. Jak uczciwie powiedział mi naczelnik: Bo inaczej wy nam ludzi swoimi poglądami pozarażacie



2023 r. rosyjskiego polityka, historyka i publicystę Władimira Kara-Murzę (rocznik 1981) władze skazały na 25 lat więzienia. Lista jego zbrodni to według rosyjskiego państwa „fake newsy” o wojsku, „prowadzenie działalności w niepożądaną organizację” i „zdrada państwa”.

Kara-Murza siedzi w izolacji w kolonii karnej o zastraszonym reżimie nr 6 w Omsku.

Jego postawa to dla wielu ludzi przykład wytrwałości, w tym i dla nas, dziennikarzy i redaktorów „Meduzy”.

Na krótko przed świętami wysłaliśmy Władimirowi pytania i zdążyliśmy otrzymać odpowiedzi. Mamy nadzieję, że jego słowa podtrzymają was i ogrzeją. Pozdrawiamy was z okazji Nowego Roku. Bez względu na wszystko, nie przestawajcie wierzyć.

Redakcja Meduzy, 31 grudnia 2023

MEDUZA: Czego, według ciebie, ludzie w Rosji się boją? I jak stawiać czoła strachowi?

WŁADIMIR KARA-MURZA: Lęki – podobnie jak nadzieje, aspiracje i dążenia – są mniej więcej podobne u ludzi na całym świecie. Problem tkwi w systemie stworzonym w naszym kraju. Strach to podstawa reżimu Putina i główna metoda zachowania przez niego władzy.

Tak było od samego początku: 24 lata temu ci ludzie zasiedli na Kremlu wraz z eksplozjami domów [mieszkalnych, wysadzonych w powietrze m.in. w Moskwie] i wojną czeczeńską. W ten sposób utrzymują władzę do dziś przez te wszystkie lata.

Ważne jest to, że represje mają charakter demonstracyjny, od zastrzelenia przywódcy opozycji [Borysa Niemcowa

w 2015 r.] na położonym w pobliżu Kremla Wielkim Moście Moskiewskim po stalinowskie w swym wymiarze wyroki za niezależne myślenie. Władze doskonale znają wartość swoich „ratingów” i „wyborów”, więc utrzymanie strachu w społeczeństwie jest dla nich niezbędne.

Trzeba jednak pamiętać, że strach, podobnie jak szantaż, działa tylko wtedy, gdy jest się na niego podatnym. Strach to także wybór. A kiedy wystarczająca liczba ludzi w naszym kraju zdecyduje, że nie chce się już bać, system zacznie się sypać jak domek z kart. Widzieliśmy to w wielu krajach autorytarnych, także w naszym własnym, w sierpniu 1991 r.

Oczywiście łatwiej mówić o porzuceniu strachu, niż go porzucić. Dlatego na politykach, działaczach społecznych i działaczach opozycji ciąży szczególna odpowiedzialność – muszą dawać osobisty przykład. To jeden z najważniejszych powodów, dla których zarówno ja, jak i wielu moich kolegów nie wyjechalibyśmy z Rosji.

Nigdy nie zapomnę słów Władimira Bukowskiego na jednym z wieców, który organizowaliśmy podczas jego kampanii prezydenckiej w latach 2007-08. Na pytanie, dlaczego wrócił do Rosji i zgodził się na wysunięcie swojej kandydatury i czy na-

prawdę ma nadzieję, że coś zmieni, odpowiedział: „Wróciłem dlatego, że ludzie znowu zaczynają się bać. A kiedy zaczynają się bać, trzeba przyjść, stanąć obok i powiedzieć: »Oto ja. Nie boję się«”.

Co budzi w tobie największy strach? Areszt? Wyrok 25 lat?

– Po tym wszystkim, co przyszło mi przeżyć w ostatnich latach – zamordowanie bliskiego przyjaciela i kuma [Niemcowa], dwa otrucia z rąk FSB, teraz 25 lat kolonii karnej o zastraszonym rygorze na Syberii – bać się czegoś osobiście byłoby głupio.

Najstraszniejsza dla mnie jest myśl, że ludzie, którzy przez ćwierć wieku władzy doprowadzili nasz kraj do obecnego stanu, mogą ostatecznie pozbawić go przyszłości. Tym większa odpowiedzialność na nas spoczywa – nie pozwolić im tego zrobić.

Jest takie powiedzenie: „Etap straszniejszy od wyroku” [Etap – ciasne i brudne miejsce postoju w czasie przewożenia więźnia do miejsca odbywania wyroku]. Twój etap rozpoczął się niedługo przed twoimi urodzinami, na początku września 2023 r. Jak to wyglądało? Było w tym coś szczególnego przez to, że jesteś więźniem politycznym?

– Polityczni są często zabierani na etap przed świętami – tak było w przypadku Aleksieja Nawalnego czy Andrieja Piwowarowa. Nie jestem tu wyjątkiem.

Nawiasem mówiąc, to stara, zła tradycja: Dostojewski został przewieziony w grudniu 1849 r. (tutaj, do Omska) w noc Bożego Narodzenia, a Solżenicyn w powieści „Krąg pierwszy” opisuje etap tuż przed Nowym Rokiem. Tam też jedna z postaci opowiada o najczęstszych drogach więźniów na Syberię i przywołuje więzienie etapowe w Kujbyszewie [radziecka nazwa Samary, 1935-91].

Jechałem tutaj i urodziny obchodziłem w karcerze w więzieniu etapowym w Samarze – więc nawet trasy etapowe w naszym kraju nie zmieniły się na przestrzeni lat.

Byłem, można powiedzieć, traktowany indywidualnie. Osobne przedziały w „wagonach stołypinowskich” [specjalne wagony do przewozu więźniów], przy których stale dyżurował konwojent; jednoosobowe karcery na etapach. A w końcu do naszego pociągu doczepiono jedną dodatkową więziarnię specjalnie dla mnie, żebym znajdował się w całkowitej izolacji od innych więźniów, abym nie daj Bóg nie mieszał im w głowach.

Przypomniałem sobie opowiadanie Bukowskiego o tym, jak jego na etapach zamykali w osobnej „szklance” [w oryg. „stakan”; używana przy przewozie więźniów, o powierzchni nie większej niż pół metra kw.; Europejski Trybunał Praw Człowieka uznał zamykanie w niej za torturę]. Dwaj konwojenci mówili mu: „Milcz. Zamknij usta”. „Widocznie się obawiali, że jak tylko zacznę mówić, radziecka władza padnie”, dodawał Wołodia i zaciągał się swoim ukochanym dunhillem. I tak go wozili. Ale władzy radzieckiej to nie pomogło.

Jakie wrażenie zrobiła na tobie omska kolonia o zaostrozonym reżimie? Co to znaczy zamknięcie dla więźnia politycznego w 2023 r.?

– O kolonii i tutejszych więźniach wiele nie powiem, bo kolonii nie widziałem, z żadnym więźniem nie rozmawiałem. Za to powoli uczę się roli „żelaznej maski”. Od chwili przybycia tutaj we wrześniu zamknęli mnie w osobnej, pojedynczej celi, gdzie się znajduję do tej chwili, i zmiany swego statusu nie oczekuję. Jak uczciwie powiedział mi jeden z tutejszych naczelników: „Do kolonii my was nie wypuścimy, wy nam ludzi swoimi poglądami pozarazacie”.

Izolowanie więźniów politycznych, których władze uważają za szczególnie niebezpiecznych, wywodzi się z czasów radzieckich. Na przykład dysydent Natan Szczaranski w swoim czasie nie wychodził z SZIZO lub z PKT. Zatem my obaj z Nawalnym w tym sensie kontynuujemy tradycję. [SZIZO, sztrafnoj izolator – karcer; PKT, pomieszczeniej kamiernowo tipa – cela pojedynczego typu].

Nawalnego wsadzono do EPKT. Ten skrót nieprzypadkowo kojarzy się ze słowem „tortura” lub obscenicznym przekleństwem. Co go tam czeka? [EPKT – jedinoje pomieszczeniej kamiernowo tipa – oddzielna cela pojedynczego typu; najbardziej surowy środek izolacji stosowany wobec „złośliwych naruszcycieli” regulaminu].

– Regulamin wewnętrzny został celowo sformułowany tak, aby w razie potrzeby można było przypisać takie „naruszenie” każdemu. To może być niezapięty guzik lub niewłaściwie leżąca poduszka. Ale w ostateczności można po prostu sfabrykować powód – nie włączyć w celi o piątej rano polecenia „pobudka”, a potem złożyć raport, że więzień taki a taki nie wstał (też mnie to spotkało). W ten sposób wszyscy jesteśmy „złośliwymi naruszcicielami”. Mnie początkowo przetrzymywano w karcerze przez 43 dni, a teraz na trzy miesiące przeniesiono do PKT.

Podział na SZIZO i PKT jest umowny. Przez cały czas siedzę w tej samej pojedynczej celi, której po prostu zmieniają status.

Łóżko jest tak samo podniesione do ściany od pobudki do gaszenia światła. W celi nadal można mieć ze sobą tylko kubek, mydło, szczoteczkę do zębów, ręcznik i książkę. Wszystko inne znajduje się w magazynie. „Spacer” oznacza tak samo chodzenie w kółko po małym, zadaszonym dziedzińcu budynku więziennego. Co prawda, spacer w PKT trwa półtorej godziny, a w SZIZO godzinę. I zamiast czarnych ubrań [w PKT] więźniowi wydawany jest jaskrawopomarańczowy kombinezon, taki, jakie noszą talibowie w Guantanamo.

W SZIZO i PKT obowiązuje „regulamin dzienny”, zgodnie z którym materiały piśmienne są wydawane do celi tylko na półtorej godziny i w tym czasie musi się zmieścić cała dzienna praca, włączając w to przygotowania do procesów, pisanie podań, odpowiedzi na listy (tak jak wam odpowiadam teraz), artykuły czy notatki. Dla ludzi piszących, a wśród więźniów politycznych jest ich wielu, jest to oczywiście szczególnie wyrafinowana forma tortur.

Przez resztę czasu po prostu siedzisz lub chodzisz po pustej celi i słuchasz lokalnego radia, nadawanego przez radiowęzeł. Jeśli idzie o znajomość współczesnego rosyjskiego popu, prawdopodobnie stałem się ekspertem.

Więźnia ratują książki. Podobnie jak w moskiewskim więzieniu czytam tu głównie literaturę historyczną i pamiętniki.

Poza całkowitą izolacją i codziennymi życiowymi niedogodnościami przebywanie w PKT wiąże się również z poważnymi

osób inaczej myślących”. Dziś jest to niemożliwe. Jednak dla tych z nas, którzy są całkowicie odizolowani od innych ludzi, jest to kwestia czysto akademicka.

[Gluzman – wybitny psychiatra, aresztowany w 1972 r. m.in. za „antyradziecką agitację i propagandę”. Skazany na siedem lat obozu i trzy lata zsyłki].

Twoi krewni również byli w swoim czasie represjonowani. Pradziadkowie zostali rozstrzelani na podstawie art. 58 kodeksu karnego [o działalności kontrrewolucyjnej] za „zdradę ojczyzny”. Twój dziadek Aleksiej Siergiejewicz został na tej samej podstawie aresztowany, siedział w więzieniu, a potem w łagrze.

– Kilka lat temu zapoznałem się w archiwum z aktami śledztwa NKWD w sprawie dziadka. W jego akcie oskarżenia z 1937 r. stwierdzono, że „wyraził wrogość wobec przywódców partii i rządu”. W 2023 r. zostałem skazany m.in. za „wrogą postawę wobec grupy osób reprezentujących władzę państwową, najwyższe organy władzy Federacji Rosyjskiej, w tym prezydenta FR”.

Historia tej jednej tylko mojej rodziny przypomina o ogromnym błędzie, jaki Rosja popełniła w latach 90., nie potępiając zbrodni z okresu radzieckiego. Przez lata działalności politycznej dużo o tym mówiłem i pisałem, a teraz to, co mnie spotkało, dowodzi, że miałem rację.

Po upadku tamtego reżimu konieczne było otwarcie archiwów, potępienie na

W akcie oskarżenia mojego dziadka z 1937 r. napisali:

„Wyraził wrogość wobec

przywódców partii i rządu”.

W 2023 r. zostałem skazany za

„wrogą postawę wobec grupy

osób reprezentujących władzę

państwową”

ograniczeniami odwiedzin i rozmów telefonicznych, które „złośliwym naruszcicielom”, takim jak ja, przysługują tylko „w wyjątkowych okolicznościach”. Ale oto dosłownie kiedy pisałem odpowiedzi na ważne pytania, otrzymałem zgodę naczelnika kolonii karnej w Omsku na wykonanie telefonu do dzieci.

W odróżnieniu od czasów ZSRR teraz represje nie są tak masowe, więc nie ma obozów wyłącznie dla politycznych.

– Jeśli chodzi o masowość represji, to zależy to od tego, z czym się porównuje. W porównaniu z późnymi czasami radzieckimi, z latami 80., dziś więźniów politycznych jest być może nawet więcej. Niewykluczone, że obecne władze będą musiały w pewnym momencie wrócić do idei Andropowa, który jako przewodniczący KGB wymyślił utworzenie oddzielnych obozów dla politycznych w obwodzie permskim.

Warunki były tam cięższe niż w zwykłych obozach dla kryminalistów, ale sądząc po wspomnieniach dysydentów, była też pozytywna strona: mimo wszystko znajdujesz się wśród osób o podobnych poglądach. Na przykład Bukowski wraz z Siemionem Gluzmanem napisał w permskiej strefie swój „Podręcznik do psychiatrii dla

szczeblu państwowym przestępstw KPZR i KGB oraz ściganie tych, którzy popełnili te zbrodnie. Tak się stało w wielu krajach byłego obozu socjalistycznego, ale nie u nas. Jeśli zło nie zostaje zrozumiane, potępione i ukarane, wraca – i to właśnie widzimy w Rosji po 2000 r. Trzeba będzie wziąć pod uwagę te gorzkie doświadczenia i nie powtarzać tego samego błędu, gdy następnym razem w naszym kraju powstanie możliwość zmian politycznych. A na pewno powstanie.

Co jest w tej chwili dla ciebie najważniejsze?

– Czuję ból i wstyd, kiedy widzę, w co Władimir Putin przekształcił mój kraj w ciągu 24 lat sprawowania władzy.

Wewnątrz – bezprawie, represje, hipokryzja i kłamstwa w orwellowskiej skali; zniszczenie wszystkich instytucji, porzucający od parlamentu i sądów; a wszystko to oznacza niezmienną, nieodwołalną, nieograniczoną władzę jednego człowieka. Skutki prowadzonej wyłącznie z powodu jego osobistych ambicji wojny, na której straciło życie tysiące ludzi, będzie odczuwało niejedno pokolenie.

W stosunkach międzynarodowych jest to haniebny status kraju agresora i kraju

wyrzutka, odizolowanego od cywilizowanego świata. Wielki europejski kraj przekształca się w wasala i surowcowy dodatek do Pekinu.

To o tym wszystkim myślę najwięcej – i o tym, jak trudna będzie odbudowa kraju i jego opinii na świecie, co czeka nas już po Putinie.

Często jesteś pytany o to, dlaczego zostałeś w Rosji. Twoja odpowiedź, że sumienie i wartości są ważniejsze niż emigracja, jest zrozumiała. Jak nie dać się pokonać zmęczeniu, obojętności? Sytuacja jest przygnębiająca, ale trwa to już tak długo, że niektóre przerażające wydarzenia nie wywołują już zbyt wielu emocji, są postrzegane jako coś naturalnego.

– W żadnym razie nie należy dopuszczać, by straszne rzeczy zaczęły być przyjmowane jako norma. Zło nie przestaje być złem tylko dlatego, że mamy je na co dzień. Okrutna, niesprawiedliwa i najeżdżca wojna nie przestaje być okrutną, niesprawiedliwą i najeżdżczą tylko dlatego, że trwa już prawie dwa lata. Ważne jest, by bez względu na przyzwyczajenie czy zmęczenie nadal być w zgodzie ze swoim wewnętrznym kamertonem.

Zdanie dysydentów, które często cytujesz, brzmi: „Noc najciemniejsza jest przed świtem”. Na ile jest już u nas „ciemno”?

– Czy jest ciemno, kiedy w europejskim kraju w XXI w. jeden przywódca opozycji zostaje rozstrzelany w centrum stolicy, a drugiego trują substancją paralityczno-drgawkową; kiedy więźniowie polityczni liczeni są w setkach; kiedy za przekonania dają większe wyroki niż za morderstwa; kiedy człowiek sprawujący władzę od ćwierć wieku uważa, że to nie wystarczy, i jego kraj prowadzi niesprobowaną wojnę z sąsiednim krajem, bombarduje jego miasta, zabija obywateli, przejmuje terytoria? Tak, jest ciemno.

Ale nie zawsze tak będzie. Dzisiejsze czasy bardzo przypominają „mroczne siedmioletie” pod koniec panowania Mikołaja I, ostatnie lata Stalina z nową falą terroru państwowego, andropowszczyznę z początku lat 80., czas przykręcania śruby i ostrej konfrontacji z Zachodem. Nie trzeba przypominać, co się za każdym razem potem stało. Myślę, że zmiany w naszym kraju są o wiele bliższe, niż się wydaje, i ważne, by już teraz przygotować się do nich, aby nie przegapić historycznej szansy.

Z wywiadów z tobą wynika, że nie masz wątpliwości, że Rosja wróci na drogę demokratyczną, tak jak było w innych państwach, np. w Niemczech po 1945 r. lub w RPA po apartheidzie. Co daje ci tę pewność? Na świecie coraz więcej państw odchodzi od zasad demokracji.

– Pozwolę sobie podjąć z wami dyskusję na temat tej światowej tendencji. Jako historyk myślę chyba o innych przedziałach czasowych. Istnieje szanowana organizacja obrony praw człowieka Freedom House, która co roku publikuje ranking krajów według kategorii „wolne” lub „zniewolone”. Zniewolone na jej mapie są oznaczone kolorem fioletowym. Tak więc jeśli spojrzymy na mapę Europy w rankingu Freedom House, np. 35 lat temu – a według historycznych standardów to tyle co nic – połowa krajów jest pomalowana na fioletowo.

Dziś w całej Europie pozostały tylko dwa zniewolone kraje – Rosja i Białoruś. Tak więc historyczna tendencja do szerzenia się wolności i zasad demokracji jest oczywista. Ludzkość nie wymyśliła lepszego sposobu, by zapewnić godne, pokojowe, bezpieczne i pomyślne życie zarówno całym państwom, jak i poszczególnym ludziom.

Nie mam wątpliwości, że w wyobrażalnej perspektywie Rosja będzie państwem demokratycznym, tak jak stały się demokratyczne liczne państwa, które wcześniej żyły pod dyktaturą. Niegdyś popularny stereotyp, że istnieją kraje lub narody, któ-

re w zasadzie nie są zdolne do demokracji, dawno obalila historia.

Jest początek grudnia, więc chcielibyśmy zapytać o mijający rok 2023. Czy zdarzyło się w nim coś, co cię ucieszyło?

– Całkowicie niesprawiedliwe wyroki dla Jewgienija Rojzmana i Borysa Kagarlickiego, których mimo to władze nie posadziły, ukarały ich „tylko” grzywną za przekonania. I uwolnienie Jurija Żdanowa. Kiedy jest o trzech więźniów politycznych mniej, jest to najbardziej radosna rzecz, jaka może się dziś wydarzyć w naszym kraju.

[Rojzman – przedsiębiorca, szef rady miejskiej w Jekaterynburgu; latem 2022 r. zatrzymany za „dyskredytowanie sił zbroj-

nych FR”, potem wpisany do rejestru „agentów zagranicznych”. Kagarlicki – socjolog i politolog, aresztowany w Moskwie w lipcu 2023 r. za „usprawiedliwianie terroryzmu”, wpisany do rejestru „terrorystów i ekstremistów”. Jurij Żdanow – ojciec Iwana Żdanowa, współpracownika Nawalnego, skazany „w zastępstwie syna” na trzy lata więzienia].

Gdzie można znaleźć radość i nadzieję, gdy jest ciemno?

– Nie ma tu uniwersalnej recepty, każdy ma swoje własne źródła wsparcia. Mnie bardzo pomagają wiara i edukacja historyczna. Jako chrześcijanin wiem, że zło nie może zwyciężyć i że wszystko się stanie według Jego woli, a nie według woli jakichś ludzi, którzy uważają się za panów losu. Jako hi-

storyk rozumiem, jak i czym to się skończy. Praw i logiki historii jeszcze nie udało się zresetować nikomu i pan Putin nie będzie wyjątkiem.

W marcu 2024 r. w Rosji odbędą się kolejne wybory prezydenckie. Czy oczekujesz czegoś od nich?

– „Wybory” w cudzysłowie. Ostatni raz coś podobnego do konkurencyjnych wyborów miało miejsce w naszym kraju w latach 1999-2000, od tego czasu mamy do czynienia jedynie z formalną „legitymizacją” reżimu. Ale nawet takie „wybory” trzeba wykorzystać do pokazania swojej postawy obywatelskiej.

Byłem pod wielkim wrażeniem ekspozycji, który kiedyś widziałem w Muzeum Gestapo w Kolonii, karty do głosowania podczas jednego z licznych plebiscytów lat 30. dotyczących zaufania do Führera: znajdował się na niej krzyżyk w rubryce „Nein”. Pomyślałem, że człowiek, który postawił ten krzyżyk, z pewnością nie powstrzymał zbrodni, które dyktatorzy tak bardzo lubią popełniać w imieniu „całego narodu”, ale przynajmniej powiedział im swoje osobiste i świadome „nie”. A to już jest czyn obywatelski.

Taką sama okazję – ważną szczególnie w czasie wojny prowadzonej w imieniu „całej Rosji” – obywatele naszego kraju będą mieli w marcu. W Rosji, nawet według zmanipulowanych oficjalnych sondaży, są dziesiątki milionów przeciwników wojny.

Niewielu ludzi w warunkach dyktatury jest skłonnych ryzykować więzienie, wypowiadając się publicznie lub wychodząc na plac z plakatem antywojennym. Jednak każdy może wyrazić swoje stanowisko, przekreślając wszystkich „Z-kandydatów” i pisząc na karcie wyborczej „Nie dla wojny”. I to też będzie czyn obywatelski. (Kiedy to piszę, nie wiem jeszcze, czy przynaj-

mniej jeden kandydat reprezentujący antywojenną postawę zostanie dopuszczony do „wyborów”. Ale bardzo w to wątpię).

Właśnie tak – jako okazję do masowego antywojennego flash mobu – traktuję zbliżające się „wybory”. Kwestia zmiany władzy w naszym kraju, kiedy doprowadzą do niej okoliczności historyczne, zostanie oczywiście rozstrzygnięta inaczej. Jak to zawsze bywa w państwach, w których nie można zmienić władzy w lokalach wyborczych. ●
przeł. Lemon

Wywiad opublikował portal Meduza 31 grudnia 2023 r. Wykorzystaliśmy przypisy tłumacza.

W Rosji zamknięto wszystkie wolne media. Redakcja portalu Meduza, wyrzucona z Rosji, straciła wpływy z subskrypcji, ale pracuje nadal z zagranicy. Dziennikarze i redaktorzy portalu zwracają się z prośbą do polskich czytelników o wsparcie. Przelewu można dokonać na **Support.meduza.io/en**

REKTOR UG NIE BYŁ W KOMISJI SMOLEŃSKIEJ

W zeszłotygodniowej „Wolnej Sobocie” w tekście Piotra Głuchowskiego o Antonim Macierewiczu pt. „Macierewicz bierze nowy zamach” padła informacja, że w składzie podkomisji smoleńskiej znalazł się m.in. były rektor Uniwersytetu Gdańskiego i ekspert od ochrony środowiska naturalnego profesor Piotr Stepnowski.

Tymczasem prof. Piotr Stepnowski nie był członkiem tej podkomisji i jest obecnie urzędującym rektorem UG. Za pomyłkę przepraszamy.

WIERSZ POLECA
ANDRZEJ ZAGOZDA

Julian Tuwim

Wielka
Teodora



Tekst za: Julian Tuwim, „**Kabaretiana**”, oprac. Tomasz Stępień, Czytelnik, Warszawa 2002. Pierwodruk: „Sowizdrzał” nr 14/1918. Po raz pierwszy utwór ten wykonywała Maria Stroińska 19 marca 1918 r. w warszawskim kabarecie Czarny Kot. Tytuł wiersza młodego, dwudziestokilkuletniego Tuwima nawiązuje do postaci Teodory, panującej w VI wieku cesarskiej Bizancjum.

Wyjaśnienia: taska – tęsknota; kamariński – szybki rosyjski taniec ludowy; mołodajka, podawaj-ka – udające rosyjski neologizmy Tuwima; cham griaduszczij – nadchodzący cham; kumir – bóg, bałwan; Lew z Jasnej Polany – Totstoj; „Żgi! Nasituj!” – „Pal! Gwać!”; krestnyj chod – procesja religijna.

FOT. ZBIORY BIBLIOTEKI NARODOWEJ

Hen, na stepie, na ponurym stepie,
Pod brzemieniem szarych chmur jesiennych,
Kędy z wichrem hula zła „taska”,
Kędy płynie mać szeroko Wołga,
A myśl nudą po ziemi się czołga,
Pośród dni rozpacznie bezpromiennych,
Hen, na wielkim prawosławnym stepie
Wstało słońce jak krwawiące ślepie,
Wstało luną niszczącej pożogi
I wstał Szatan szkarlatny, złowrogi,
Z krzykiem „swaboda”.
I spieniła się wołżańska woda,
Uderzyła w brzegi dziką mocą,
Śmiechem zawył wicher nad północą
I podniosły się z pomrukiem gniewu
W złej niewoli zdżiczale miliony,
Zmiotły trony, zdeptały korony,
I triumfem mocy niespętanej,
Przy chichocie szatańskiego śpiewu
Poszły w tany!

Ech, w tany!
Mróz jakucki,
Skwar kałmucki,
Ech, w tany!
Kajdany
Brzęczą, brzęczą,
Tańczy barin, tańczy chłop,
Tańczy gruby protopop,
Chan tatarski, muzyk fiński,
Poszli wszyscy w kamariński,
Car kazański, astrachański.
Ech, ludziom grzech!
Ech, kurom śmiech!
Jeden płasza, drugi zdechl.
Świśnie nahajka,
Brzęknie bałalajka,
Nu-ka,
To ci nauka!
Ech, mołodajka,
Wódki podawaj-ka
Trepakom, pakom, pakom,
Nu – w prisiudy
Drobnusieńko,
Nu – w prisiudy

Malusieńko,
A wywijaj,
A wybijaj,
Kułakom!
Uch – tan, tan kamariński,
Uch – lud, lud sukinyński,
Zatańczyli, zakrążyli,
Pili, pili, nie płacili,
W zuby bili i wybili.
Ech, ludziom grzech,
Ech, kurom śmiech.
Tańczy naród miejski, wiejski
A szeroko – po rasejski.
Po ichniemu, po pianemu,
W pulchnych skibach czarnoziemu
I w kałużach skrzeplej krwi.
Jak swaboda – to swaboda,
Pal i tłucz, i niszcza, i rwij.
W łby cerkiewne bije grom,
Płonie dwór i płonie dom,
Tańczy potwór bizantyjski,
Tańczy pjany chłop rosyjski
Trepakom, pakom, pakom.
A kiedy wytańczycie „tasku” pośród zgłiszczy,
Gdy wszystko wyrównacie, nawet miasta z ziemią,
Gdy płon olbrzymi wieków krwawa ręka zniszczy,
A czarne pięści – usta proroków oniemią,
Gdy gramotnych nie będzie – jeno rządy tłuszczy
Rozleją się powodzią po zmurzonym świecie,
Wstanie On, wytęskniony, wstanie „cham griaduszczij”
I do nowego bóstwa modlić się zaczniecie.
Jeszcze się dawne duchy wcielały w dawnych zbiorów,
Powstaną Wielkie Piotry i Groźne Iwany,
Wstanie na czarnym stepie zwierz z waszych Kumirów,
Gdzie niedawno promieniał Lew z Jasnej Polany.
W tłumy znów zaczną prażyć cudotwórcze łufy,
Tam, gdzie z krzykiem „Swaboda” brzmiał „Żgi! Nasituj!” –
Znów z Carewokokoszajka, Riazania i Ufy
Usłyszemy błagalne „Hospodi, pomiluj”.
I znów z krestnym chodem pójda grube popy,
Aby carom na Kremlu dać ikonę w darze,
Znów z krzykiem milionowym ruszą w pochod chłopcy:
„O, wierni ci będziemy, słonko hosudarze!”

A gdyby Kaczyński znikł

Czy wtedy polska prawica stałaby się naprawdę prawicowa?

Czyli taka, jakiej w zdrowej demokracji potrzebujemy

Gruszczyński

Prawica na całym świecie znajduje się w głębokim kryzysie, na czym cierpią demokracje liberalne od Stanów Zjednoczonych Ameryki, przez Indie, Turcję, aż po Holandię, Węgry i Polskę. W miejsce dosyć przewidywalnych partii republikańskich czy chadeckich pojawiły się organizacje odnoszące się do szeroko pojętej polityki tożsamości. W centrum nowej prawicowej ideologii pojawili się nowi aktorzy: przesładowani heteroseksualni mężczyźni, katolicy czy zwykli ludzie, którym zewnętrzne i wewnętrzne siły zamierzają odebrać wolność osobistą.

To, co PiS robi obecnie, nie jest typową dla alt-prawicy kolejną paniką moralną. „Łamanie konstytucji”, „zamach na wolność słowa”, „więźniowie polityczni” – mechanizm, który obserwujemy od blisko dwóch miesięcy, został już raz przeciwczony po 2010 r. Kaczyński kreuje oskarżenia pod adresem Tuska, następnie aktywizuje wszystkie środowiska wspierające PiS, wyprowadza ludzi na ulicę i konsoliduje całą prawicę pod swoimi skrzydłami. A jednocześnie wysyła komunikat do zwykłych ludzi.

A przecież jeszcze 30 lat temu część prawicy i jej zaplecza intelektualnego prezentowała inną jakość. Jasne – polska wersja konserwatyzmu od zawsze miała słabość do tolerowania antysemitkich odruchów, gloryfikowania martyrologii, ciągłego zerkania w przeszłość. Nie wspominając o nacjonalizmie, który wyklucza różnorakie mniejszości. Toczyła się jednak dyskusja o naprawie instytucji państwowych, Jan Maria Rokita, choć dzisiaj żyjący na głębokim marginesie życia intelektualnego, kierował Urzędem Rady Ministrów, gdzie tworzył podstawy administracji publicznej. W późniejszych czasach grupa tzw. muzealników, czyli historyków współpracujących z Lechem Kaczyńskim, stworzyła Muzeum Powstania Warszawskiego. Do dzisiaj jego dyrektor Jan Oldakowski jest synonimem państwowca. Konserwatyści błędzili, jeśli chodzi o sprawy światopoglądowe, nie poradziły sobie ze zmianami związanymi z laicyzacją społeczeństwa, ich koledzy i koleżanki z Niemiec czy Wielkiej Brytanii doprowadzili do legalizacji małżeństw jedнопłciowych i zaakceptowali prawo kobiet do bezpiecznej i legalnej aborcji – niemniej gdy mówili o państwie, to myśleli o kraju, nie o sobie i znajomych.

Partyjna prawica jest dzisiaj w Polsce w zupełnie innym miejscu. W długoterminowej narracji PiS jest modelowym przykładem alt-rightu odwołującego się do tożsamości: wciąż największym wrogiem Polaków jest Unia Europejska, która chce odebrać nam prawo do poruszania się samochodem, ograniczyć jedzenie mięsa, zakazać palenia w piecach węglem i oczywiście przeszczerzyć na polski grunt ideologiczne nowinki na czele z małżeństwami jedнопłciowymi, korektą płci, aborcją na pstryknięcie i adopcją dzieci przez gejowskie pary. Okazuje się również, że nad Wisłą brutalnie prześladowane są katolików i Kościół. Mówiąc w skrócie: za chwilę dożyjemy czasów, kiedy normalny facet nie

będzie mógł skoczyć SUV-em do supermarketu po mięso, nie rozpali grilla w ogrodzie, nie pożartuje przy piwie z feministek, nie poleci samolotem na wakacje.

Gdyby na spokojnie podjąć dyskusję z tymi wszystkimi lękami, którymi karmi się radykalna prawica, można by przytoczyć racjonalne argumenty – że częste jedzenie mięsa negatywnie wpływa na zdrowie, że ocieplenie klimatu jest faktem, a poruszanie się po mieście dużym samochodem, który spala ogromne ilości paliwa, oprócz tego, że nieopłacalne, znacząco przyczynia się do katastrofy klimatycznej, która uderzy również w jedzących mięso katolickich mężczyzn w SUV-ach.

Można też próbować zrozumieć opór części społeczeństwa przed zmianami, jakie nas wszystkich czekają. Grill, duży samochód i podróże samolotem są częścią stylu życia, do którego tyle lat aspirowaliśmy, i spełnieniem obietnicy złożonej na progu polskiej demokracji przez ówczesnych polityków: po 1989 r. mieliśmy żyć jak na Zachodzie.

Tylko że problem nie w czarnocinnym, zaściankowym, jak chce wielu liberalnych publicystów, społeczeństwie. Społeczeństwo to ludzie z krwi i kości, którzy koniec końców – nieliczne hałaśliwe wyjątki oklejające samochód „rebelianckimi” hasłami się nie liczą – albo sami w końcu dostrzegą korzyści w postępie, albo się przyzwyczają i odkryją, że nie taki wilk straszny. Problem w tym, że polska prawica, tak samo jak jej siostry za oceanem i w innych europejskich krajach, zamiast na serio potraktować zmiany klimatu czy skutki rozpadu powojennego państwa opiekuńczego i spróbować znaleźć – a o to nietrudno – rozwiązania zgodne z konserwatywnymi czy chrześcijańskimi wartościami, podkreśla niepokój.

Dlatego tak ciekawe są rozważania na temat konstruktywnej odpowiedzi prawicy na najważniejsze wyzwania współczesności w książce „Prawica dla opornych” Michała Szuldrzyńskiego. Autor, znany głównie czytelnikom „Rzeczpospolitej”, zastanawia się, jak nowoczesny konserwatyzm powinien zareagować chociażby na zmiany klimatu. Trzeźwo – co jest jedną z cech prawdziwego konserwatyzmu – zauważa, że nie da się negować skutków katastrofy, odwołuje się przy tym do idei zielonego konserwatyzmu Rogera Scrutona. Ten słynny brytyjski wolnomysliciel pisał o konieczności ochrony środowiska naturalnego, które pozwala człowiekowi zachować harmonię z przyrodą. „W myśli Scrutona nie było żadnej rewolucyjności, żadnych elementów teorii krytycznej, tylko przekonanie o tym, że las, wieś, kontakt z przyrodą to nie lewicowe mrzonki, a naturalne otoczenie człowieka, którego życie wymaga pewnej równowagi między tym, co stworzone ręką człowieka, a tym, co pierwotne”. Szuldrzyński wywodzi stąd, że ochrona przyrody w naturalny sposób powinna stać się immanentną częścią programu nowej prawicy.

Dalej jest jeszcze ciekawiej. Autor „Prawicy...” opowiada się za przemianą polityką migracyjną. „Wyższymi

murami, większą liczbą strażników, psów, zasieków migracji się nie zatrzyma”. Namawia do wyciągnięcia lekcji z problemów Francji czy Belgii, które nie poradziły sobie z asymilacją migrantów.

Zajmuje się również nowymi technologiami. W tym przypadku prawica powinna dążyć do uregulowania rynku tak, aby służył człowiekowi, a nie powiększaniu zysków Doliny Krzemowej. Publicysta jest za federalizacją UE, ponieważ tylko bardziej zjednoczona Europa jest w stanie rozwiązywać globalne problemy (i krzewić swoje, było nie było, judeo-grecko-rzymsko-chrześcijańskie wartości, a jeszcze lepiej tradycje), opowiada się za wzmacnianiem instytucji publicznych, szuka punktów wspólnych z lewicowym programem na naprawę państwa. I choć jego poglądy na temat praw osób LGBT, emancypacji kolejnych grup społecznych i ufność w naukę Kościoła mogą irytować, to i tak „Prawica dla opornych” jest odświeżającą pozycją.



Problem z prawicą nie tkwi w czarnocinnym, zaściankowym, jak chce wielu liberalnych publicystów, społeczeństwie. Społeczeństwo albo samo w końcu dostrzeże korzyści w postępie, albo się przyzwyczaja i odkrywa, że nie taki wilk straszny

Aż dziwne, że trzeźwy autor jednocześnie wielokrotnie rozdziela alt-prawicę i PiS, choć posługują się dokładnie tymi samymi metodami: zwiększają polaryzację społeczną poprzez wojny kulturowe, bliska jest im filozofia podejrzeń, poszukująca wszędzie spisku liberalnych i lewicowych elit, konstruuje opowieści polityczne na ataku i szczuciu. Jakby nie dostrzegali – jednocześnie przyznając, że „część zachowań PiS jest putinowska w formie” – że partia Kaczyńskiego jest częścią wielkiej, antydemokratycznej rodziny radykalnych partii tylko z nazwy prawicowych.

Mimo tej wyrozumiałości dla PiS to ważna książka. Bo nie tylko próbuje skonfrontować polską prawicę intelektualną i polityczną z pytaniami o współczesny świat, ale też dokładnie analizuje przejście prawicy na pozycje tożsamościowe. Píše o źródłach tego upadku: zbyt dużej ufności w neoliberalną ekonomię, niekontrolowanym rozwoju mediów społecznościowych, kryzysie roku 2008, szerzeniu się teorii spiskowych, upadku autorytetów i nadszarpnięciu zaufania do tradycyjnych mediów. Do tego oczywiście dochodzą pandemia, wojna w Ukrainie i liczne wojny kulturowe.

Prawica tożsamościowa odwołuje się do idei turbopatriotyzmu, krytykuje „ideologię gender” czy ruchy emancypacyjne. Celem tych nowych formacji jest nie reforma państwa, choćby na dawniejszą modłę, ale rewolucja – zrównanie z ziemią dotychczasowego porządku instytucjonalnego, zastąpienie starej kultury nowym człowiekiem. Perwersyjnie więc prawica XXI w. powiela metody działania komunistów.

Trzy sprawy po lekturze „Prawicy dla opornych” pozostają otwarte.

Z kryzysem mierzą się również dwaj pozostali wielcy gracze, czyli liberalizm i lewica. Ten pierwszy na szczęście rozpoczął już debatę nad błędami świata w latach 80., kiedy zaufano zbyt mocno regułom wolnego rynku. Współczesny liberalizm stawia na rozbudowany system instytucji publicznych, nieufnie podchodzi do prywatyzacji usług publicznych, opowiada się za regulowaniem rynku. Ostatnie wybory w Polsce udowodniły, że nowa twarz liberalizmu ma szansę pokonać formację populistyczne.

Natomiast lewica zbyt mocno akcentuje kwestie światopoglądowe, choć nie ulega wątpliwości, że przyznawanie praw kolejnym grupom społecznym jest jednym z najważniejszych obowiązków demokracji. Dziś lewica kojarzy się z prawami osób LGBT i dyskusjami o kulturowych wojnach szeroko rozumianego „białego człowieka”, choć jedno i drugie w gruncie rzeczy dotyczy maksymal-

nie kilku procent społeczeństwa. Cała reszta byłaby zainteresowana poszerzeniem socjaldemokratycznej opowieści o wspólnotę politycznej, gdzie takie sprawy jak wzmacnianie publicznej opieki zdrowia, systemu edukacji, budowy mieszkań na tani wynajem czy wyrównywanie szans między prowincją a centrum są równie ważne jak małżeństwa jedнопłciowe.

To raz. Dwa – istotne dla kondycji polskiej debaty publicznej jest pytanie o przyszłość PiS. Gdyby nie Kaczyński, nowy rząd nie musiałby tracić czasu na odbudowę wyniszczonego państwa, tylko mógłby się zająć koniecznymi reformami. Wyobraźmy sobie, że PiS jest normalną, chadecką partią, która w ciągu ostatnich ośmiu lat inwestowała w szpitale i szkoły, szanowała trójpodział władzy, zreformowała media publiczne i rozpoczęła poważną dyskusję nad migracją. I społeczeństwo byłoby mniej podzielone, i polska debata publiczna nie szorowałaby po dnie.

Czy idealistyczne podejście, które prezentuje w tym tekście, ma jakiekolwiek osadzenie w realnym świecie?

Rozwój mediów społecznościowych, które pozwalają na szerzenie każdej głupoty i teorii spiskowej, atomizacja społeczeństw, kryzysy ekonomiczne i te związane ze zdrowiem psychicznym, nierówności, poczucie wykluczenia w wielu klasach i grupach społecznych, wizja wojny oraz kolejnych pandemii nie sprzyjają prowadzeniu spokojnej, merytorycznej polityki. Ale bez idei, również tych konserwatywnych, inna polityka nie jest możliwa. ●

Arkadiusz Gruszczyński

„Prawica dla opornych”
Michała Szuldrzyńskiego
w dobrych księgarniach,
na stronie wydawnictwa RM i w formie e-booka na Publio.pl.



WYBIERZMY NASZĄ EUROPE

POTRZEBUJĘ TEGO CO 40 MINUT



FOT. GABRIELLE LURIE / SAN FRANCISCO CHRONICLE / POLARIS IMAGES/EAST NEWS

INACZĘJ OSZALEJĘ

Fentanyl, tani biały proszek, 50 razy silniejszy niż heroína, zabija 70 tys. ludzi w samych Stanach Zjednoczonych

Iker Seisdedos, David Marcial Pérez, Carlos Rosillo, Guillermo Abril

EL PAÍS

Iycie na Kensington Avenue zatrzymuje się na chwilę co około 10 minut – gdy metro przejeżdża po stalowej estakadzie rozpiętej nad tą filadelfijską ulicą. Dudnienie nie pozwala zebrać myśli ani uzależnionym, ani wolontariuszom, którzy próbują im pomóc, dilerom, policjantom i tym mieszkańcom, którzy stawiają opór temu gigantycznemu rynkowi narkotykowemu na świeżym powietrzu. Setki użytkowników potężnego opiatu żyją i umierają na tych ulicach. Niektórzy, jak Daniel, który stracił już wszystkie palce u stóp z powodu odmrożeń, od dawna blakają się po okolicznych ulicach niczym statysci w filmie o zombi. Wielu innym nie udaje się przetrwać pierwszego miesiąca uzależnienia.

Los ich wszystkich rozgrywa się 4 tys. km stąd, obok innych torów kolejowych – tych, które przecinają Culiacán w Meksy-

ku. Tam kucharz fentanylu przeprowadza makabryczne eksperymenty na grupie uzależnionych, którzy testują towar przed wysłaniem go do Stanów. Zaczyna od dawki, w której jedna trzecia jest czysta, a reszta to mieszanina tanich środków znieczulających. Ludzkie króliki doświadczalne wstrzykują to sobie na jego oczach. Jeśli powiedzą mu: „za słabe”, zwiększa „czystość”. Zapewnia, że nikt nigdy u niego nie umarł.

Culiacán, stolica stanu Sinaloa, i Filadelfia, miasto ojców założycieli USA, to jednak tylko dwie stacje na długiej drodze każdej dawki fentanylu. Ponad 18 tys. km dzieli igłę, której używa Daniel, od chińskich laboratoriów w Wuhan, gdzie produkowane są substancje chemiczne potrzebne do syntezy narkotyku. Tani biały proszek, który jest wstrzykiwany, palony lub przyjmowany w tabletkach, odpowiada za dwie trzecie z dokładnie 107 888 zgonów z przedawkowania zgłoszonych w USA w 2022 r., co stanowi rekord wszech czasów. To niemal 300 trupów dziennie, tak jakby każdego ranka na lotnisku w Nowym Jorku rozbijał się duży samolot pasażerski.

Podążyliśmy szlakiem fentanylu przez osiem miast, trzy kraje na dwóch kontynentach, aby poznać najskuteczniejszego

seryjnego zabójcę dorosłych Amerykanów, dziś już bardziej śmiertelności niż wypadki drogowe czy broń palna.

Kucharz z Sinaloa

Miguel jest jednym z „wykwalifikowanych chemików” zatrudnionych przez kartel Sinaloa. Naprawdę nazywa się inaczej. Nie jest też chemikiem. Nie ukończył nawet szkoły średniej.

Pracuje na terytorium Los Chapitos, czterech synów Chapo Guzmána, którzy przejęli biznes, bo ich ojciec odsiaduje dożywocie w Kolorado. „Nauczyłem się gotować, obserwując innych”, mówi Miguel, leżąc na kanapie w „bezpiecznym” domu w Culiacán. Mówi, że ma 29 lat i wyciąga nawet 450 tys. pesos dziennie (ponad 25 tys. dol.).

W wieku 13 lat zaczął pracować jako puntero, pilnując odcinka drogi dla narcos. Gdy miał 15 lat, wujkowie zaprosili go do pracy w laboratorium heroinowym. Najpierw nauczył się zamieniać gumę opiumową w heroinę. Potem przerzucił się na metamfetaminę – ale ucieszył się, gdy wyszła z mody dekadę temu, bo jej zapach sprawiał, że chciało mu się wymiotować. Jego fentanylowa kuchnia w górach to mała chatka, przykryta plandeką i gałęziami. To kolejna wyższość fentanylu nad heroina: nie tylko znacznie bardziej uzależnia, ale także jest znacznie łatwiejszy w produkcji. Nie potrzeba rozległych pól maku, rolników do ich uprawy ani odpowiedniej pogody.

Miguel stosuje przepis, który ma trzy etapy. Prekursory, czyli substancje che-

miczne potrzebne do syntetyzowania narkotyków, nazywa „płynami”. Ile ich używa? „Dziesięć. Plus baza”. Pod koniec procesu układa gęstą mieszaninę do wyschnięcia na rozciągniętej tkaninie. Z tego powstają grudki, które wrzuca do blendera i rozdrabnia aż do uzyskania białego proszku.

Według amerykańskiej Drug Enforcement Administration (DEA) za kilogram chińskich prekursorów kartel płaci ok. 800 dol. Z tego produkuje się cztery kilogramy fentanylu. Zysk może wynieść od 200 do 800 razy tyle, ile zapłacono na początku. To znaczy od 160 tys. do 640 tys. dol. za kilogram.

Sinaloa, stan w północno-zachodnim Meksyku, jest jednym z kluczowych producentów fentanylu. Obszar Culiacán, z przebiegiem zorganizowaną jako sposobem na życie, jest kontrolowany przez Los Chapitos. W lutym, gdy Guzmán został aresztowany, szefowie nakazali przyhamować. Miguel też wstrzymał pracę laboratorium. Mówi jednak, że ma też swoich klientów, biznesmenów, którzy „biorą kilogramy”. Nie zamierza ich odcinać.

Apokalipsa w San Francisco

Jest 11.30, mglisty dzień w Tenderloin, dzielnicy San Francisco, kiedyś stanowiącej magnes dla bohemy, dziś – symbol dekadencji miasta po pandemii. Joseph, lat 41, mieszka na ulicy. Siedząc na ziemi, czyta starą gazetę, tekst o wojnie w Ukrainie. Jak mówi, lubi wiedzieć, co dzieje się na świecie. Nie śpi zbyt

WYBIERZMY NASZĄ EUROPE

wiele, głównie w ciągu dnia, aby nie zostać okradzionym z tego, co ma: plecaka i plastikowej torby na kółkach.

Przeniósł się tu w 2016 r. z Chicago. Mieszkał z dziewczyną w niezłym mieszkaniu w centrum miasta. Po zerwaniu jego wcześniejsze problemy z uzależnieniem szybko wzrosły i ostatecznie dołączył do 653 tys. amerykańskich bezdomnych (to 12 proc. więcej niż w poprzednim roku, kolejny rekord wszech czasów).

W pozostałą część gazety zawiązał pół grama fentanylu, trochę cracku, folię aluminową i zapalniczkę. W cichym zaułku wyciąga fajkę, zapala ją i się zaciaga. Mówi: „Kiedyś brałem heroinę, dało się kontrolować. To jest o wiele gorsze, chcę więcej i więcej. I potrzebuję tego co 40 minut. Inaczej oszaleję. A co gorsza: nigdy nie jest tak jak za pierwszym razem”.

Prawie wszyscy uzależnieni od fentanylu twierdzą, że to przez jakieś niepowodzenie w życiu: chorobę, stratę, kryzys psychiczny. Są jednak także statystami w trzecim akcie opioidowej tragedii, która rozpoczęła się w latach 90. od tabletek na receptę o nazwie Oxycontin. Ten lek przeciwbólowy zaczął być wtedy masowo przepisywany, przy agresywnym marketingu farmaceutycznym, i wywołał pierwszy kryzys opioidowy. Stał się źródłem bogactwa i niesławy rodziny Sacklerów, jego producentów. Drugim aktem był renesans heroiny na przełomie wieków, a od dekady zaświeciła gwiazda fentanylu.

Uzależnieni żyją w centrum San Francisco wśród namiotów, wózków inwalidzkich, parujących krutek ściekowych i śmieci. Rano kupują tanią truciznę. W południe dostają od wolontariuszy sok lub coś do jedzenia. Kiedy są naćpani, kładą się z głowami na krawężnikach.

Od czasu od czasu ktoś krzyknie: „Przedawkowanie!”, a wtedy czasem interweniuje ktoś wyposażony w inhalator z naloksonem, który działa na te same neuroreceptory co fentanyl, wyłączając jego piorunujące działanie (od marca jest dostępny w USA bez recepty). Ale reanimowani potem wymykają się szybko, nikt nie chce skończyć w szpitalu: noc bez fentanylu jest gorsza niż śmierć.

W okolicy nie działa już prawie żaden sklep. Na rogach ulic dilerzy czuwają nad interesami. Łatwo ich rozpoznać: nie wyglądają na naćpanych.

Względny porządek w okolicy zapewniają wolontariusze ze stowarzyszeń takich jak Urban Alchemy, otrzymujących fundusze od rady miasta. Policja ma inne priorytety. Po paru tygodniach w Tenderloin nie można oprzeć się wrażeniu, że miasto oddało dzielnicę w ręce narkomanów, a życie w niej jest zorganizowane wokół nich.

Wuhan eksportuje nie tylko pandemię

15 grudnia 2021 r. pewien chiński przedsiębiorca stał się jednym z najbardziej poszukiwanych ludzi na świecie. Nazywa się Chuen Fat Yip. Ma 70 lat, brązowe oczy, 172 cm wzrostu. Urodził się w Wuhan. Departament Stanu USA oferuje pięć milionów dolarów nagrody za wszelkie informacje, które pomogą w jego aresztowaniu.

Według Waszyngtonu Chuen prowadzi „organizację handlu narkotykami działającą w Chinach kontynentalnych i Hongkongu” i „kontroluje grupę firm, które oferują prekursorry chemiczne”. Jedną z nich jest Wuhan Yuancheng Gongchuang Technology. Na jej stronie można przeczytać, że firma ta zajmuje się eksportem do ponad 20 krajów.

Chuen twierdzi – w oświadczeniu, które jego firma wysłała w 2022 r. do sądu w Teksasie, gdzie jest oskarżony o zorganizowanie wysyłki 24 kilogramów 4-ANPP, prekursora fentanylu – że sprawa opiera się na „nieprawdziwych informacjach” amerykańskiego reportera Bena Westhoffa. Westhoff jest dziennikarzem śledczym, autorem książki „Fentanyl, Inc.”. Pisząc ją, do-

szedł do wniosku, że w sprawie produkcji fentanylu prawie wszystkie drogi prowadziły do firmy Yuancheng.

W Chinach, gdzie obowiązują jedno z najsurowszych przepisów antynarkotykowych na świecie, nadużywanie fentanylu jest „praktycznie nieznane”. Od 2017 r. Chińska Republika Ludowa zakończyła 397 tys. spraw karnych związanych z narkotykami; dosłownie kilka było związanych z opioidami.

Ale wiadomo też, że w 2013 r. istniało już 13 rodzajów fentanylu. Dekadę później w samych Chinach jest ich już ponad 50. Od 2015 r. Pekin zwiększa liczbę prekursorów kontrolowanych: najpierw sześć, potem cztery w 2017 r. i dwa kolejne w roku następnym. Ale sprzedawcy internetowi w Chinach zaczęli oferować Westhoffowi legalne substytuty. Westhoff kwituje to tak: „Istnieje wiele różnych substancji chemicznych, które można wykorzystać do produkcji fentanylu i które nadal są legalne w Chinach”.

W lutym 2018 Westhoff podał się za dużego kupca i w końcu dotarł do firmy Chuen w Wuhan. Stolica prowincji Hubei słynie jako kolebka pandemii koronawirusa, ale poza tym jest jednym z głównych ośrodków przemysłu chemicznego kraju – a także siedzibą kilku firm objętych sankcjami przez USA za ich związki z produkcją fentanylu.

Chiny są największym na świecie producentem składników farmaceutycznych. Zaczęło się wraz z reformami Denga Xiaopinga. W 1985 r., kiedy zaczęto wpuszczać do kraju kapitał zagraniczny, jedną z pierwszych firm farmaceutycznych w ChRL był belgijski Janssen, dziś część концерну Johnson & Johnson. Jej założyciel, Paul Janssen (1926–2003), był miłośnikiem chińskiej medycyny, ale przede wszystkim chemikiem, który w 1959 r. zsyntetyzował fentanyl – szybko stał się on jednym z najczęściej stosowanych opioidowych środków przeciwbólowych na świecie.

Yu Haibin, zastępca dyrektora Narodowego Biura Kontroli Narkotyków, jedna z głównych postaci w chińskiej kampanii antynarkotykowej, mówi nam: „Jak dotąd nie znaleźliśmy żadnych dowodów na to, że Chuen Fat Yip lub jego firma naruszyli prawo w Chinach. Jeśli USA dostarczą nam legalnie uzyskane dowody, moglibyśmy podjąć działania zgodnie z chińskim prawem. Jesteśmy otwarci na współpracę”.

Problem w tym, że jesteśmy w środku jednego z najgorszych napięć między Waszyngtonem a Pekinem, a Białe Dom nakłada sankcje na dziesiątki chińskich firm i obywateli.

W listopadzie Xi Jinping zobowiązał się na spotkaniu z Joem Bidenem w San Francisco do działań w celu rozwiązania kryzysu. Yu wyjaśnia, że jednym z kolejnych kroków będzie „kompleksowa współpraca, w tym wymiana informacji wywiadowczych”. Ale współpraca z Chińczykami może nie wystarczyć. DEA odnotowała już wzrost handlu prekursorami pochodzącymi z Indii.

Meksykańskie porty otwarte na wschód

Konwojent wskazał na nią gestem, a ona to dostrzegła i zdążyła schować się na tylnym siedzeniu samochodu. Zaraz potem 36 strażów powitało Griseldę Martínez na stanowisku burmistrza Manzanillo. Napastnicy jechali na dwóch motocyklach, uciekli.

Był czerwiec 2019, a Martinez zaledwie od siedmiu miesięcy piastowała stanowisko burmistrza najważniejszego meksykańskiego portu na Pacyfiku, bramy do Azji. Codziennie przepływają tędy tony żywności, ubrań i części samochodowych. A od ponad dekady również chemiczne półprodukty z Chin. W kwietniu marynarka wojenna odkryła, że transport 11 500 butelek tequili w rzeczywistości zawierał prawie 10 ton płynów, które zamieniły Manzanillo w beczkę prochu.

Burmistrz jest drobna, 55-letnią kobietą. W sumie ma 15 ochroniarzy, którzy towarzyszą jej od czasu zamachu. Od tamtej

pory nie postawiła stopy w domu: najpierw spędziła rok, śpiąc w koszarach marynarki wojennej, potem kolejne dwa – w ratuszu.

Kiedy obejmowała urząd, lokalna policja była zinfiltrowana przez dwa kartele, które kontrolują ten obszar: Sinaloa i Jalisco Nueva Generación, dwie najpotężniejsze mafie w Meksyku. Obie działają jak międzynarodowe korporacje, a ich struktura sięga od samej góry – globalne pranie brudnych pieniędzy – do samego dołu: ich logo jest drukowane na małych torebkach z kokainą lub metamfetaminą, które są sprzedawane na ulicach. Logo Sinaloa to jabłko. Jalisco to inicjały grupy: CJNG.

Martinez zwolniła dyscyplinarnie ponad 200 spośród 300 policjantów. Funkcjonariusze zabijali się nawzajem za pieniądze konkurujących karteli. Presja wywierana na nowych w służbie jest nadal trudna do zniesienia: mafie oferują im pieniądze, zastraszają na Facebooku.

Korupcja w portach umożliwiającą wwóz chemikaliów i przemoc zostały potwierdzone przez samego prezydenta Meksyku. „Zamierzamy oczyścić porty i służby celne w kraju”, obiecał Andrés Manuel López Obrador. Zrobił to latem 2020 w Manzanillo. I nakazał interweniować wojsku. Ale dziś kontenery są sprawdzane losowo. To oznacza, że wykrywanie półproduktów do wyrobu fentanylu, w ilo-

■
*Miguel zaczął
pracować dla narcos,
gdy miał 13 lat.
Dziś, choć nie skończył
nawet szkoły średniej,
jako „wykwalifikowany
chemik” wyciąga
nawet 25 tys. dol. dziennie*

ściach często nieprzekraczających kilku litrów, jest jak szukanie igły w stogu siana.

Liczące 160 tys. mieszkańców Manzanillo jeszcze nie tak dawno było senną osadą rybacką, ale teraz znajduje się na szczycie list najbardziej brutalnych miejsc w Meksyku: prawie setka zabójstw tygodniowo.

2 dol. tu, 20 dol. tam

Pedro siedzi na plastikowym krześle w sklepie z narzędziami w Culiacán. Ma 32 lata. Nicco ponad rok temu zaczął „eksportować” tabletki fentanylu do Stanów. Teraz po aresztowaniu i deportacji do USA najmłodszego syna El Chapo wrócił do rozprowadzania marihuany i metamfetaminy. Lepiej nie ryzykować: „W tej chwili, jeśli złapią cię z fentanylem, ty, twoja matka, twój kuzyn – wszyscy pójdą do piachu. Nawet twoje psy zostaną zabite”. Kartele chcą czyszy.

Mówi, że przed zarządzoną przez kartele przerwą on i jego współpracownicy przynosili nawet milion tabletek miesięcznie. Kupowali je za dwa dolary tu i sprzedawali po 15 dol. tam. Tam, czyli w Nowym Jorku. Odliczając wydatki i marżę kartelu, za każdą pigułkę dostawał pięć dolarów. Najdroższy był jednak transport.

Fentanyl, który trafia do Stanów z Meksyku, ma postać proszku lub, coraz częściej, tabletek wyglądających jak znane komercyjne marki, takie jak Xanax czy Vicodin, tłoczonych za pomocą maszyn, które także są dostarczane z Azji. W Nowym Jorku cena jednej takiej tabletki to 20 dol.

Najtrudniejszy etap to przedostanie się przez granicę. Według władz USA ponad 90 proc. fentanylu jest przemycane w prywatnych pojazdach lub ciężarówkach towarowych. W 2018 r. przechwycono 600 kg

tej substancji. W 2023 r. – 25 ton. A zaledwie dwa miligramy wystarczą, aby zabić człowieka.

Pedro używa tirów, najlepiej załadowanych „puszkami fasoli lub częściami samochodowymi”. Bo w takich kontribandę można lepiej ukryć podczas prześwietlania promieniami rentgenowskimi.

Kartel wykorzystuje lukę, ale przede wszystkim opłaca lokalne władze. Jeden z aktów oskarżenia przeciwko synowi El Chapo szczegółowo opisuje sieć łapówek na szlaku z Culiacán do Tijuany. To właśnie trasa Pedro. „Tylko stąd do granicy”, wyjaśnia, „wydaje się po 30 tys. dol. na transport na łapówki dla policji, wojska i biura prokuratora. W Stanach, jeśli zostaniesz złapany, idziesz do więzienia, ale w Meksyku możesz to załatwić – za uwolnienie z aresztu wezmą od ciebie 200–300 tys. dol.” – wyjaśnia, jakby tłumaczył zasady gry planszowej.

Najczęstsze lokalizacje „biur”, czyli punktów logistyczno-magazynowych, to południowa Kalifornia, El Paso w Teksasie i Phoenix w Arizonie. Pedro: „Sprzedają tam hurtowo, mają swoich klientów, dilerów. Biali, czarni, Portorykańczycy. Wszyscy”.

Prawo podaży i popytu

Do niedawna Mac był jednym z ostatnich ogniw łańcucha dostaw. Drobnym dilerem. Sprzedawał fentanyl w Santa Cruz, 120 km od San Francisco. „Kupowałem go od ludzi z Hondurasu w dzielnicy Tenderloin lub w Oakland. Oni kontrolują tamtejszy rynek. Dostawałem uncję [28,34 grama] za 400 dol., a następnie sprzedawałem każdy gram w Santa Cruz za 50 dol. lub 100 mg za 10 dol. Zараbiałem po 1500 dol. dziennie”.

Sam uzależnił się od fentanylu, gdy po operacji przepisano mu Oxycontin. Stracił pracę i został dilerem. To był początek piekła. „Sprzedawałem, ale też próbowałem ratować życie” – tłumaczy.

Gdy rozmawiamy, próbuje odtruć się od dwóch tygodni, przestraszony dwiema opcjami oferowanymi przez jego zajęcie: więzieniem albo nagłą śmiercią.

Sam Quinones, autor książki „The Least of Us”, będącej najbardziej kompleksową historią tego kryzysu, ostrzega, że fentanyl nie potrzebuje zbytnej promocji. „W USA pojawił się ok. 2014 r. na Środkowym Zachodzie. Wystarczyło kilka lat, aby rozprzestrzenił się dosłownie po całym kraju” – mówi.

Pandemia – wymuszona izolacja i plaga problemów ze zdrowiem psychicznym – spowodowała gwałtowny wzrost zażywania narkotyków. W latach 2019–22 liczba zgonów spowodowanych przedawkowaniem wzrosła o niemal 100 proc. W książce, która obejmuje okres do połowy 2021, Quinones opowiada, jak dilerzy zaczęli oferować znacznie tańszy fentanyl wymieszany z kokainą czy ecstazy. „W ten sposób tysiące ludzi uzależniło się od czegoś, o czym nawet nie wiedzieli, że biorą” – mówi. W wielu miejscach w obu Amerykach badania wykazały ślady opiatów w licznych substancjach testowanych na imprezach.

Dla Quinonesa jedną z najbardziej nieoczekiwanych konsekwencji jest wpływ kryzysu fentanylowego na rekreacyjne zażywanie innych narkotyków: w Nowym Jorku ludzie imprezują z minitesterami, które kosztują dolara lub są rozdawane za darmo i wykrywają fentanyl we wszystkim, co się da. Dla tej epidemii są tym, czym prezerwatywy były dla epidemii AIDS w latach 80. Podobnie jak wtedy wielu po prostu woli nie ryzykować.



WYBIERZMY NASZĄ EUROPE

Dla szpitali to niezbędny lek

Kiedy fentanyl został opatentowany i dopuszczony do podawania dożylnego w 1959 r., odmienił chirurgię. Zdając sobie sprawę z jego mocy, Janssen, jego wynalazca, przez lata zezwalał na jego kontrolowaną dystrybucję wyłącznie anestezjologom. Ale to było jak powstrzymywanie rzeki wiosem: pod koniec lat 60. istniały już liczne warianty fentanylu.

Przestępczość zorganizowana powoli dowiadywała się o jego istnieniu, ale kiedy już to zrobiła, szybko nauczyła się doceniać jego zalety jako narkotyku ulicznego, silniejszego, tańszego, bardziej uzależniającego.

„Ważne jest, aby podkreślić, że nawet dzisiaj jest to nadal przydatny z medycznego punktu widzenia środek przeciwbólowy, przy skomplikowanych operacjach lub dla śmiertelnie chorych pacjentów” – przypomina Lawrence Kwan, dyrektor medyczny centrum uzależnień Saint Anthony’s Foundation w San Francisco i profesor na Uniwersytecie Stanforda.

Ale ten status cennego leku utrudnia walkę z fentanylem: po prostu nie można go zdelegalizować. Nie jest to również łatwe w przypadku jego prekursorów: wiele jest wykorzystywanych do produkcji środków czyszczących lub powszechnie stosowanych leków, takich jak ibuprofen.

Jak każdy opiat fentanyl wywołuje głód – ale w jego przypadku wystarczy kilka dawek, by się uzależnić. Przedawkowania są również częstsze. Paradoksalnie jednak jest to mniej destrukcyjny narkotyk niż inne, takie jak metamfetamina. Nie ma wpływu na ważne narządy, takie jak serce. Kwan mówi, że na konferencji kardiologicznej, w której niedawno uczestniczył, usłyszał, że „dostęp do serc dawców poprawił się jako smutny efekt uboczny wzrostu liczby przedawkowań opioidów”. Potwierdza to badanie opublikowane w lipcu 2021 r. przez American Heart Society.

Polityka redukcji szkód

Rahul Gupta to doradca Bidena ds. walki z narkotykami. Jest pierwszym lekarzem na tym stanowisku od ponad pół wieku. Oraz jako pierwszy wdraża politykę znaną jako „redukcja szkód”. Wyszczególnia trzy główne punkty tego programu: „szerokie udostępnienie Narcanu, który od marca można kupić bez recepty; dystrybucja strzykawek, które zapobiegają rozprzestrzenianiu się chorób zakaźnych; oraz dostarczanie pasków do wykrywania substancji takich jak fentanyl lub ksylazyna [silny środek znieczulający dla zwierząt, znany na ulicach jako tranq lub zombie drug] w kokainie lub ecstasy”.

Ksylazyna jest najnowszym problemem Gupty. Użytkownicy mieszą ją z fentanylem, ponieważ wydłuża i pogłębia jego działanie poprzez spowolnienie tętna, ciśnienia krwi i oddechu. Jako lek nieopiodowy nie reaguje na nalokson, dlatego odpowiada za 90 proc. z 1413 zgonów spowodowanych przedawkowaniem, zgłoszonych w Filadelfii w 2022 r. Koronerzy wykryli go już w zwłokach we wszystkich 50 stanach.

Filadelfijska dzielnica Kensington. W ceglanym budynku mieści się siedziba organizacji o nazwie Prevention Point. Tam uzależnieni mogą się schronić, gdy nadchodzi zimna pogoda, i dostać nowe strzykawki. To powoduje, że – jak krytykuje Kevin Bernard, kapelan w The Rock, katolickim ośrodku, którego życie zorganizowane jest wokół klubu bokserkiego (w końcu to miasto Rocky’ego) – chodniki „są zasypane igłami”. „Ludzie chodzą po nich, wyprowadzając swoje psy, a dzieci, idąc do szkoły” – mówi.

Bernard jest dużym mężczyzną ze złamanym nosem, byłym policjantem, który mieszka tu całe życie i zna okolice jak nikt inny. Raz lub dwa razy w tygodniu prowadzi starą furgonetkę pełną wolontariuszy w żółtych kamizelkach. Rozmawiają z ćpunami, a jeśli któryś da się namówić, wsadzają go do furgonetki i zabierają

do swojego ośrodka lub kierują do miejsc takich jak The Philly House, czyli najstarszego schroniska dla bezdomnych w Filadelfii, a stamtąd – do ośrodków detoksykacyjnych.

W sklepie sąsiadującym z The Rock policjanci z całego kraju uczą się również, jak poznać, czy człowiek jest pod wpływem fentanylu.

Działaczka na rzecz reformy polityki narkotykowej Brooke Feldman nie popiera polityki kontroli szkód. Jedzie właśnie na patrol z Ronnie Kayser, która założyła organizację kobiecą pomagającą uzależnionym, Angels In Motion (AIM), gdy jej brat przedawkował, oraz z Mary Lou Toewe, matką chłopca, który „brał i brał narkotyki od lat”. Jeżdżą samochodem wypełnionym butelkami z wodą i torbami z jedzeniem, które rozdają uzależnionym. Mają też maść na rany spowodowane przez ksylazynę, która po wielokrotnym wstrzyknięciu powoduje siniaki i martwicę, nieraz do kości.

Krytycy polityki kontroli szkód, która może obejmować nawet dystrybucję narmiotów dla uzależnionych, postrzegają te środki jako magnes dla ludzi, którzy przenoszą się z całego kraju do miejsc takich jak Kensington, aby żyć w miarę bezpiecznie, trwając w nalogu.

W Filadelfii zastanawiają się, co przyniesie niedawny wybór na burmistrza demokratki Cherelle Parker. Prowadziła kampanię pod hasłem ograniczenia przestępczości, obiecując pozyskać pomoc Gwardii Narodowej. Jej pierwszym posunięciem było ogłoszenie „stanu zagrożenia bezpieczeństwa publicznego”.

Wszystko wskazuje na to, że w roku wyborczym wojna kulturowa między Demokratami a Republikanami, którzy krytykują liberalne zarządzanie miastem i osłabienie policji, przeniesie się na front fentanylowy. Wyborcy w Oregonie właśnie uchwaliли pierwszą w kraju ustawę dekryminalizującą posiadanie niewielkich ilości twardych narkotyków, od teraz karane grzywną, a nie więzieniem. Ale gubernator Tina Kotek ogłosiła zamiar zawieszenia tych przepisów w celu kontrolowania sytuacji w Portland, największym mieście stanu.

„To wojna: zróbcie coś!”

Michelle Leopold wiedziała, że jej syn Trevor palił marihuane, ale nie wiedziała, że brał fentanyl. Wszystko wskazuje na to, że on również nie wiedział.

Tej fatalnej nocy 17 listopada 2019 r. wraz z dwoma przyjaciółmi kupił cztery 30-miligramowe tabletki oksykodonu i zażył je w swoim pokoju w akademiku. Tylko jedna z nich zawierała śmiertelną dawkę. Według koronera Trevor zmarł w ciągu kilku minut po zażyciu tej pigułki, jego koledzy spali odurzeni obok zwłok.

Przypadki takie jak Trevora stały się tematem dla opinii publicznej w USA dzięki zeznaniom matek, takich jak działaczka antyaborcyjna Rebecca Kiessling, która zeznawała przed Kongresem w lutym. W 2020 r. straciła dwójkę dzieci w wyniku przypadkowego przedawkowania fentanylu, który, jak powiedziała, „przybył przez południową granicę”. „To wojna: zróbcie coś!” – zażądała od kongresmenów.

Członkowie twardego skrzydła Partii Republikańskiej wezwali Kongres do zezwolenia na „ukierunkowane operacje militarne” przeciwko meksykańskiemu kartelowi. Wiedzą, że to politycznie i dyplomatycznie niemożliwe, ale fentanyl, który, jak często przypomina walcząca z Trumpem o nominację Republikanów Nikki Haley, zabił już więcej Amerykanów niż wojny w Wietnamie, Afganistanie i Iraku razem wzięte, stał się potężnym narzędziem do atakowania Bidena, którego „złe zarządzanie granicami” ma być współwinne śmierci tylu tysięcy ludzi.

Kwestia ta jest również jednym z największych punktów spornych w stosun-

kach między Meksykiem a USA. Prezydent Meksyku López Obrador zaangażował już całą sieć konsularną, aby przekonać miliony wyborców pochodzenia meksykańskiego, by nie głosowali na kandydatów, którzy popierają „taką retorykę”, czyli pomysł zaangażowania armii USA na meksykańskim terytorium. Meksykańskie władze zlikwidowały 37 laboratoriów produkujących fentanyl, odkąd López Obrador doszedł do władzy w 2018 r.

48 mln uzależnionych

Przed ratuszem w San Francisco wstał świt. Trzy młode kobiety leżą przy parującej kratce ściekowej, wszystkie pod wpływem pierwszej dawki fentanylu tego dnia. Kiedy jedna z nich odzyskuje przytomność, wyjaśnia, że ma na imię Abby, pochodzi z Oregonu, studiowała sztuki piękne i niedawno ogoliła włosy, aby pozbyć się wszy. Mówi, że nie ma telefonu, ale „ma Instagram”.

W 2018 r. była zwykłą dziewczyną, która lubiła muzykę i jazdę na deskorolce. Zaczęła palić, potem uprawiać marihuane. Potem przyszło złe towarzystwo, pan demia, samotność, śmierć matki – i ulica. Szacuje się, że w Stanach Zjednoczonych, kraju bezwzględnego indywidualizmu, w którym często wydaje się, że wystarczy pojedyncze pechowe zdarzenie, by stracić wszystko, żyje ok. 48 mln ludzi, którzy podobnie jak Abby są uzależnieni od jakiejś toksycznej substancji. Według badań opublikowanych w sierpniu tylko jedna na pięć osób uzależnionych od fentanylu ma dostęp do najskuteczniejszych leków na receptę: metadonu i buprenorfiny.

Poprawa dostępu w bezwzględnym systemie opieki zdrowotnej jest jednym z wyzwań w walce z niezwykłe złożonym kryzysem. Według Carla Harta, psychologa z Uniwersytetu Columbia i eksperta w dziedzinie rekreacyjnego zażywania narkotyków, innym rozwiązaniem jest zalegalizowanie miejsc testowych. „Przypadkowe przedawkowania dzięki nim by spadły. Władze błędnie uważają, że może to być mylone z zachęcaniem do zażywania narkotyków”.

Zwolennicy radykalnej reformy polityki narkotykowej uważają, że kryzys fentanylowy to kolejny dowód na klęskę wojny z narkotykami zadeklarowanej przez Nixona w 1971 r. Jak na ironię, podczas gdy ta wojna się rozkręcała, najgorszy kryzys narkotykowy w historii kraju miał źródło w samej Ameryce – w latach 90. w sercu potężnego przemysłu farmaceutycznego, dzięki rodzinie Sacklerów, którzy uniknęli więzienia, płacąc miliony odszkodowań – i pozostając bajecznie bogatymi.

Celem Nixona było położenie kresu opium i heroinie, które szerzyły się wśród weteranów powracających z Wietnamu. Nie udało się: w 1970 r. jeden na 100 tys. Amerykanów umierał z powodu przedawkowania, a w 2022 r. zgonów było już 30-krotnie więcej. ●



„Dreamland. Opiatowa epidemia w USA” Sama Quinonesa i „Imperium bólu. Barony przemysłu farmaceutycznego” Patricka Raddena Keefego (o imperium Sacklerów – rozmowa Katarzyny Wężyk z autorem na Wyborcza.pl/magazyn) dostępne na stronie wydawnictwa Czarne i w formie e-booków na Publio.pl

Pierwszy raz, odkąd zamieszkałam w Niemczech, czyli od 40 lat, boję się.

Że zaczęło się coś, o czym nieustannie przypomina Marian Turski

Magdalena Parys

Oztery lata temu w Oświęcimiu na uroczystościach 75. rocznicy wyzwolenia niemieckiego obozu Auschwitz Marian Turski wypowiedział pamiętne słowa: Auschwitz nie spadł nagle z nieba, Auschwitz tupał, dreptał małymi kroczkami, zbliżał się, aż stało się to, co stało się tutaj.

Po fali tuptania, dreptania i zbliżania się w Europie dzieje się to, co nieuchronne. Niemcy nazywają to już po imieniu i ruszają na demonstrację z plakatami: „»Nigdy więcej« jest TERAZI!”, „Nigdy więcej 1933-1945!”, „Kolorowi, a nie brunatni!”.

Musiało wydarzyć się coś nieprawdopodobnego w tym prawie osiemdziesięcioletnim bastionie demokracji, aby klasa średnia tak licznie ruszyła się z domów i zapelniła niemieckie miasteczka i miasta. I rzeczywiście. Wydarzyło się. W Poczdamie doszło do spotkania wysokiej rangi polityków partii AfD, prawicowych ekstremistów i ludzi ze świata biznesu, na którym omawiany był „masterplan” dotyczący przymusowego wysiedlenia z Niemiec imigrantów i „niezasymilowanych obywateli”. Działo się to wszystko zaledwie dziewięć kilometrów od willi, w której na konferencji w Wannsee 20 stycznia 1942 r. zebrali się wysokiej rangi niemieccy urzędnicy państwowi, pod przewodnictwem Reinharda Heydricha, aby omówić ostateczne rozwiązanie kwestii żydowskiej (jak eufemistycznie określano rozpoczęte już ludobójstwo Żydów). Siła symboli jest nie do przecenienia i to ona zazwyczaj przelewa kielich goryczy. W tym przypadku kielich przerażenia.

Na mnie to, o czym mówił Marian Turski, spadło już rok temu i nazywa się dosłownie: hitleryzm. Odkąd usłyszałam historię z ust mojego przyjaciela, nie potrafię się w nowej rzeczywistości odnaleźć. Sądząc po manifestacjach przeciwko prawicowemu radykalizmowi, które przetaczają się od tygodnia w całych Niemczech, nie tylko ja się boję.

W maju zeszłego roku umówiłam się z przyjaciółmi w restauracji niedaleko byłej centrali Gestapo, Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy i SS. Nie mam pojęcia, czemu pomyślałam wtedy właśnie o Gestapo, bo przecież po strasnym gmachu przy Prinz-Albrecht-Straße (dzisiaj Niederkirchnerstraße) nie ostał się nawet kamień. Niedaleko znajduje się szkoła, w której pracowała moja mama, i wiele innych jak najlepiej kojarzących się współczesnemu berlińczykowi instytucji, ale nie o nich pomyślałam w ten wiosenny dzień.

Słońce, różę w wazonie, wino, dobre jedzenie, jezdnią przetacza się orszak ślubny, trąbi jak oszalały, tureckie zaślubiny i kiedy robi się cicho i przyjemnie, nasz przyjaciel Peter zamawia butelkę wina i mówi: „Opowiem wam historię”.

Peter od trzydziestu lat prowadzi sieć cukierni, ma też fabrykę, w której kreuje najróżniejsze cuda; ciasta, torty, torciki, babeczki itd. Interes prosperuje świetnie, prosperowałby jeszcze lepiej, gdyby nie brak ludzi do pracy. Jak większość pracodawców w Niemczech Peter boryka się z tym problemem od lat; brakuje nie tylko wykwalifikowanych cukierników, ale też sprzedawców, dostawców. Nasz przyjaciel jest realistą, nie wydziwia, bierze, co jest, nie oczekuje wy-

WYBIERZMY NASZĄ EUROPE

SWASTYKA Z LUKRU

sokich kwalifikacji, sam uczy. W jego niewielkim przedsiębiorstwie kształci się kilku przyszłych cukierników. Twierdzi, że to cud, że ich ma; nikt nie chce wstawać o świcie, uczyć się trudnego zawodu, młodzi i starzy wolą pracować w home office. Nie ma też w Berlinie miejsca, gdzie przyszli cukiernicy mogliby zdawać państwowe egzaminy czy zdobywać mistrzowskie papiery, muszą jechać do Lipska (to ważny aspekt tej historii).

Jednym z uczniów jest osiemnastoletni Oliver, kreatywny i pracowity. Peter chucha i dmucha na podopiecznego, kto wie, może ten kiedyś przejmie po nim sklepy i fabrykę? (córka Petera wybrała home office, syn studia inżynierskie).

I tak któregoś dnia Oliver jedzie na egzaminy do Lipska. Dużo się uczył, długo myślał nad składnikami, ozdobami, kremami i nad czym tam jeszcze myślą cukiernicy. Peter był dobrej myśli, choć skrycie denerwował się bardziej od swego podopiecznego. Jego niepokój się wzmógł, kiedy Oliver po egzaminie nie zadzwonił, a następnego dnia wysłał do szefa lakoniczną wiadomość, że jest chory i nie przyjdzie do pracy.

Oto co się okazało. Oliver dał w Lipsku, jak twierdzi, pokaz swego życia: kilkupoziomowy tort w kształcie serca. Następnie z bijącym sercem czekał na werdykt. Wcześniej niespecjalnie zwracał uwagę na pozostałych uczniów, bo zbyt bardzo przejęty był własnym losem. Jednak na krótko przed wejściem na salę zauważył wyjeżdżające stamtąd wypieki, a na nich lukrowane, świetliste swastyki. Początkowo myślał, że zamroczyło go ze zdenerwowania, lecz kiedy kolejny uczeń wyjechał z ciastem, na którym widniało wielkie kremowe SS, nie miał już wątpliwości. Czyżby coś w Lipsku teleportowało cukierników do Rzeszy?

Mimo to dał z siebie wszystko, mówił jak erudyta, zebrał pochwały a na koniec usłyszał: trójka. Skala ocen w Niemczech wynosi: od jeden do sześciu. Jeden to celujący, a sześć, wiadomo, pała. Trójka nie mogła zatem usatysfakcjonować pracowitego Olivera, tym bardziej że, jak zapewniał nas Peter, wykuty był na błachę. Tymczasem z radośnych pokrzykiwań uczniów, którzy zaprezentowali swastyki i esesmańskie SS wynikało, że otrzymali oceny celujące. Przyszli niemieccy cukiernicy nie przybijali sobie piątek, lecz wywalali ochoczo ramiona ku górze w pozdrowieniu wodza. Tak właśnie. „Heil Hitler!” grzmiało na korytarzach zacnego budynku, kiedy trójkowicz Oliver opuszczał go rozgoryczony i świata nierozumiejący. No i od tego wszystkiego się rozchorował, podsumował Peter.

Jeszcze krótką dygresja. Nic z tego, co powyżej i dalej przeczytacie, nie jest ubarwione, przesadzone, powiedziałabym, że raczej stonowane. Dla bezpieczeństwa Olivera i Petera musiałam zmienić im imiona, także profesję Petera, profil szkoły i miasto, w którym Oliver odbywał egzaminy. Bo ramie tych, o których mowa, jest dłuższe, niż można przypuszczać, a przed Oliverem jeszcze dalsze wyprawy do Lipska i egzaminy.

W rodzinny dom Olivera nikt w tę historię nie chciał wierzyć. Rodzice są Czechami, przyjechali do Niemiec na początku lat 90. z myślą o lepszej przyszłości i założeniu rodziny. A więc w czasach kiedy świat z dnia na dzień wydawał się lepszy i lepszy, padały mury, komunizm i przebakiwano, że

Czechy będą kiedyś w UE, a nawet w NATO. Wyjechali jednak do Niemiec, bo Niemcy to Niemcy. Kraj demokratyczny, bezpieczny. A więc w Berlinie urodził się Oliver. „Aha” – dodaje jeszcze Peter, jak by to miało coś do rzeczy – „pradziadka Olivera zamordowano w obozie w Treblince”.

Młodość jest pragmatyczna, nastolatek trzy dni odchoruje i życie może toczyć się dalej. Oliver wrócił więc do pracy i do nauki. Wytłumaczył sobie, że to tylko incydent. Na szczęście mieszka w Berlinie i tu takie rzeczy się nie zdarzają.

Tu nasz przyjaciel Peter przerywa opowieść, popija wino, bo mu w ustach zaschło i mówi: „Jeśli myślicie, że to koniec, to niestety nie. Będzie jeszcze gorzej”.

Oliver dalej chodzi do szkoły w Berlinie, tylko egzaminy zdaje w Lipsku. Niestety do egzaminów trzeba się przygotować, a najlepiej można się przygotować w grupach, najlepiej tam, gdzie się odbywają, w grupach z nauczycielami. Oliver znów musiał jechać. Do Lipska.

No i co dalej? – pytamy niecierpliwie. „Oliver chce tylko przetrwać i nie chce się rzucić w oczy. No i teraz też już, jak inni, pozdrawia kolegów, wywalając ramię do góry ku czci wodza”. Po chwili dodaje: „Chociaż mam wrażenie, że jemu się to też coraz bardziej podoba”.

Milczymy. „Może to tylko młodzieńcze żarty”? Rzucić w końcu któreś z nas. „Nie sądzę”, odpowiada Peter. „To niemożliwe”, powtarzają urodzeni, wychowani w Berlinie rodowici berlińczycy. „Może w Niemczech nie jest zbyt różowo, ale nie jest aż tak źle! Kto by do tego dopuścił nawet w Saksonii”, „Może on to wszystko wymyślił? A zdjęcia jakieś są na to? Dowody?”.

Siedzę cicho i nie wiem, co gorsze, czy to, że klasa średnia zebrana przy suto zastawionym berlińskim stoliku zamyka oczy na to, co dzieje się wokół, czy że młodziutki Czech, którego pradziadka Niemcy zabili w Treblince, dla świętego spokoju wita się z kolegami: „Heil Hitler”?

Wciąż tłucze mi się po głowie jedenaste przykazanie Mariana Turskiego: „nie bądź obojętny, bo jeżeli nie, to się nawet nie obejrzyście jak na was, jak na waszych potomków, »jakiś Auschwitz« nagle spadnie z nieba”.

Kilka tygodni później rozmawiam z Peterem i pytam nieśmiało, co tam u Olivera. Mój przyjaciel odpowiada, że nie ma co wyolbrzymiać tego zdarzenia, bo to była tylko dziecinna zabawa. Ma inny problem, oto zgłosiło się do niego kilku młodych Afrykańczyków, świetni chłopcy i chcieliby uczyć się na cukierników, ale nie może ich przyjąć, bo jak oni sobie w Lipsku poradzą?

Myślałam, że już nic nie może mnie bardziej przerazić w tej historii, ale Peter w końcu sam mówił, że będzie jeszcze gorzej. Od tej chwili czuję przejmujący strach. Nie chodzi o to, że Peter nie przyjmie Afrykańczyków i że ci „w Lipsku sobie nie poradzą”, chodzi o to, że Peter wmawia mi i sobie, że nic się nie stało.

Sen z powiek nie spędza mi już to, co dzieje się w Polsce, ale co dzieje się w Niemczech i który stopień awaryjny z małej wielkiej książeczki „O Tyranii. Dwadzieścia lekcji jak stawiać opór” Timothy’ego Snydera w razie czego zastosować.

Mniej więcej w tym samym czasie w mediach upubliczniony zostaje list, w którym nauczyciele ze szkoły średniej



• Tablica z napisem: „Deportuj teraz AfD” podczas ogólnokrajowych protestów przeciwko rasizmowi i planom niemieckiej skrajnie prawicowej partii Alternatywa dla Niemiec (AfD) dotyczących deportacji cudzoziemców w Bonn, Niemcy, 21 stycznia 2024 r.

FOT. REUTERS / WOLFGANG RATTAY

w Burg (Brandenburgia) skarżą się, że codziennie spotykają się z prawicowym ekstremizmem, seksizmem i homofobią w szkole. Piszą, że doświadczają ze strony przełożonych „ściany milczenia”. Piszą, że nauczyciele i uczniowie, którzy otwarcie występują przeciwko radykalnie prawicowym uczniom i rodzicom, obawiają się o swoje bezpieczeństwo. W szkole słucha się faszystowskich marszów i neonazistowskiej muzyki, wita się „Heil Hitler”, parafrazuje powiedzenia z Goebbelsa, neguje się Holocaust itd.

Przypomnę, że Burg, (miasto na drodze z Berlina do Cottbus) ma niechlubną prahistorię. Trafiło na pierwsze strony mediów w 2020 r. z powodu działalności prawicowych ekstremistów. Jeden z lokalnych przedsiębiorców przejął tradycyjną gospodę w mieście i stał się centralną postacią na neonazistowskiej scenie w rejonie Cottbus. Ministerstwo spraw wewnętrznych uznało, Burg za centrum spotkań niebezpiecznych prawicowych ekstremistów. Czy kogoś naprawdę dziwi, że kilka lat później dzieci tych ludzi sięją popłoch w szkołach?

W maju ubiegłego roku media obiega jeszcze jedna informacja, tym razem o młodzieży, która udała się kilkanaście kilometrów za Berlin, aby w ciszy i spokoju przygotować się do matury. Część z nich to muzułmanie. Zostają zaatakowani przez neonazistów, próbują wtargnąć do wynajmowanych przez uczniów pomieszczeń. Interweniuje policja, 28 osób zostaje zatrzymanych. Maturzyści wracają do Berlina pod eskortą policji. Naczytałam się tyle zeznań świadków, że przez kolejne tygodnie pod powiekami wciąż mam obraz przerażonych nastolatków barykadujących krzesłami i łózkami drzwi.

Prezydent Niemiec Frank-Walter Steinmeier jest zszokowany. Wzywa do debaty: „Nie milczcie!”, żąda wyciągnięcia konsekwencji: „Ważne jest, aby wydarzenia te nie były dłużej ukrywane lub minimalizowane. List otwarty, w którym nauczyciele ze szkoły w Burg apelują o pomoc, wstrząsnął wieloma osobami, w tym mną”.

Ani w maju, ani w czerwcu, ani w lipcu 2023 r., ani w żadnym innym miesiącu aż do 10 stycznia 2024 r. wciąż nie słychać ani nie widać żadnej debaty.

Po spotkaniu z przyjaciółmi w maju zeszłego roku pierwszy raz, odkąd zamieszkałam w Niemczech (mieszkam w Berlinie od 1984 r.), przychodzi mi do głowy, że się boję. Że zaczęło się coś, o czym nieustannie przypomina Marian Turski i to, o czym czytałam w książkach takich jak „W ogrodzie bestii” Erika Larsona czy wstrząsających wspomnieniach „Ponad dachami Berlina” Stéphane Roussel (pierwszej francuskiej kobiety korespondentki opisującej na

bieżąco zmieniające się Niemcy na krótko po dojściu Hitlera do władzy).

Klasa średnia w Niemczech długo potrzebuje, żeby się przebudzić. Po spotkaniu prawicowych ekstremistów w Poczdamie słyszę podczas demonstracji w Berlinie od niektórych uczestników, że jeszcze nigdy nie byli na żadnej demonstracji, ale teraz nie mają wyjścia. Nie mają. W Niemczech co piąty wyborca deklaruje, że będzie głosował na AfD, co trzeci zamierza głosować na AfD w Turynii, w Brandenburgii, Saksonii, Saksonii-Anhalt.

Bastionem nacjonalizmu była od zawsze Turynia, a więc land w Niemczech, w którym notowania AfD sięgają 30 proc., land, w którym szansę na przejęcie władzy ma Björn Höcke, były nauczyciel, a od ponad dekady polityk, który od samego początku w 2013 r. współtworzył strukturę AfD. W roku 2014 zdobył mandat deputowanego do landtagu w Turynii i stanął na czele frakcji poselskiej AfD. W wyborach 2019 został wybrany ponownie do landowego parlamentu. W jego wypowiedziach socjolog i historycy dostrzegają język faszystwu, rasizmu, rewizjonizmu historycznego, antysemityzmu oraz idee narodowego socjalizmu. Federalny Urząd Ochrony Konstytucji (BFV) sklasyfikował Höckego jako prawicowego ekstremistę i monitoruje go od początku 2020 r.

W roku 2018 Höcke wydał książkę, coś w rodzaju wywiadu rzeki: „Nie zweimal in denselben Fluß” (Nigdy dwa razy do tej samej rzeki), w której uchyla rąbka tajemnicy... co zamierza zrobić z obywatelami, którzy nie wpisują się w obraz Niemiec, tak jak sobie to Höcke wyobraża... Te przemyslenia nie dotyczą tylko obcokrajowców, dotyczą niemal wszystkich niedostatecznie zintegrowanych migrantów, także tych z doświadczeniem niemieckim, także towarzyszy z jego własnej partii i Niemców, którzy działają według niego na szkodę państwa niemieckiego (pracują na przykład na rzecz migrantów). Höcke wspomina nie tylko o ich reemigracji, lecz o „okrutnej kasacji”. Cóż to może znaczyć? Czy nie brzmi to znajomo? Czy aby ktoś zamknięty w więzieniu po puczu monachijskim w 1923 r. nie pisał swojej książki w podobnym tonie?

Björn Höcke ma realną szansę zostać pierwszym skrajnie prawicowym politykiem w powojennych Niemczech, premierem Turynii w wyborach we wrześniu 2024 r. ●



ELEKTROWNIA, KTÓRA SIĘ NIE ROZPYCHA

Jeśli naprawdę chcemy podzielić się naszymi wygodami z bliźnimi spoza sytego Zachodu, musimy zbudować więcej reaktorów.

Kamil Fejfer

Będziemy mieli nie jedną, lecz od razu dwie elektrownie atomowe? Całkiem możliwe.

Ale od początku. W środę 17 stycznia wojewoda pomorska Beata Rutkiewicz wywołała prawdziwą burzę, stwierdzając w „Dzienniku Bałtyckim”, że możliwa jest nowa lokalizacja pierwszej w Polsce elektrowni jądrowej.

Siłownia ma powstać w nadmorskiej gminie Choczewo. „Decyzja środowiskowa dla lokalizacji w Lubiawie została wydana, ale cały czas rozważamy, czy słusznie” – stwierdziła wojewoda.

Zmiana decyzji o lokalizacji wymagałaby nawet 10 lat ponownych konsultacji (te, które już się odbyły, trwały od 2017 do 2022 roku) i pochłonęłaby miliony złotych. Nic dziwnego, że na dementi nie było trzeba długo czekać. Dwa dni później Ministerstwo Klimatu i Środowiska poinformowało, że nie ma podstaw do zmiany pierwotnej lokalizacji. Mało tego, ministra klimatu Paulina Hennig-Kloska spotkała się z ambasadorem USA Markiem Brzezinskim. Podczas spotkania rozmawiali również o nowych inwestycjach. „Polska pozostaje w pełni zaangażowana w kontynuację strategicznych relacji z USA w dziedzinie energii, w tym w perspektywie budowy polskich elektrowni jądrowych zgodnie z programem polskiej energetyki jądrowej” – podkreślał resort po spotkaniu. Przypomnijmy, że pod koniec 2022 roku premier Morawiecki poinformował, że Polska wybrała amerykańską grupę Westinghouse jako dostawcę technologii do Lubiawy, gdzie przewiduje się zbudowanie ośmiu reaktorów.

Z kolei pod koniec listopada Anna Moskwa, minister klimatu i środowiska w odchodzącym rządzie PiS, wydała decyzję zasadniczą – czyli zapaliła pierwsze zielone światło, stwierdzając, że analizowana inwestycja jest zgodna z celami państwa – dotyczącą budowy kolejnej siłowni jądrowej. Elektrownia z co najmniej czterema reaktorami miałaby powstać w Pątnowie nieopodal Konina, z udziałem koreańskiej firmy KHNP. A niedawne spotkanie ministra Radosława Sikorskiego z szefem francuskiego MSZ Stéphane'em Séjourné sugeruje, że również Europejczycy ostrzą sobie zęby na budowę drugiego polskiego atomu. Co nie znaczy, że projekt „koreański”, jako pobłogosławiony przez poprzedni rząd i mniej atrakcyjny geopolitycznie, wypadł z gry. Co prawda, goszczący w Warszawie szef KHNP mówił, że planowane są „różne działania, aby przedstawiciele nowego rządu zapoznali się z technologią”, z czego wynika, że Koreańczycy jeszcze nie rozmawiali – przynajmniej oficjalnie – z ministrami rządu Tuska. Ale są chyba dobrej myśli, skoro chcą



zabrać się do przygotowywania studium wykonalności już wiosną.

Za budową dwóch elektrowni naraz przemawia to, że nie musiałyby rywalizować o publiczny grosz – elektrownia „amerykańska” powstanie za państwowe pieniądze, bo zbuduje ją spółka skarbu państwa Polskie Elektrownie Jądrowe, natomiast w „koreańskiej” (analizując ten wariant, bo o wracającej do gry „francuskiej” nic nie wiemy) miałaby, co prawda, partycypować państwowa Polska Grupa Energetyczna, ale współudziałowcami byłby dostawca technologii – czyli KHNP – oraz spółka ZE PAK Zygmunta Solorza, właścicie-

la Polsatu, do której należą tradycyjne elektrownie Pątnów i Konin. A prezes Jooho Whang opowiada, że elektrownie w ojczyźnie KHNP budowała za kredyty i obligacje, bez pomocy publicznej, co brzmi jak sugestia, że jakby co, Koreańczycy nie będą zabiegać o wsparcie państwa, byle dostali zgodę na inwestycję.

Kiedy rząd PiS ogłosił, że chce budować elektrownię atomową, wielu komentatorów sztychło z technomocarstwowej retoryki, przypominając o Centralnym Porcie Komunikacyjnym mającym rywalizować z największymi europejskimi

hubami lotniczymi i o Izerze, czyli własnej, polskiej konstrukcji samochodzie elektrycznym dla ludu. Szydercze głosy się wzmożyły, gdy ministrowie Morawieckiego zaczęli mówić o kolejnych elektrowniach, planowanych z różnymi partnerami technologicznymi. Jednak patrząc z dystansu – pisowski rząd wpisał się, tyle że w charakterystycznym stylu gangu Olsena, w szeroki trend przeproszania się świata z energetyką atomową.

We wrześniu 2023 roku w Japonii pracę wznowił reaktor Takakama 2. To dwunasty blok, który został ponownie podłączony do sieci po czasowym wycofaniu się Ja-

ponii z energetyki atomowej po katastrofie w Fukushima. Obecnie atom wytwarza ok. 5 proc. energii elektrycznej. Rządzący zapowiadają, że w niedalekiej przyszłości będzie to 20 proc.

Atomizuje się również Wielka Brytania, która planuje budowę kolejnych 14 reaktorów (z czego dwa już powstają). Szwecja chce wybudować 10 urządzeń, Francja, najbardziej „nuklearny” kraj świata, jeśli chodzi o energetykę, chce postawić kolejne siedem bloków. Bułgaria i Czechy w niedalekiej przyszłości widzą u siebie po cztery reaktory. Według informacji portalu Statista na całym globie powstaje obecnie ok. 60 re-

jeden reaktor ma moc około jednego gigawata, czyli tysiąca megawatów.

Historia energetyki jądrowej przypomina szkic fabuły sagi, gdzie są miejsca na entuzjazm, katastrofy, strach, niepewność oraz – miejmy nadzieję – powrót w glorii i chwale.

Energetyka jądrowa jest dzieckiem wojny; ujarzmienie siły atomu najpierw przyniosło ludzkości grzyby atomowe nad Hiroszimą i Nagasaki, a dopiero niecałą dekadę później czystą energię. Pierwszy reaktor powstał w Idaho w 1951 r. Jego moc, delikatnie mówiąc, nie zachwycała – wystarczyła, żeby zasilić cztery żarówki o mocy 200 W. Trzy

eksplozji w radzieckiej elektrowni była już w zaawansowanym stadium budowy i ani inwestorom, ani państwowi nie opłacało się rezygnować. Od tamtej pory „netto” nie przybyło już zbyt wiele siłowni.

Zostałimy na chwilę przy Czarnobylu – omówienia go w dyskusji o energetyce jądrowej nie może zabraknąć. O tym, co dzisiaj nauka wie o skutkach katastrofy, szeroko piszą Hannah Ritchie i Pablo Rosado na OurWorldinData. Przyjrzyjmy się liczbie ofiar.

W samej eksplozji życie straciło dwóch pracowników elektrowni. Kolejne 134 oso-

Atomowa terażniejszość

• Na świecie pracuje około 440 reaktorów jądrowych, najwięcej w USA – ponad 90. We Francji prawie 60, w Chinach 55. Do tego ponad 200 reaktorów badawczych, w tym jeden, „Maria”, w Polsce. Elektrownie atomowe generują globalnie około 10 proc. energii elektrycznej.

Atomowe plany

• Wielka Brytania planuje budowę kolejnych 14 reaktorów, Szwecja 10 urządzeń, Francja 7 bloków. Bułgaria i Czechy chcą mieć po 4. Japonia mimo katastrofy w Fukushima chce zwiększyć udział atomu w produkcji prądu z 5 do 20 proc. Obecnie na całym globie powstaje około 60 reaktorów.

Ofiary atomu

• W samej eksplozji w Czarnobylu zginęło 2 pracowników elektrowni. 134 osoby – pracownicy, ratownicy, strażacy – zostały silnie napromieniowane. W ciągu następnych kilku tygodni 28 zmarło w wyniku choroby popromiennej. Przez 22 lata po awarii odeszło kolejne 19 osób. Między 1991 a 2015 r. na obszarze państw dotkniętych katastrofą odnotowano ok. 19 tys. nowotworów tarczycy wśród osób, które w chwili wybuchu miały mniej niż 18 lat, czyli były w grupie ryzyka. Ok. 1/4 tych przypadków przypisuje się katastrofie.

• Liczba bezpośrednich ofiar awarii w Fukushima wynosi 0. Około 50 osób zostało rannych lub napromieniowanych, do 2018 r. żaden z narażonych na podwyższone promieniowanie pracowników nie zmarł. Badania z 2020 r. pośrednio przypisują awarii ok. 2300 zgonów spowodowanych ewakuacją, stresem oraz dezorganizacją służby zdrowia.

Który prąd bardziej zabija

• W przypadku węgla brunatnego śmiertelność na jedną terawatogodzinę wynosi 32 osoby. Niecałe 27 ofiar pochłania wygenerowanie jednej terawatogodziny z węgla kamiennego. Z ropy – 18 zgonów, z biomasy niecałe 4, z gazu niecałe 3. Terawatogodzina pozyskana z wiatru kosztuje życie 0,04 osoby, z atomu 0,03, z fotowoltaiki 0,02.

by – pracownicy zakładu, ratownicy, strażacy – zostały silnie napromieniowane. W ciągu następnych kilku tygodni 28 spośród nich zmarło w wyniku choroby popromiennej. W 2008 roku, 22 lata po awarii, Komitet Naukowy ONZ ds. Skutków Promieniowania Atomowego (UNSCEAR) opublikował raport, z którego wynika, że z tej grupy odeszło kolejne 19 osób. Jednak jedynie piątka zmarła na raka, a to właśnie ryzyko tej choroby podwyższa promieniowanie.

No właśnie – podwyższa ryzyko. Nie istnieje sposób, żeby stwierdzić, czy konkretny nowotwór został wywołany napromienowaniem. Mamy do czynienia z pewnym statystycznym rozmyciem, probabilistyką – na nowotwory chorują również osoby, które nie zostały napromieniowane.

Jeżeli taki problem mamy z przypisaniem Czarnobylowi śmierci osób, które zostały naprawdę poważnie napromieniowane, to tym trudniejsza sprawa jest w przypadku ludzi mieszkających dziesiątki, setki czy tysiące kilometrów od miejsca zdarzenia. Nie wystarczy powiedzieć „moje pokolenie jest bardziej chorowite przez Czarnobyl”. Taka ludowa mądrość nie mówi nic o rzeczywistych rozmiarach tragedii.

ONZ-owski komitet zauważa, że między 1991 a 2015 roku na obszarze dzisiejszej Białorusi, Ukrainy i innych państw dotkniętych tragedią odnotowano ok. 19 tys. przypadków nowotworów tarczycy wśród osób, które w momencie eksplozji miały mniej niż 18 lat (to grupa ryzyka). Około jednej czwartej tych przypadków UNSCEAR przypisał awarii. Ale nowotwory tarczycy są jednymi z najłagodniejszych – 40-letnią przeżywalność szacuje się na 92-98 proc.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę te zmiany, „nadliczbowe” zgony wywołane awarią do dziś można szacować na 100 do 400. Dodatkowo w 2008 roku Komitet doszedł do wniosku, że wystawienie na promieniowanie społeczeństw europejskich było bardzo niewielkie, niezagrażające życiu.

Jeśli dodamy do tego nadliczbowe zgony wywołane nowotworami tarczycy, to wzrośnie ona do 300-500. A nie do kilkudziesięciu czy kilkuset tysięcy. Nie chodzi o bagatelizowanie sprawy. Tak, to wielka tragedia, jednak mówimy o największej katastrofie, jaka wydarzyła się w ciągu 70-letniej historii energetyki jądrowej.

Czarnobyl odbił się również na Polsce. Projektem, który nie doczekał się realizacji m.in. z powodu katastrofy, była pierwsza w naszym kraju przygoda z energetyką jądrową, czyli elektrownia w Żarnowcu. Decyzja o budowie jądrowych siłowni zapadła w 1971 roku. Pierwszy reaktor miał zostać oddany na początku lat 90. (budowa „atomu” trwa naprawdę długo), jednak w wyniku narastających protestów i kłopotów z finansowaniem plan zaawansowanej budowy porzucono.

Przez lata po Czarnobylu trwała globalna stagnacja w branży energetyki atomowej. Do sektora nie płynęły pieniądze, co przełożyło się na rozproszenie kapitału intelektualnego. Specjaliści przechodzili na emeryturę, a rynek był zbyt płytki, żeby masowo przyjmować kolejnych adeptów. I wtedy zdarzyło się coś, co przedłużyło agonię „atomówek” o kolejną dekadę, czyli katastrofa w Fukushima.

W marcu 2011 roku Japonię nawiedziła jedna z największych odnotowanych fal tsunami, będąca pochodną największego zanotowanego trzęsienia ziemi w Japonii od początku historii pomiarów (oraz czwarte go największego w ogóle, odkąd ludzkość rejestruje te zjawiska).

Liczba bezpośrednich ofiar awarii w Fukushima wynosi... zero. Około 50 osób zostało rannych lub napromieniowanych. W 2018 roku rząd Japonii poinformował, że do tego czasu ani jeden z narażonych na podwyższone promieniowanie pracowników nie zmarł. Wspomniani Hannah Ritchie i Pablo Rosado przytaczają badania z 2020 roku, które pośrednio przypisują awarii ok. 2300 zgonów. Ale były one spowodowane ewakuacją, stresem z nią zwią-

FOT. LONG LEI/XINHUA NEWS/EAST NEWS



aktorów. I bardzo dobrze, bo bez elektrowni jądrowych skrajne scenariusze katastrofy klimatycznej są znacznie bardziej prawdopodobne.

Na początek kilka liczb. Obecnie na świecie funkcjonuje ok. 440 reaktorów jądrowych. Najwięcej w USA – ponad 90, we Francji prawie 60, w Chinach – 55. Do tego na całym świecie jest ponad 200 reaktorów badawczych, w tym jeden w Polsce – o wdzięcznym imieniu: Maria. Według danych platformy OurWorldinData elektrownie atomowe generują globalnie ok. 10 proc. energii elektrycznej. Przeciętnie

lata później w radzieckim Obnińsku uruchomiono elektrownię o mocy 5 MW, która mogła zasilić dwa tysiące gospodarstw domowych.

Liczba reaktorów gwałtownie rosła od połowy lat 50. W roku 1960 pracowało kilkanaście takich siłowni, w 1970 niecała setka. Dekadę później liczba ta się podwoiła, by ustabilizować się na poziomie ok. 450 w końcówce lat 80., kilka lat po katastrofie czarnobylskiej, która wywołała gwałtowny sprzeciw opinii publicznej wobec tej technologii. Delikatny wzrost liczby reaktorów względem połowy lat 80. wynikał z tego, że część z nich w momencie

zanym oraz chwilową dezorganizacją służby zdrowia.

Badacze i decydenci bogatsi o wiedzę na temat niskiej śmiertelności technologii jądrowej wracają do technologii między innymi z powodów klimatycznych. Bo „atomówki” są jednym z najmniej emisyjnych i jednocześnie najbezpieczniejszych źródeł energii, jakie zna ludzkość.

W telegraficznym skrócie powiedzmy, z czym się mierzymy. Co roku ludzkość emituje coraz więcej dwutlenku węgla do atmosfery. Według danych Międzynarodowej Agencji Energetycznej w 2022 roku było to 36,8 mld ton. Ludzkość tym samym przebiła rekord z 2021 roku o 0,3 mld ton.

A przecież w przypadku większości krajów rozwiniętych emisyjność gospodarek spada. I nie jest to jedynie efekt „eksportu” emisji, czyli przenoszenia „brudnych” branż do krajów poddostawców. Państwa zamożne tną emisje, również jeśli weźmiemy pod uwagę ten proces.

To jednak niewielkie pocieszenie, ponieważ dekarbonizacja przebiega zbyt wolno, żebyśmy mogli się zmieścić w celach porozumienia paryskiego, w którym państwa zadeklarowały się utrzymać ocieplenie klimatu na poziomie poniżej 2 st. Celsjusza do roku 2100 w porównaniu z początkiem ery przemysłowej. Obecnie ociepliliśmy klimat o nieco ponad 1 st. Optymalnie byłoby, jeśli zmieścilibyśmy się w 1,5 st.

Serwis Carbon Brief, wiarygodne źródło popularyzujące wiedzę o zmianach klimatu, przytacza obliczenia, z których wynika, że budżet węglowy, czyli ilość CO₂, którą możemy jeszcze wyemitować, aby zmieścić się w okienku 1,5 st., wynosi około 380 mld ton. Jeśli byśmy utrzymali emisje na obecnym poziomie, to budżet zmarnowalibyśmy za... dekadę.

Inne dane mówią o ok. 260 mld ton. Ten budżet wyczerpalibyśmy za sześć lat. Co prawda, nie jest wykluczone, że jesteśmy blisko przełamania krzywej, po którym emisje ludzkości będą spadać, jednak nie będzie to proces gwałtowny. Patrząc więc realistycznie, celu nie da się osiągnąć – ale być może uda się nie wyskoczyć daleko ponad 2 st. C. A każda jedna dziesiąta stopnia się liczy.

Może się wydawać, że to niewielkie wartości. Lecz ocieplenie już jest odczuwalne nawet dla osób, które mają 30 lat. Sięgając pamięcią dwie dekady wstecz, nie mówiąc już o dekadach pięciu, pamiętamy, że zimy były o wiele bardziej srogie, lata przychodziły później, trwały krócej i nie przynosiły tylu gorących dni. A to, co dla nas jest miłą większą liczbą cieplejszych momentów w roku, dla innych miejsc oznacza więcej śmiertelnych fal upału, niszczycielskich huraganów, susz i pożarów. Walka z ociepleniem klimatu jest więc walką nie tylko o jakość życia milionów ludzi, lecz przede wszystkim walką o setki tysięcy żyć, które można by ocalić, gdyby udało nam się maksymalnie ograniczyć emisje.

Większość produkcji gazów cieplarnianych – ponad 70 proc. – wiąże się z wytwarzaniem energii. Właśnie tutaj jest najwięcej do zrobienia.

Dysponujemy kilkoma sposobami zmniejszania emisyjności w tym obszarze. Jednym jest ograniczanie popytu na energię, co częściowo jest możliwe np. przez zwiększanie efektywności energetycznej budynków czy urządzeń. Możemy również postawić na odnawialne źródła energii – i to już się dzieje na całym świecie; badacze z IPCC w ostatnim raporcie przyznali, że „spadek kosztów jednostkowych technologii, takich jak energia słoneczna, wiatrowa oraz rozwój baterii, nastąpił znacznie szybciej, niż przewidywali eksperci w poprzednich scenariuszach. Tempo politycznych, gospodarczych, społecznych i technicznych wdrożeń energetyki słonecznej, wiatrowej i magazynowania energii elektrycznej gwałtownie wzrosło w ciągu ostatnich kilku lat”. Niech to będzie odrobina nadziei dla tych, którzy

uważają, że w kwestii zmian klimatu nic się nie dzieje.

W tym samym jednak akapicie naukowcy podkreślają, że nieco przeszacowano rozwój wychwytu dwutlenku węgla oraz energetyki jądrowej. Jest co nadganiać, zwłaszcza jeśli chodzi o atom – bo właśnie on jest kolejnym elementem, który może pomóc nam zmniejszać emisyjność gospodarek.

Ogromna większość ludzkości, ok. 85 proc., żyje poniżej średnich granic ubóstwa ustanowionych w krajach rozwiniętych. A to oznacza, że większość świata potrzebuje ogromnego rozwoju, aby osiągnąć przynajmniej część wygod, jakimi my się otaczamy.

Będziemy więc potrzebowali mnóstwa prądu – a żeby nie zepchnąć cywilizacji w klimatyczne piekło, będzie musiała to być energia możliwie czysta. Szacuje się, że do 2060 roku globalne zapotrzebowanie na energię elektryczną co najmniej się podwoi. I tu wracamy do atomu.

Wiemy już, że liczba ofiar związana z największą katastrofą nuklearną, no cóż, mówiąc brutalnie, nie była wysoka w porównaniu i z wyobrażeniami, i z liczbą ofiar paliw kopalnych. Żeby jednak adekwatnie porównywać szkodliwość źródeł energii, należy sprowadzić wszystko do jakiejś wspólnej miary. Badacze to oczywiście zrobili i oszacowali, za ile odpowiadają poszczególne technologie w przeliczeniu na jednostkę wyprodukowanej energii.

Elektrownie jądrowe mogą pracować od 60 do 100 lat. Czas życia elektrowni węglowej to około 40 lat, a farm wiatrowych i fotowoltaicznych – 25 lat

Według Our World in Data w przypadku węgla brunatnego śmiertelność na jedną terawatogodzinę wynosi 32. Wliczają się w to zgony z powodu zanieczyszczenia powietrza, wypadków górniczych i budowy elektrowni. Nieco mniej, bo niecałe 27 ofiar, pochłanianie wygenerowanie jednej terawatogodziny za pomocą węgla kamiennego. Dla ropy wskaźnik ten wynosi 18 zgonów, dla biomasy niecałe 4, dla gazu niecałe 3. Terawatogodzina pozyskana z hydroelektrowni kosztuje życie – statystycznie – jednej osoby.

Dla energii wiatrowej wskaźnik ten wynosi 0,04, dla energii jądrowej – 0,03, dla fotowoltaiki – 0,02. Jak widać, energia nuklearna jest tak samo bezpieczna jak odnawialne źródła energii – a poza awariami w elektrowniach jądrowych wskaźnik ten odnotowuje wszystkie zgony w łańcuchu produkcji, od budowy urządzeń po dostarczanie paliwa, czyli również zwyczajne – co, rzecz jasna, okropnie brzmi w kontekście śmierci – wypadki.

Przejdźmy do emisyjności. Emisyjność źródeł energii porównuje się, przyglądając się, ile ekwiwalentu CO₂ generuje dana technologia podczas produkcji jednej terawatogodziny. Mowa o ekwiwalencie, ponieważ istnieją inne gazy cieplarniane niż dwutlenek węgla, które mogą być generowane w łańcuchu produkcji energii. Poza tym np. panele słoneczne mogą konkurować o ziemię z drzewami, które pochłaniają CO₂. Wszystko to badacze są w stanie przełożyć na ekwiwalent gazu cieplarnianego, jakim jest dwutlenek węgla właśnie.

Na 1 TWh wyprodukowanego prądu energetyka węgla emituje 820 ton ekwiwalentu CO₂. Ropa – 720 ton, gaz – 490,

biomasa od 78 do 230 ton. Hydroelektrownia 34 tony, energia słoneczna 5 ton, wiatrowa – 4. Energetyka jądrowa jest najczystsza – emituje jedynie 3 tony ekwiwalentu CO₂ na 1 terawatogodzinę energii. Według raportu PIE energetyka atomowa od lat 70. w porównaniu z jednostkami węglowymi zaoszczędziła ponad 70 mld ton emisji CO₂. Dwuletnie emisje całej cywilizacji.

Jest pewien wskaźnik, w którym elektrownie atomowe nie mają sobie równych. Chodzi o wykorzystanie terenu. To o tyle istotne, że urządzenia wytwarzające energię konkurują o teren z uprawami, pastwiskami, miastami, lasami.

Według artykułu w jednym z najbardziej prestiżowych czasopism naukowych świata – „Nature” – atom z jednego kilometra kwadratowego instalacji rocznie jest w stanie wygenerować ok. 7 TWh. Na kolejnym miejscu są elektrownie gazowe, które generują ok. 3 TWh. To oczywiście wartości średnie, wiele zależy od konkretnej elektrowni. Natomiast żadna, najbardziej nawet efektywna elektrownia słoneczna nie może równać się z wydajnością najgorszej elektrowni jądrowej. Średnia roczna energia wygenerowana z 1 km kw. solarów to... 0,1 TWh. Niecałe 1,5 proc. „wydajności przestrzennej” atomówek. Z wiatrakami jest jeszcze gorzej. Za tym idzie większe zużycie nie tylko terenu, lecz również materiału potrzebnego do zbudowania instalacji.

Jest jeszcze coś, co przemawia na korzyść elektrowni atomowych – chodzi o ich

bowanie na paliwo do elektrowni o mocy 1000 megawatów. W przypadku węgla to 3,2 mln ton. Gazu – 1,5 mln ton. A wzbogaczonego uranu 235 – paliwa najczęściej używanego w elektrowniach atomowych – do rocznego zasilenia 1000-megawatowej siłowni potrzeba 1 tony. Owszem, inne źródła mówią o kilkunastu tonach – ale tak czy inaczej mówimy o różnicach kilku rzędów wielkości.

Z tą gigantyczną gęstością energetyczną uranu w porównaniu z innymi surowcami łączy bardzo ważna rzecz. Na niewielkim obszarze można zmagazynować wieloletnie zapasy paliwa i w ten sposób uniezależnić się od dostawców.

No dobrze, ale przecież muszą być jakieś wady elektrowni jądrowych, prawda? Najkrócej rzecz ujmując – tak, to głównie cena oraz czas budowy. Raport PIE podaje, że średnie opóźnienie w budowie trzech najpopularniejszych obecnie reaktorów wynosi od 3 do 5 lat. Średnie przestrzelenie kosztów wynosi z kolei od 20 do – uwaga! – 120 proc.

Jeśli mogą się posłużyć żarcikiem z social mediów – elektrownie jądrowe są bardzo drogie (PIE szacuje, że dwie polskie będą kosztować ponad 180 mld zł; roczny koszt programu 500+ to obecnie ok. 42 mld), za to przynajmniej bardzo długo się je buduje.

Na długi czas budowy i wysokie koszty składają się dwie główne przyczyny. Po pierwsze, jako cywilizacja przez dekady „zapominaliśmy”, jak się buduje atomówki – rozproszyliśmy kapitał intelektualny, spadły inwestycje w tę technologię, nie było dla niej politycznego priorytetu. Po drugie, obecnie powstające reaktory są kolejną generacją urządzeń. Będą bardziej wydajne i jeszcze bezpieczniejsze niż budowane do tej pory, lecz jak każda nowa technologia mają te same problemy, z którymi mierzą się wszystkie innowacje na wstępnym etapie wdrażania – powstają wolniej, niż pierwotnie zakładano.

Czy istnieje jakiś sposób, żeby obejść te problemy? Tak. Obecnie badacze i firmy pracują nad technologią małych reaktorów modułowych – small modular reactors (SMR). Typowy reaktor dzisiaj ma moc ok. 1000 megawatów. SMR-y mają mieć mniej niż 300 megawatów. Do tego będą produkowane w fabrykach i przewożone w częściach w odpowiednie miejsce (stąd nazwa „modułowe”). To zmniejszy koszty oraz skróci czas budowy.

W Polsce różne podmioty już wyraziły zainteresowanie tego typu technologią. Co prawda, najgłośniejszy projekt spółki Orlen Synthos Green Energy (OSGE), chcącej rozsiać po kraju sześć małych SMR-ów, znalazł się pod lupą ABW jeszcze z polecenia ministra Mariusza Kamińskiego i został pod nią za nowego rządu – ale, jak zauważa dziennikarz ekonomiczny i paliwowy Andrzej Kublik, raczej z innych powodów niż technologia GE Hitachi. Więc SMR-y, choć nie wiadomo, czy akurat te konkretne, też są w grze. I być może za jakiś czas będą uzupełniały „duży” atom, służąc jako generatory w dużych zakładach przemysłowych, ogrzewając pojedyncze miasta lub zastępując bloki węglowe w istniejących elektrowniach. „Być może”, bo należy mieć na uwadze, że to nowa technologia i choć na świecie już jest realizowanych ok. 70 różnych reaktorów SMR, to większość na razie na poziomie projektowania.

Energetyka jądrowa, choć ma swoje problemy, wydaje się jedną z najlepszych dostępnych opcji w walce ze zmianami klimatu. Jest jedną z najbezpieczniejszych technologii, jedną z najmniej emisyjnych, jest też nieporównywalnie najbardziej efektywna i najtrwalsza. Wciąż jest bardzo droga, a nowe reaktory powstają w bólach – ale przecież podobne zarzuty 30 lat temu stawiano fotowoltaice. ●

Policja sobie nie radzi? Potrzeba więcej policji!

100 tys. niedożywionych mieszkańców, blisko 300 zabójstw, porwania, gwałty. O krok od Białego Domu.

Maciej Jarkowiec



W 2023 roku w Waszyngtonie dokonano 274 zabójstw, najwięcej od 26 lat. To o 35 proc. więcej niż rok wcześniej i ponad trzy razy więcej niż w roku 2012, kiedy w stolicy odnotowano 88 morderstw, najmniej w ostatnich dekadach. Gdy w innych metropoliach, chociażby w Nowym Jorku czy Chicago, po wzrostach z lat pandemii do statystyk ciężkich przestępstw powrócił trend spadkowy, w stolicy USA przemoc cały czas rośnie.

Ubiegły rok to prawie tysiąc uprowadzeń samochodów (carjacking – forma kradzieży, w której kierowca jest przemocą zmuszony do opuszczenia auta) oraz 39-procentowy wzrost wszystkich przestępstw z użyciem przemocy – rabunków, gwałtów, napaści. Żeby dać obraz przestępczości w Waszyngtonie na tle reszty tak zwanego cywilizowanego świata, porównajmy liczbę zabójstw na 100 tys. mieszkańców w stolicy USA – 40, w Unii Europejskiej od 0,4 na Malcie do 5,2 w Łotwie (w Polsce 0,7; dane z 2021 r.).

Jeśli trend się utrzyma, statystyki przestępczości w Waszyngtonie będą się zbliżać do liczb z przełomu lat 80. i 90., kiedy mordowano tam ponad 400 ludzi rocznie. Miasto dostało wówczas miano „stolicy zbrodni”. Lokalna telewizja FOX5 emitowała popularny dziennik „City Under Siege” (Oblężone miasto), który pokazywał raport z popełnionych przestępstw oraz z pomocą ekspertów i praktyków poszukiwał odpowiedzi na pytanie, jak walczyć z przemocą. Dziś „City Under Siege” wraca na antenę.

Jeśli zapytać konserwatystów, dlaczego w niektórych miastach przestępczość znów rośnie, odpowiedź będzie prosta: za mało policji; demokratyczni burmistrzowie prowadzą politykę pobałżania złu.

Spójrzmy jednak na kilka procesów społecznych zachodzących w Waszyngtonie. Część populacji miasta zbroi się na potęgę – to trend dotyczący wielu zakątków kraju. W Polsce spory odsetek zabójstw to tzw. zabójstwa kuchenne – ktoś ginie w wyniku pijackiej awantury, często pchnięty nożem przez członka rodziny. W Stanach, gdzie w prywatnych rękach jest prawie 400 mln sztuk broni palnej, większość ofiar zostaje zastrzelona. W Waszyngtonie obowiązują stosunkowo surowe przepisy o broni, ale z łatwością sprowadza się z ościennych stanów – w Wirginii można ją kupić równie łatwo jak paczkę papierosów.

Pandemia pogorszyła sytuację najbardziej potrzebujących. Dzieci nie miały dobrego dostępu do szkoły online, nieubezpieczone rodziny – utrudniony dostęp do leczenia, rozsypało się wiele programów pomocowych, przyszły bezrobocie i inflacja. W stolicy poszerzył się obszar biedy. Szacunki mówią o 100 tys. mieszkańców dotkniętych niedożywieniem.

Bieda Ameryki nie jest oczywiście biedą Somalii i innych najbardziej potrzebujących państw świata, gdzie ludzie umierają z głodu, ale statystyki oddają coraz trudniejszą sytuację w wielu dzielnicach. Co charakterystyczne – rodziny niedotknięte bezrobociem też korzystają z pomocy żywnościowej, bo wzrost płac jest wolniejszy od wzrostu kosztów życia. Nierówności sprawiają, że bogata część populacji winduje ceny nieruchomości, żywności i usług. Spauperyzowana klasa średnia i niższa nie nadążają. Rosną frustracja i beznadzieja spowodowane wegetowaniem i brakiem perspektyw. Do

większości morderstw w Waszyngtonie dochodzi w najbiedniejszych kwartałach. Popelniają je młodzi ludzie: porachunki, rabunki, przemoc dla samej przemocy.

Jeśli przyjrzymy się danym o wykrywalności, zobaczymy, że najniższa jest dla mniejszości rasowych. Prawdopodobieństwo wykrycia sprawy morderstwa, w którym ofiarą była biała, jest o 30 proc. wyższe, niż kiedy ofiarą była Latynoska, i o 50 proc. wyższe, niż kiedy ofiarą była czarna. Przed kwestią rasową w USA nie da się uciec. Dzielnice biedy – czytają: dzielnice mniejszości rasowych. Pandemia dotknęła najsłabsze grupy – czytają: dotknęła mniejszości. Niedożywienie dotyczy przede wszystkim mniejszości. Nierówności? W Waszyngtonie wyburzono całe afroamerykańskie dzielnice, dając miejsce pod deweloperkę. Biedni czarni wynieśli się za rzekę, skąd spoglądają na bogatych białych wprowadzających się do nowych apartamentów.

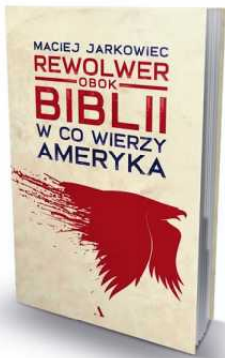
Silą rzeczy to w dzielnicach mniejszości koncentruje się problem napływu broni i rosnących statystyk zbrodni. Strategie policyjne przez dekady opierały się na sile i dobrze zakamuflowanym założeniu (podzielanym dziś przez wielu wyborców Trumpa), że czarni są gorsi, głupszy, bardziej agresywni, nie da się im pomóc. Niech się wyrzynają. Nieufność społeczności do policji cementowana była od pokoleń. Gdy dziś policja próbuje rozwikłać zbrodnię w trudnej dzielnicy, napotyka mur milczenia. Nierozwikłane zbrodnie pogłębiają z kolei nieufność do policji, a mordercom dają poczucie bezkarności. Przemoc rośnie, koło się zamyka.

To bardziej problem systemu niż przywództwa, co pokazała prezydentura Obamy. Pierwszy czarny prezydent nie przyczynił się do znaczącej poprawy życia czarnej populacji. Mniejszości rasowe nadal mają gorszy dostęp do edukacji, służby zdrowia, rynku pracy, kredytów i są dyskryminowane przez wymiar sprawiedliwości. Od 2015 r. burmistrznią Waszyngtonu jest Afroamerykanka Muriel Bowser. Z jej inicjatywy pod koniec roku weszły nowe przepisy walki z przestępczością. Biżę z nich beznadzieja: proponują przede wszystkim wzmocnienie policji.

„Rewolwer obok Biblii. W co wierzy Ameryka” – książka reportersko-eseistyczna, w której Maciej Jarkowiec płynie statkiem angielskiej ekspedycji kolonialnej z XVI wieku, podróżuje przez Kolorado, odwiedza kosmopolityczny Nowy Jork i Dolinę Krzemową, gdzie już dziś można kupić wieczne życie – dostępna na Kulturalnysklep.pl oraz w formie e-booka na Publio.pl.

„Rewolwer obok Biblii. W co wierzy Ameryka”

– książka reportersko-eseistyczna, w której Maciej Jarkowiec płynie statkiem angielskiej ekspedycji kolonialnej z XVI wieku, podróżuje przez Kolorado, odwiedza kosmopolityczny Nowy Jork i Dolinę Krzemową, gdzie już dziś można kupić wieczne życie – dostępna na Kulturalnysklep.pl oraz w formie e-booka na Publio.pl.



A już w tym roku ukaże się książka Macieja Jarkowca o Hollywood.

Biskup nie schudnie, a nawet utyje

Nowy rząd dokona prostego zabiegu mydlącego czy antyklerykalnie nastawionej części elektoratu.

Magdalena Czyż

Zrobiło się głośno wokół projektu zmiany finansowania Kościoła, a dokładnie projektu likwidacji Funduszu Kościelnego, i zastąpienia go mniej lub bardziej dobrowolnym odpisem podatkowym.

Do wszystkich antyklerykalów zacierających ręce i rozgrzewających swoje głowy wizjami rychłej śmierci głodowej Episkopatu spieszę z kubłem zimnej wody.

W książce ks. Kazimierza Sowy „Niewierni wierni. Rozmowy o prawdziwym Kościele”, jednym z najciekawszych tytułów ostatnich lat na temat Kościoła, jedna z rozmów dotyczy właśnie finansowania tej instytucji.

Sławomir Dudek, doktor ekonomii, prezes Instytutu Finansów Publicznych, były dyrektor Departamentu Polityki Makroekonomicznej Ministerstwa Finansów, gdzie przepracował 20 lat, zaznacza wyraźnie, że z punktu widzenia budżetu państwa 200 mln złotych przeznaczane na Fundusz Kościelny to zaledwie kropelka. „Sam budżet wydaje teraz ponad 670 mld (czyli 3350 Funduszy Kościelnych). Do tego dochodzą fundusze pozabudżetowe. Cały sektor finansów publicznych to już grubo ponad 1,6 bln złotych. Fundusz Kościelny to zatem nieco ponad promil całych wydatków z finansów publicznych” – zauważa Dudek, a dociśnięty przez ks. Sowę dodaje, że znacznie poważniejsze wydatki z budżetu państwa dotyczą pensji kapelanów w służbie więziennej, zakładach poprawczych, schroniskach dla nieletnich czy szpitalach. Do tego dochodzi 7 tys. etatów dla katechetów w szkołach, co razem daje kwotę blisko 2 mld złotych. Tylko że spora jej część w postaci składek i podatków wraca do państwa, zauważa Dudek.

Jeśli nowa większość parlamentarna chciałaby, jak deklaruje, zmienić system finansowania Kościoła, musiałaby zacząć od renegocjacji konkordatu, w którym zapisano naukę religii w szkołach. Nie można też wykluczyć konieczności zmiany konstytucji, a to przy obecnej arytmetyce sejmowej nie wchodzi w grę.

A nie jestem przekonana co do determinacji rządu w kwestii zmiany umowy z Watykanem. Raczej podejrzewam, że dokona prostego zabiegu mydlącego czy antyklerykalnie nastawionej części elektoratu. Zlikwiduje Fundusz Kościelny i wprowadzi obiecany i wyczekiwany przez antyklerykalów dobrowolny podatek. I tu się pojawia kruczek.

Z wyliczeń komisji Boni – Nycz, która już dawno pracowała nad wyliczeniem kosztów i zysków dla państwa i Kościoła wynikających ze zmiany finansowania tego ostatniego, wynika, że Kościół w ramach odpisu podatkowego dostałby między 400 a 800 mln złotych. Może nawet bliżej miliarda.

Dlatego, jak zauważa Dudek: „Fundusz Kościelny nie odgrywa zbyt dużej roli w finansach Kościoła. Jest traktowany przez Kościół jako swoisty dodatek do jego stanu posiadania. Znacznie więcej pieniędzy płynie z innych źródeł. Tych uznaniowych, zależnych od polityków, i tych stałych, takich jak dopłaty unijne. W latach 2015-20 ponad 2,5 tys. parafii otrzymało łącznie ponad 163 mln euro w postaci unijnych dopłat. Są także inne środki wykorzystywane przez Kościół, które pochodzą z rozmaitych funduszy i programów unijnych”.

Wniosek z tych wyliczeń jest prosty: nawet jeśli Kościół w najbliższych latach straci w Polsce na znaczeniu politycznym i społecznym, to z pewnością nie straci na finansach.

wyborcza | magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00;
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl
REDAKTOR NACZELNY:
Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA,
REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;

ZASTĘPCY: Aleksandra Sobczak,
Mikołaj Chrzan, Bartosz T. Wielicki;
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski
GRAFIKI: Dariusz Filippek (prowadzący), Tomasz Lebiada, Jacek Konarowski
FOTOEDYCJA: Dominik Gajda

WYDAWCA: Agora SA, ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa;
NIP: 526-030-56-44
Biuro reklam i ogłoszeń:
reklama@agora.pl, 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44

DYREKTOR WYDAWNICZY:
Wojciech Bartkowiak
DRUK: Agora SA

Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.





FOT. JAROSŁAW MIKOŁAJEWSKI

CZEKAJĄC NA LEWEGO

Tak, uwielbiam prowokować rzeczywistość. Mówić jej: „kocham”, kiedy jeszcze jej nie znam.

Bo wierzę, że ona tylko czeka na moje wyznanie

Jarosław Mikołajewski

Jestem nienormalny, o czym wiem od zawsze, lecz mówię to sobie jasno i z powagą chyba dopiero od dziesięciu lat.



W latach 80. XX w. uzbierałem kilka tysięcy lirów, wsiadłem do pociągu i pojechałem do Wenecji. Na noc, na dwie – na ile

wystarczy, kiedy śpi się na dworcu, a pijany gość z Argentyny chwyta cię za nos, żebyś się obudził, bo on o drugiej w nocy nie ma z kim pogadać. Ale już pierwszego dnia przy stoliku jakiejś kawiarni na placu Świętego Marka, bodaj Caffè Florian (nie miałem wtedy pojęcia, jakie są tego konsekwencje), zobaczyłem Nastassję Kinski, usiadłem przy sąsiednim, zamówiłem kawę. Minutę później kelner zażądał zapłaty, wydałem cały majątek, a kiedy odliczałem, Tess mojego życia wstała i sobie poszła...

Jakieś dziesięć lat temu dowiedziałem się, że w tej samej Wenecji Banksy sprzedaje anonimowo swoje obrazy, wsiadłem więc do samolotu, wyznaczyłem artyście na moim Facebooku spotkanie na szóstym peronie dworca Santa Lucia, czekałem godzinę, ale oprócz kilku mew nikt podobny do Banksy'ego się tam nie zjawiał. Nie zapomnę miny poety Tiziano Broggiato, który odprowadzał mnie na ten

peron i nie mógł uwierzyć, że ja jestem pewny, że Banksy przyjdzie na pewno...

Kiedy kilka dni temu poleciałem do córki do Barcelony, napisałem na Facebooku do Roberta Lewandowskiego, że jeśli chce spotkać polskiego poetę, który postawi mu kawę, jeśli ma ochotę zamienić dwa niebywałe słowa z kimś, kto jedyne, co chce, to dać mu na minutę własne towarzystwo, wyrwać z duchowej samotności, niech się odezwie. Skutek był niezwykle: odezwowało się kilka cudownych osób, które zwróciły się z apelem do pana Roberta lub – zapewniając, że panem Robertem nie są – zaoferowały w zamian zwiedzanie mało znanej biblioteki starych, zakurzonych książek w Ateneum Barcelońskim (dziękuję, Izabelo Mario!).

Tak, uwielbiam prowokować rzeczywistość. Mówić jej: „kocham”, kiedy jeszcze jej nie znam. Bo wierzę, że ona tyl-

ko czeka na moje wyznanie i kiedy je usłyszysz, zaczniesz w sobie samej odkrywać miłość do nieznajomego.

● ● ●

Byłem więc w tych dniach w Barcelonie i niby nie powinienem o tym pisać, bo wszyscy dziś piszą i jest tak, że wszyscy Polacy piszą książki własnych pokładów i podróży – często o zjedzonym kotleciku, wypitym winie. A skoro trzeba mieć dobry powód, żeby obnosić się ze swoją wycieczką, wymyślam go sobie: pod wskazanym numerem czekam na pana Roberta. Kolejne przyklejają się same – kiedy idę do Sagrada Família, ze spuszczoną głową, widzę nagle bryłę świątyni na glinianej alejce niewielkiego parku, w kałuży. Robię zdjęcie, sprytnie obchodzę katedrę od drugiej, piękniejszej fasady i także tę drugą fasadę widzę w kałuży. Już nie tak wyraźnie i nie tak cudownie, bo nie wskutek łaski, lecz własnego planu, ale jednak.

Jestem więc w Barcelonie, bo moja najmłodsza córka zajmuje się dziećmi ze spektrum autyzmu w klinice w Sant Cugat (mieście świętego o wdzięcznie spolszczonej wersji imienia: Kukufas), i chodzę pijany ze szczęścia, że podczas gdy świat się bije o gorsze, Julka robi swoje, które także jest czyjeś.

Tak, jestem w Barcelonie, odbieram telefon od Grzegorza Gwiazdy, artysty, którego prosiłem w Warszawie o kontakt, bo pięknie rzeźbi Dantego, rozmawiamy sobie jak Don Kichot z Sancho Pansą (on – Don Kichot, ja – Sancho) i artysta nagle mówi, że jego przyjaciel, barceloński malarz, który też zaprzątnięty jest Dantem, zaprasza mnie do swojej pracowni i pragnie poznać.

● ● ●

Boże, mój Boże, który się ukrywasz tak dobrze, że łatwo wierzę, że Cię w ogóle nie ma: jakie to piękne, że łaskę spuszczasz głównie tam, gdzie się jej nie spodziewam...

Wchodzę na wystawę Miró – Picasso w muzeum im. tego drugiego. Znam większość wystawionych dzieł, idę więc szlakiem zachwytych wycieczki polskich licealistów prowadzonych przez mądrych nauczycieli. Podsluchuję, oglądam Mistrzów odbitych w nastoletnich odkryciach, zachwytach, zagubieniach, olśnieniach. I myślę, że kiedy już wiele widziałeś i wiele poznałeś, wspaniale jest odnajdywać dawno widziane w najżywszym refleksie cudzych ożywień...

Pierwszej nocy piszę na telefonie wiersz:

*budzę się i widzę noc nad barceloną
czuję choć nie widzę
niebo nad barceloną
i wiem choć nie widzę
że całe moje życie jest nad barceloną
jest śmierć nad barcelona i światło
na które czekam
to że jestem dzieckiem
i że jestem rodzicem
ludzie których kocham
i których kochałem
wszystko co mam i co miałem
co noszę w sobie świadomie
i wszystko co zapomniałem
jest teraz nad barceloną
nigdy wcześniej nie pomyślałem
że każda każdość
zbiegnie się kiedyś w miejscu
w którym nigdy nie byłem
że właśnie barcelona ułoży nade mną
brudne lustro nocy
kiedy budzę się na wznak
w czystym hotelu*

Chodzę i czuję, że Barcelona leczy mi duszę. Jej cudownym lekarstwem okazuje się chyba światło: lekkie migotanie powietrza w prześwitach platanów, które wydają mi się najprawdziwszym natchnieniem dla budowniczych. Platan, domy, przedwiosenne światło pobudzane dalekim pulsowaniem morza. I to, że ten lekarz ma dla mnie czas. Wtargnąłem do jego gabinetu, rozgościłem się, a on nie pośpiesza, nie zadaje pytań, tylko pozwala żyć w tej mojej chorobie, czymkolwiek ona jest, dozjuje łagodność, spokój i światło. Nie strzykawką czy rurką, lecz niewypowiedzianymi łączami tego, że jestem w świecie. Nie pyta, co boli. Wchodzi delikatnie w miejsca bólu jak do kapliczek tego, kim jestem, samego bycia. Wie wszystko. A wiedząc, zaradza. Ot i cała tajemnica tego, że na dzień wrócę zdrowy do Warszawy, miejsca mojej choroby. Mojej wylęgarni zabójczych, trucicielskich myśli.

● ● ●

Wieczorem wybieram się któregoś dnia na koncert Israela Fernandez, hiszpańskiego Cygana, który pięknie gardłuje, podtrzymując do wiecznego życia swoją pieśń, która wiecznie chce umrzeć. Ciągnie ją do góry jak fontanna podległą jej kaprysom piłkę. Bilet kupiła mi córka, a wcześniej puściła kilkanaście utworów. A ja zdążyłem nadać je w radiu, w Nowym Świecie.

Czekając na piłkarza, nie czekam na piłkarza. Nie czekam na nic, bo nic przyjdzie i tak. Poza tym, Panie Robertie, to tylko taki narracyjny zabieg, że czekam. Lecz nic nie jest bezkarne – choć piłką interesuję się tak jak życiem kul-

turalnym w prezydenckim pałacu, nie czekając, buduję w sobie absurdalną sympatię do Pana, sprawdzam, co się u Pana dzieje, widzę, że strzela Pan bramki. Brawo. Cieszę się. I nawet zapominam, że – jak od dzieciństwa – powinno mi być przykro ze względu na bramkarza, który tę bramkę puścił, i koledzy będą mieli do niego pretensje.

Przed koncertem, przed Gran Teatre del Liceu – czyli: różnorodny. Jakaś pani w wytwornej toalecie z różami, jakaś para dżinsowych młodziaków. Jak na Sądzie Ostatecznym, na który wszyscy przyjdą, jak stoją. Jak sobie są. Teatr jest piękny, operowy, grają w nim „Carmen” i tym podobne przeboje, a oto – Israel. Czekają na niego. Kochają go. Na mieście nie widzę ani jednego plakatu. Skąd wszyscy ci ludzie wiedzą, po jaki skrawek siebie przyszli? Jak rozeszła się wiadomość o recitalu?

W końcu Israel, długowłosa, śródziemnomorski, staje na scenie. Z gitarzystą o nazwisku – jak gdzieś udaje mi się wyczytać – Diego del Morao. I trzema muzykami podającymi rytm.

Zaczyna się. Ludzie pokrzykują. Są w grze, w śpiewie. Bo Israel dziś głównie śpiewa. Do kilku utworów przygrywa sobie na fortepianie. Śpiewa o rodzinie, za którą tęskni, o biednym ojcu, o babci, o ziemi... Czy takie są tematy flamenco?

Siedzimy w łóżu i dajemy się ponieść poważnemu wzruszeniu. Naprawdę silnemu. Przez głos Israela, przez wypełniające salę porozumienie artystów i publiczności, przez zbiorową aprobatę dla autentyzmu jego doświadczenia, przez utożsamiającą się wdzięczność. Jestem człowiekiem, któremu wszystko łatwo się nudzi, który nie może doczekać się końca. Ale tym razem jest mi nie dość. Pozwalam wchodzić jego flamenco w zapomniane zakamarki przejęcia i podziwu. Kiedy kończy, jestem zaskoczony i prawie zrozpaczony. Chciałbym zatrzymać go na scenie i powiedzieć: „Zostań, masz mi tyle do powiedzenia”...

● ● ●

Znów pod platanami, następnego poranka idę do Akademii, do jej założyciela Jurdiego Diaz Alamy. Przyjmuje mnie w kolejnej kamienicy Antonia Gaudiego, o wejściu spojonym kolumnami w postaci drzew zwieńczonych kamiennymi liśćmi. Zapowiadał się w recepcji, po której w brytyjskim skupieniu i przejęciu kręcą się studenci. Wychodzi mi na spotkanie. Jest młody, może mieć 35 lat. Pyta, od jak dawna znam profesora Gwiazdę, którego uważa za jednego z najwybitniejszych współczesnych rzeźbiarzy. Zgodnie z prawdą mówię, że znam go tylko przez telefon, dzięki Dantemu.

„Pokażę ci przymiarki do mojego Dantego”, zapowiada Jordi i zaprasza do podziemi. Tam – klimat dawnych akademii. Kilkoro modeli i modelek czystych jak archaiczne drzewa. I setka studentów, którzy ich studiują, rysują. Jest dziwnie rozrzedzone powietrze pomiędzy wszystkimi bohaterami sceny, ujmująca uprzejmość i naturalność.

Na końcu wielkiej sali – pracownia profesora. W niej – Dante, choć nie tylko. Na stole – popiersie poety o charakterystycznym profilu, autorstwa Grzegorza Gwiazdy. Na ścianie – setka niewielkich obrazków na drewnie. Dziel skończonych, lecz również mających w przyszłości stać się częstkami przyszłych wielkoformatowych przedstawień dantejskich. Profesor Alama jeszcze nie wie, dokąd go zaprowadzą. Wie za to, że pragnie pracować dalej nad „Boską komedią” z polskim przyjaciелеm – artystą. Na koniec ofiarowuje mi katalog wspólnej wystawy, jaką mieli w 2022 r. w Museu Europeu d’art Modern. Od dawna noszę przekonanie, że obecność Dantego jest znakiem żywej debaty i kultury krajów, które o nim rozmawiają. Bo jest w nim wszystko, co objaśnia przeszłość i da się podjąć we współczesności.

Kiedy wychodzimy, w pracowni panuje przerwa. Nie wiadomo, kto jest modelem, kto studentem, kto profesorem. Niezmienna pozostała aura tej nadzwyczajnej uprzejmości, przejęcia, skupienia.

● ● ●

Jesteśmy sobie w Barcelonie tak, żeby w jednym tygodniu było jak w całym życiu. Prowokujemy sytuacje zabawne, życiowa powaga prowokuje nas. Na widok czterech karykaturzystów na słynnej alei, która nie wiem, czy nazywa się La Rambla czy Las Ramblas. Robię krótki casting wzrokowy, w końcu proszę jednego, chyba najsprawniejszego, żeby narysował mi Don Kichota. Nie – karykaturalnie. Z przejęciem. Prosi o 20 minut i o 10 euro. Kiedy wracam, rysunek jest gotowy. Ładny, choć jednak karykaturalny. Nie da się chyba tak łatwo zmienić stylistycznego nawyku. Jest bohater, jest Sancho Pansa, jest wiatrak, każdy element rozpoznawalny, zręcznie oddany, trochę nadmuchany. Pytam artystę o imię. Asam. Jest Kirgizem. Tak, czytał Cervantesa, choć nie po hiszpańsku, bo pisany jest dawnym językiem. Asam pracował przez wiele miesięcy nad polskim morzem, między innymi w Międzyzdrojach.

Nie czuję się na siłach, żeby opisywać lokale, smaki i smaczki. Doceniam wszystko, nie o wszystkim chcę się powiadać. Czuję się w mocy napisać książkę, która wyszłaby od wrażeń, ptaków, oddałaby półsprawiedliwość katedrze Gaudiego i starej katedrze miejskiej, w której chętniej pisałbym o barmankach niż o pierożkach, o których i tak piszą – jako się rzekło – wszyscy. Chciałbym pisać o biedzie.

Poznać morze, ale jest mi na barcelońskiej plaży wyjątkowo zimno, jak gdyby wiatr odarł mnie z kory. Chciałbym napisać o XX-wiecznej sztuce hiszpańskiej w kolekcji wspa-niałego miejscowego Muzeum Sztuki Katalonii na wzgórzu. O autorskich sklepikach, na jakie natknąłem się za placem Sant Jaume. O tym, jak w jednym z nich opowiedziałem zdumionej, nieświadomej ekspedientce, jak podczas strajku na Uniwersytecie Warszawskim czytaliśmy z koleżankami i kolegami iberystyki katalońskich poetów: Llacha, Espriu... Nie chciałbym nawet, ale sam pisze mi się wiersz drugi:

CÓRKA W BARCELONIE POKAZUJE MI JAK TRAFIĆ DO HOTELU

*jeśli nawet się zgubię to w stosunku
do czego
jeżeli nawet idąc barceloną
znajdę się nagle w zaułku bolonii gdzie
jak śpiewa dalla
nie zgubi się dziecko
masz rację nie wiem co prawo co lewo
w systemie miasta i w systemie życia
a życie to biuro mawiał michał bartel
piękny człowiek bezbronny dziwny lektor języka
co mówił szekspirem
tyle tylko że nie był to szekspir lecz bartel
i może nie istniał skoro nikt go nie znał
i pisał wątek wątek nieznanej tragedii
która ze względu na jego szczególność*

*potem wydalaby się oczywista
życie to biuro
miłość to jest biuro
język to jest biuro
uniwersytet biuro
masz rację nie wiem co prawo co lewo
ale wsiadam córeczko jak wsiadać kazalaś
najpierw w prawo a potem
na wąziutki peron który ekspediuje
ludzi do girony
jestem z tymi ludźmi
wsiadam na trzecim
wchodzę jak kazalaś
na górze przechodzę przez światła i skręcam
w prawo chyba w prawo tak na pewno w prawo
(na twoim rysunku który kiedyś znajdziesz
wśród ważnych papierów zważ że pociągnęłaś
drogę do hotelu nazbyt długą linią)
masz rację nie wiem co wstecz a co prosto
ale zważ że znam się na wewnętrznych stanach
które uzewnętrznia wiek i układ twarzy
i wiem na przykład że młodzi hiszpanie
brzmia tak jak włosi którzy są w ich wieku
nie przez podobieństwo romańskich języków
tylko przez pogardę dla twardych spółgłosek
czemu zazdroszczą że mówią jak rzeka?
czemu się poddają szeleszcząc jak folia
po starych zakupach w sklepie z alkoholem?
myślą o slalomie na szatańskim stoku
i zjadają zgłoski jak graniczne tyczki?
patrzcie jak wymawia spółgłoski ten starzec
który nie odzywa się więc go wcale nie słychać
słuchajcie jak bardzo jest w tłumie niewłoski
a jak kataloński nie do pomylenia
wiek i prawica są na straży języka
a nie chcę być stary i nie chcę faszyzmu
nawet ulicznego co podkreśla wyższość
mowy spółgłoskowej nad sflaczałą rzeką
córeczko doszedłem piszę w esemesie
i patrzę na drzwi z imieniem hotelu
które rozsuwają się na dwie sylwetki
z których każda moja i każda każdego
i po co nam było uważać na drogę
jeśli każda meta to jest lewoprawo
i prawo i lewo początek i środek
koniec to ta pani co wydaje klucze*

● ● ●

Robert Lewandowski, rzecz jasna, się nie odezwał. Podobno rozegrał znakomity mecz. ●



8 – gimnastyka, 12 – jazda szybka na lodzie, 31 – skoki narciarskie, 39 – strzelectwo, 43 – trójskok, 45 – tenis stołowy. Szyfr? Nic podobnego. To po prostu wyniki pierwszego w historii losowania toto-lotka.

27 stycznia 1957 roku, w niedzielę po raz pierwszy zadziałał bęben maszyny losującej – uruchamiany wówczas ręcznie, wypełniony tulejkami z karteczkami w środku, jak czytamy na stronie Polskiego Radia. Losowania również dokonywano ręcznie – sześciu dyscyplin sportowych, którym przypisane były numery od 1 do 49. I tak: 1 – bobsleje, 2 – bojery, 3 – bieg przez płotki, 4 – bieg z przeszkodami, 5 – bieg na przełaj, 6 – boks, 7 – judo... I tak dalej, i tak dalej, aż do 49, pod którym krył się żużel.

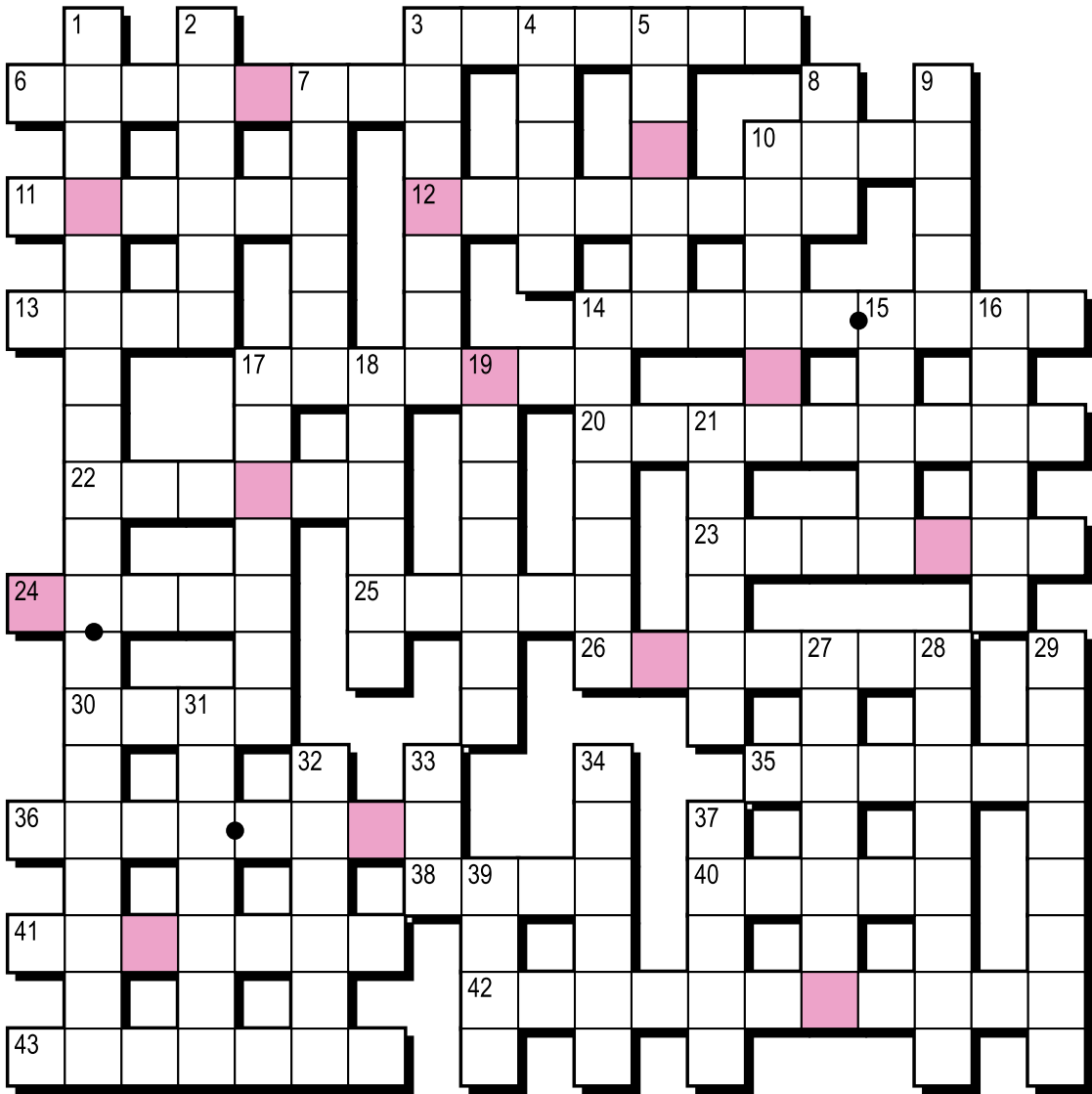
Skąd ten sport? Otóż toto-lotek pozostawał pod egidą powstałego niemal równo rok przed pierwszym losowaniem Przedsiębiorstwa Państwowego Totalizator Sportowy, co odbyło się na mocy zarządzenia przewodniczącego Głównego Komitetu Kultury Fizycznej. Los-zakład kosztował złotówkę, z czego 51 proc. szło na nagrody dla graczy, a 49 obsługiwało koszty działania Totalizatora (kolektury itd.) oraz finansowało budowę obiektów sportowych. To miało uwiarygodnić całe przedsięwzięcie, temu służyło też hasło „Totalizator Sportowy buduje obiekty sportowe”.

Toto-lotek w 1975 roku został zastąpiony przez Duży Lotek, a w 2009 roku przez Lotto. Transmisja z losowania przeprowadzana jest od 1973 roku. Losowanie regularnie odbywało się w niedziele, aż do 1984 roku – wówczas zastąpiło je sobotnie. Kilka lat później wprowadzono też losowanie środowe, z czasem zastąpione wtorkowym i czwartkowym.

Rekordowa wygrana w Lotto padła 16 marca 2017 roku w Skrzyszowie – 36 726 210,20 zł. Zaczyna sumka. Choć niełatwo ją zdobyć. Wszak prawdopodobieństwo trafienia szóstki wynosi 0,0000072 proc., co daje szansę jak 1:13 983 816.

Ale przecież: żeby wygrać – trzeba grać! I rozwiązywać „Weekendówkę”. A tę dzisiejszą poświęcamy właśnie wszelakim grom: karcianym, planszowym, komputerowym. Otwieramy prawdziwy salon gier – i zapraszamy! ●

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie
„Weekendówki”
nr 86 z 20.01:

Poziomo:
1) Czesław 3) Lewis
6) amfibia 9) łożak
11) sonda 12) smartfon
13) prasolot 14) drony
16) gogle 17) Apple
20) Leonardo 22) klonowanie
23) pocisk
24) kamery 28) pociągi
29) Tesla 31) Zderzac
33) typy 34) gadżet
35) wykrywacz

Pionowo:
1) ChatGPT 2) Enigma
3) lasery 4) wynalazek
5) smartwatche
7) Meta 8) bankomat
10) nanorobotyka
12) smok 14) Deep Blue
15) teleport
18) Concorde
19) drukarka 21) awiacja
25) maszyna 26) aparat
27) Kindle 30) loty
32) czas 33) tor

HASŁO:
CHIPY I IMPLANTY

SALON GIER

Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 3)** lewa
6) gra planszowa z polem „Idziesz do więzienia”
10) pierwsze wyjście w kartę przez gracza rozpoczynającego rozgrywkę
11) pokona kamień, przegra z nożycami
12) taki Ajzjata, że trzeba rzucać kostką
13) w kartach ani białe, ani czerwone
14) Super..., klasyczna platformówka

- 17)** ...kilku kart na inne, w pokerze
20) rodzaj gry w karty, w której można układać sekwensy
22) gra komputerowa polegająca na układaniu spadających klocków
23) np. audiotele
24) jedna z dwóch w tenisie, by poprawnie wykonać serwis
25) gdy nikt nie jest górą
26) „Jeszcze w... gramy, jeszcze nie umieramy”
30) dwie..., słabsze niż mały strit
35) prawdopodobieństwo sukcesu
36) monarcha z sercem

- 38)** w kartach: kolor bijący inne kolory
40) w brydżu: odzywka zachęcająca partnera do licytowania gry premiowanej
41) bogini, kołem się toczy
42) popularna konsola do gier (Sony...)
43) ona też chce wygrać!

Pionowo:

- 1)** gra hazardowa w obstawianie wyników rozgrywek, meczów
2) 28 kamieni, niektóre z mydłem
3) ...konne (obstawiamy!)
4) kraj, w którym wymyślono szachy
5) niezbędna do gry w darta
7) gra w... (B4? Pudło!)

- 8)** listek brydżystek, pokerzystek
9) wlotowy, na monety – we flipperze
10) ogłaszane po zakończeniu rozgrywek
14) dawna gra w karty
15) znany kucany
16) karty przy...! (napomnienie, do diagramu wpisujemy w mianowniku)
17) gra planszowa, w której pion może stać się damką
18) ... gry, czyli organizator i narrator w grach fabularnych (RPG)
19) maszyna w salonie gier
21) obsługuje graczy giełdowych
27) „trzy bez atu” brydżysty

- 28)** autor spostrzeżenia: „Bóg nie gra w kości”
29) grają na nich piłkarze i... koncerty
31) czerwone czy czarne? (obstawiamy!)
32) piechur na planszy
33) „A ty – całuj mnie, to taka piękna...” (Piersi)
34) ...wielki szachowy (nie lada figura!)
37) gra mieszana na korcie
39) ...bukmacherskie (obstawiamy!)

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

34295017

Byłe do **weekendówki**

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Pobierz z App Store
POBIERZ Z Google Play